

Kirył Bułyczow

Retrogenetyka

i inne opowiadania

Sztuka rzucania piłki

Zadzwoił do drzwi tak króciutko i nieśmiało, jakby miał nadzieję, że nikt go nie usłyszy i nie otworzy. Otworzyłem. Znałem go z widzenia. Chyba ze dwa razy jechałem z nim windą, ale nie wiedziałem, na którym piętrze wysiada, i dlatego czułem się niezręcznie, gapiłem się w ścianę i udawałem, że o czymś intensywnie myślę, aby on pierwszy nacisnął guzik lub zapytał: „Pan na które piętro?”

- Najmocniej przepraszam - powiedział. - Ogląda pan telewizję?

- Zaraz włączę - odparłem. - A co teraz idzie?

- Nie ma mowy! Jeszcze raz przepraszam. Już idę.

Myślałem, że pan ogląda, i tylko w tym wypadku... Po prostu zepsuł mi się telewizor, więc pomyślałem...

- Niech pan wejdzie - powiedziałem. - I tak zaraz włączę, bo nie mam nic do roboty.

Musiałem chwycić go za łokieć i niemal wciągnąć do przedpokoju. Zerknął na pantofle stojące rzędem pod wieszakiem i zapytał:

- Mam zdjąć buty?

- Nie trzeba - odparłem.

Ucieszyłem się z jego wizyty. Należę do zbuntowanych niewolników telewizora, którzy potrafią zmusić się do tego, żeby go nie włączać. Kiedy jednak już się poddam i włączę, to aparat pracuje do ostatnich taktów melodii na dobranoc, do czasu, aż zniknie fotografia nocnej Moskwy i zacznie sucho potrząskiwać pusty ekran. Tego wieczoru walczyłem z sobą, gdyż byłem zdania, iż czytanie jest skuteczniejszym sposobem zabijania czasu. Byłem z siebie dumny, ale ręka sama wyciągała się w stronę wyłącznika, jak ręka nałogowego palacza po papierosa. Wyprzedziłem gościa i zapaliłem telewizor.

- Proszę usiąść - powiedziałem. - Kto gra?

- To jest mecz koszykówki - odpowiedział cicho gość. - O mistrzostwo Europy. Naprawdę nie przeszkadzam?

- Jestem sam w domu. Zaparzyć kawy?

- Ależ skąd! W żadnym razie, proszę sobie nie robić kłopotu!

Usiadł ostrożnie na brzeжку fotela i dopiero wtedy zauważyłem, że jednak zdążył zdjąć buty i został w samych skarpetkach, ale nic mu nie powiedziałem, żeby go jeszcze bardziej nie spieszyć. Gość wzbudzał moją sympatię chociażby dlatego, że był niewielkiego wzrostu, delikatnej budowy i smutny. Lubię niewysokich ludzi, gdyż sam jestem niewielki i zawsze traciłem wiele energii na to, aby nikt nie pomyślał, że z tego powodu cierpię na jakieś kompleksy. A mam taki kompleks. Czasami mój kompleks sprawia, że zaczynam się czuć jak szczeniak miniaturowego pudła wśród dogów i wtedy mam ochotę ukryć się w mysiej dziurze. Kiedy indziej znów

przybiera postać napoleońskich marzeń i skrytych pragnień, aby ludzi patrzących na mnie z góry skrócić przynajmniej o głowę. Nikogo jednak nie skróciłem do tej pory o głowę, chociaż nie potrafię wyzbyć się pewnej, mam nadzieję niezauważalnej dla otoczenia, antypatii do rodzonej siostry, która jest wyższa ode mnie i z którą nie lubię pokazywać się na ulicy. Za to tych, którzy są niżsi ode mnie, bardzo lubię i wiele im wybaczam.

Kiedyś, jeszcze w szkole, mój kompleks doprowadzał do konfliktów, które źle się dla mnie kończyły. Marzyłem o tym, żeby zostać siłaczem. Zbierałem informacje o niewysokich geniuszach i przez pewien czas wyznawałem pogląd, że w ogóle geniusze bywają małego wzrostu, wyłączając z tej reguły jedynie Piotra Wielkiego, Gorkiego i kogoś tam jeszcze. Gromadziłem wycinki prasowe na temat sukcesów ciężarowców wagi lekkiej i bokserów wagi piórkowej. Oglądałem mecze koszykówki jedynie wówczas, gdy na boisku był Ałaczanin, najniższy rozgrywający w reprezentacji Związku Radzieckiego. Kiedyś jednak zobaczyłem go „po cywilnemu” i stwierdziłem, że jest mężczyzną wzrostu powyżej średniego, i w ogóle przestałem oglądać koszykówkę.

Z upływem lat wszystko to jakoś się uspokoiło. Nie zostałem geniuszem i zrozumiałem, że niewielki wzrost nie musi znamionować geniusza. Przestałem zbierać wycinki ze wzmiankami o sportowcach, mocno utylłem i stałem się o wiele życzliwszy ludziom. Teraz już spokojnie patrzyłem na olbrzymów, wiedząc, że i oni mają swoje kłopoty i trudności.

- No i proszę - powiedział z satysfakcją mój gość, kiedy środkowy Jugosłowianin spudłował, chociaż nikt nie przeszkadzał mu we wrzuceniu piłki do kosza.

W jego głosie zabrzmiała taka złośliwość, że pomyślałem, iż gość nie zdołał wykształcić w sobie filozoficznego spojrzenia na życie.

Środkowy ciężko potruchtał na środek boiska. Biegł tak ciężko, gdyż jedna jego noga ważyła więcej niż ja cały. Mój gość uśmiechnął się, a ja tylko poczułem współczucie dla środkowego.

- Kurłow - niespodziewanie przedstawił się mój gość, gdy Jugosłowianie poprosili o przerwę.
- Mikołaj Matwiejewicz. Fizjolog. Przed dwoma tygodniami wprowadziłem się do tego domu. Na piąte piętro.

Teraz przynajmniej będę wiedział, na który guzik trzeba nacisnąć, kiedy spotkamy się w windzie - pomyślałem i powiedziałem:

- A ja jestem Kolenkin. Herman Kolenkin.
- Bardzo mi miło.

Jugosłowianie wyprostowali się i odeszli, osamotniając niziutkiego trenera. Wiedziałem, że to złudzenie. Trener wcale nie jest niziutki, tylko zwyczajny.

Nasi rzucali karne. Z zainteresowaniem przyglądałem się Kurłowowi, bo to było ciekawsze niż patrzenie na ekran. Skrzywił się. To znaczy pudło. A teraz kiwnął aprobująco głową. Nasi trafili.

W przerwie między setami zaparzyłem kawę i znalazłem w kredensie butelkę węgierskiego wina. Kurlów wyznał mi, że też wzbudzam w nim sympatię. Nie wytłumaczył dlaczego, a ja go o to nie pytałem - wszak nie tylko uczucia, ale również ich pobudki bywają zazwyczaj w razie wzajemności podobne.

- Sądzi pan, że lubię koszykówkę? - zapytał Kurlów, kiedy drużyny znów wyszły na boisko.

- Nic podobnego. Jest mi ona w najwyższym stopniu obojętna. Zresztą jak można lubić koszykówkę?

Pytanie zostało skierowane do mnie. Kurlów miał oczy ostre i wnikliwe. Był przyzwyczajony do tego, że rozmówca zawsze pierwszy odwraca wzrok.

- Jak to? Sport to... - trudno mi było sformułować odpowiedź, gdyż pytanie mnie zaskoczyło.

- No, wie pan...

- Współzawodnictwo - podpowiedział mi Kurlów. - Żyłka hazardzisty, drzemiąca w każdym z nas?

Znalazłem inną odpowiedź:

- Raczej nie. Zawieść.

- Aha! - ucieszył się Kurlów.

- Ale nie zwyczajna zawieść. W każdym razie dla mnie, jak i dla pozostałych ludzi, sportowcy są chyba upostaciowaniem skrytych marzeń, uosobieniem tego, czego nigdy nie dokonamy. To samo zapewne dotyczy muzyków, śpiewaków. Ale w wypadku sportowców jest to o wiele wyraźniejsze. Przecież Mozartowi nikt w dzieciństwie nie mówił, że jest pozbawiony słuchu muzycznego, a kiedy zaczął ćwiczyć, po jakimś czasie został genialnym muzykiem. Nie można tak powiedzieć, gdy się widzi talent czystej wody. A o sportowcu takim to a takim może pan przeczytać, że w dzieciństwie był cherlawy, że lekarze zakazali mu wszystkiego poza wolnym spacerkiem, ale ćwiczył z takim uporem, że stał się mistrzem świata w biegu przez płotki. Jasno się wyrażam?

- Trudno mówić jaśniej. A co pan może powiedzieć o tych?

Kurlów jednym haustem dopił szklaneczkę wina. Oczy mu rozbłysły.

- To samo.

- A nie wydaje się panu, że tutaj wszystko zależy od wzrostu? Od wybryku natury. Urodził się fenomen mierzący dwa i pół metra. Drużyna rzuca mu piłki, a on je wkłada do kosza.

Byłem innego zdania.

- Tacy ludzie zdarzają się bardzo rzadko. Wiemy o istnieniu dwóch lub trzech. Wynik gry zależy od całej drużyny.

- No, no.

Na ekranie wysokachny środkowy przejął piłkę rzuconą ponad głowami graczy, zrobił ciężki krok i włożył piłkę do kosza.

Kurłow uśmiechnął się.

- Talent, praca - powiedział. - Wszystko to traci sens, gdy tylko ingeruje myśl ludzka. Żaglowce zniknęły, gdyż zjawił się kocioł parowy. A jest to przedmiot o wiele brzydszy od grotmasztu pod pełnymi żaglami.

- Ale po wynalezieniu motocykla powstała piłka motorowa - zaproponowałem - a piłka nożna nie zniknęła.

- No, no - powtórzył Kurłow, najwyraźniej nie przekonany. - Niech pan spojrzy, co ci ludzie potrafią robić z rzeczy niedostępnych dla człowieka o wzroście poniżej średniego, człowieka pracy umysłowej (tu złożyłem mu w myśli głęboki ukłon). Potrafią trafić piłką w okrągły otwór, i to z niezbyt daleka. Z jakichś trzech do pięciu metrów. I przy tym popełniają masę błędów.

Mówił bardzo poważnie, tak poważnie, że postanowiłem nadać rozmowie nieco żartobliwszy ton.

- Nie podjąłbym się ich naśladować - powiedziałem - nawet gdybym strawił na to całe życie.

- Brednie - rzucił pogardliwie Kurłow. - Wszystko na świecie ma realne wytłumaczenie. Nie ma zadań nierozwiązalnych. Ci młodzi ludzie tracą całe życie na to, aby osiągnąć niezawodną łączność między ośrodkami mózgowymi a mięśniami rąk. Oko zawsze lub niemal zawsze może właściwie ocenić tor lotu piłki. Natomiast ręka zazwyczaj się później myli.

- Słusznie - odpowiedziałem. - Wie pan, kiedyś uczyłem się rysunku. Absolutnie dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami wyobrażałem sobie, co narysuję, a ręka nie chciała się słuchać. W końcu rzuciłem rysowanie.

- Zuch z pana! - pochwalił mnie Kurłow. - Dziękuję.

To ostatnie odnosiło się do tego, że napełniłem mu kieliszek.

- A więc - kontynuował Kurłow - układ „mózg - ręka” działa nie dość precyzyjnie. Reszta jest sprawą fizjologii. Wystarczy jedynie wykryć braki tego układu, usunąć je - i koniec z koszykówką.

Kurłow popatrzył na ekran surowym wzrokiem. Pojąłem, że kompleksy, które mnie udało się zdławić, mojego sąsiada mocno trzymają w swoich szponiastych łapach.

- Po to właśnie tu przyszedłem.

- Tutaj?

- Właśnie. Przyszedłem obejrzeć mecz koszykówki. I teraz już wiem, że każdego laika mogę przekształcić w genialnego koszykarza. Na przykład pana.

- Dziękuję - powiedziałem. - Kiedy więc zostanę tym wielkim koszykarzem?

- Potrzebuję dwóch miesięcy. Tak, dwóch miesięcy, nie więcej. Ale potem niech się pan nie uskarża na los.

- Niby dlaczego miałbym się uskarżać? - zapytałem z uśmiechem. - Poklask trybun każdemu przecież sprawia przyjemność.

Spotkałem go ponownie po jakichś dwóch tygodniach. W windzie. Ukłonił mi się i powiedział:

- Ja na piąte.
- Pamiętam.
- A propos, mam do dyspozycji jeszcze sześć tygodni.
- Jak to? - Zapomniałem o rozmowie przy telewizorze.
- Sześć tygodni, a później zostaje pan wielkim koszykarzem.

Minęło jednak około trzech miesięcy, zanim około siódmej po południu znów zabrzmiał dzwonek. Otworzyłem. Kurłów stał przed drzwiami z wielką torbą w ręku.

- Pozwoli pan?
- Znów się zepsuł telewizor.

Kurłów nie odpowiedział na żart, tylko zapytał rzeczowym tonem:

- Jest pan sam w domu?
- Sam.
- Wobec tego proszę się rozebrać.
- Zamierza mnie pan obrabować?
- Niech się pan rozbiera, bo się ściemni. Do pasa. Nie chce pan zostać wielkim koszykarzem?
- Ale przecież to był...
- Nie, to nie był żart. Rozwiązałem zadanko i panu jako pierwszemu człowiekowi ofiaruję zdumiewającą zdolność kierowania własnymi rękami. Wydawałoby się, że Bóg od razu powinien się o to zatroszczyć, ale nie - i teraz trzeba go poprawiać.

Torbę postawił w przedpokoju pod wieszakiem i z kieszeni marynarki wyjął niewielkie płaskie pudełko, w którym znajdowała się strzykawka i ampułki.

- Dlaczego pan nie zapyta, czy to nie jest niebezpieczne? - zapytał Kurłów głosem nie pozbawionym sarkazmu.

- Przyznam się, że czuję się zaskoczony.

- „Zaskoczony” to właściwe słowo. Ale mam nadzieję, że nie przestraszony. A może mam skoczyć do domu po dyplom doktora medycyny? Nie. To dobrze. Nie będzie bolało.

Pokornie ściągnąłem z siebie koszulę i podkoszulek. Na szczęście wieczór był ciepły. Nie pomyślałem wtedy, że mój sąsiad może okazać się szaleńcem, mordercą. Ta myśl przemknęła mi, gdy już wstrzyknął pod moją prawą łopatkę ze dwa centymetry sześciennego jakiegoś płynu. Ale wtedy było za późno na refleksje.

- Doskonale - powiedział Kurłów. - Robiłem już doświadczenia na małpach i osiągnąłem zdumiewające wyniki. Mam nadzieję, że w pana wypadku nie będą gorsze.

- A co z małpami? - zapytałem wciągając podkoszulek.

- Nic ciekawego dla laika - uciał Kurłów. U nich te połączenia działają lepiej niż u ludzi.

Niemniej jednak pawian Robert zdołał trafić włoskim orzechem w oko nie lubianego dozorczy z odległości pięćdziesięciu metrów.

- Co teraz? - zapytałem.

- Teraz jedziemy na Łużniki - odpowiedział Kurłow. - Do wieczora zostało trzy godziny. No, dwie i pół. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

- A to już działa?

- Zanim dojedziemy, podziąła.

W autobusie nagle pochylił się i szepnął mi na ucho:

- Zupełnie o tym zapomniałem. Nikomu ani słowa. Za nieoficjalne eksperymenty urwą mi głowę i pozbawią stopnia naukowego. Gdyby nie dane panu słowo, ludzkość otrzymałaby ten dar dopiero za jakieś pięć lat.

- Dlaczego za pięć?

- Dlatego, że każde doświadczenie należy skontrolować za pomocą kolejnego doświadczenia, a to kolejne - następnym. I jeszcze czekać, czy nie ujawnią się skutki uboczne.

- A jeśli się ujawnią?

Kurłow wzruszył ramionami. Był wspaniały i najwyraźniej miał pięknie wykształcony kompleks Napoleona. Gdy autobus zatrzymał się na przystanku, Kurłow pierwszy zeskoczył na asfalt, znalazł na ziemi kamyk i rzucił nim w przelatującego właśnie trzmiela. Trzmiel upadł w trawę i zaczął tam buczeć z wielką irytacją.

- Wstrzyknąłem sobie tę dawkę dwa tygodnie temu i od tego czasu ani razu nie chybiłem.

Znaleźliśmy prawie puste boisko do koszykówki. Jedna tarcza była wolna, a pod drugą dwie dziewczyny przerzucały się piłką, jakby nie miały odwagi wrzucić jej do kosza.

- Trzeba się rozebrać? - zapytałem.

- Po co. Najpierw spróbujemy tak.

Potem dziwiłem się, dlaczego przez całą drogę i pierwszych kilka minut na boisku o niczym prawie nie myślałem. To znaczy myślałem o jakichś głupstwach. Że trzeba rano wstać, kupić chleb na kolację, że jest ładna pogoda, ale niedługo może się zepsuć...

- No - powiedział Kurłow, wyjmując z torby piłkę dokładnie o sekundę wcześniej, niż zorientowałem się, że przecież nie mamy piłki.

Zerknąłem na pierścień kosza. Wisiał okropnie wysoko i był malutki. Trafienie do niego piłką było absolutnie niemożliwe. Dziewczęta pod drugą tarczą przestały bawić się piłką i ze zdumieniem gapiły się na dwóch mężczyzn średniego wzrostu - grubego (ja) i cienkiego (Kurłow) - którzy najwyraźniej zamierzali pograć sobie w koszykówkę. Dziewczęta były bardzo rozbawione.

- No, Kolenkin - polecił uroczyście Kurłow - chwytaj piłkę!

Zbyt późno wyciągnąłem rękę, piłka wysliznęła się z nich i potoczyła w kierunku dziewcząt.

Cieężko pobiegłem za nią. Wyglądałem idiotycznie i bardzo zapragnąłem znaleźć się w domu. Zacząłem nienawidzić się za brak charakteru.

Któraś z dziewcząt zatrzymała piłkę nogą i lekko podała po ziemi w moim kierunku. Powiedziałem „dziękuję”, ale pannice z pewnością nie usłyszały. Śmiały się.

- Cicho! - krzyknął Kurłow spod naszej tarczy. - Jesteście świadkami narodzin wielkiego koszykarza!

Dziewczęta dosłownie zachłysnęły się śmiechem. Kurłow nie widział w tym nic wesołego. Krzyknął do mnie:

- Rzucaj pan w końcu!

Ten krzyk zmusił mnie do całkiem już idiotycznego postępku. Podniosłem piłkę, sądząc, że jest znacznie lżejsza, niż była w istocie, i rzuciłem ją w stronę kosza. Piłka opisała płaski łuk nad boiskiem i upadła u nóg Kurłowa.

- Oj, bo skonom! - wydusiła z siebie któraś z dziewcząt. Nigdy w życiu nie była tak ubawiona.

- Jeśli będzie pan rzucał piłkę z poziomu brzucha, niczym ciężki brukowiec - powiedział surowym tonem Kurłow, jakby nie widział, że odwróciłem się na pięcie i zamierzałem uciec z tego przekłętą boiska - to nigdy nie trafi pan do kosza. Niech pan przestanie histeryzować i rzuca. I proszę nie zapominać, że wstrzyknąłem panu cały zapas surowicy, jaki instytutowi udało się wytworzyć w ciągu dwóch miesięcy.

Ostatnie zdanie wypowiedział szeptem, wciskając mi przy tym piłkę do rąk.

- Proszę patrzeć na kosz.

Popatrzyłem na kosz.

- Chce pan trafić piłką do kosza. Proszę wyobrazić sobie, jak piłka powinna lecieć. Wyobraził pan sobie? Rzut!

Rzuciłem i chybiłem.

Dziewczęta jeszcze bardziej się ubawiły, a ja poczułem nagle ogromną ulgę. Cała ta surowica i cały ten koszmar to po prostu sen, żart, głupi kawał.

- Jeszcze raz - zakomenderował zupełnie nie speszony Kurłow. - Już lepiej. Tylko przed rzutem niech pan zważy piłkę w rękach. To pomaga. Właśnie tak.

Pochylił się, podniósł piłkę i rzucił. Piłka zakreśliła płynny łuk i nie dotykając pierścienia weszła w sam jego środek, po czym miękko przeleciała przez siatkę. Nie wiedzieć czemu ten wyczyn Kurłowa wywołał nowy wybuch śmiechu. Ale Kurłow nie zwracał na dziewczęta najmniejszej uwagi. Był ponad to, był naukowcem przeprowadzającym doświadczenie.

Wówczas zdjąłem marynarkę, oddałem ją Kurłowowi, zważyłem piłkę w dłoniach, ze wszystkimi szczegółami wyobraziłem sobie, jak polec, jak wpadnie do kosza - i rzuciłem.

Nigdy w życiu nie grałem w koszykówkę. Trafiłem piłką w sam środek pierścienia. Tak

samo jak Kurlów, który pobiegł teraz po piłkę, i znów mi ją podał. Stałem na pozycji do rzutów osobistych i strzeliłem kosza stamtąd.

Czegoś brakowało. Było zbyt cicho. Dziewczeta przestały się śmiać.

- Tak to wygląda - powiedział obojętnie Kurlów i odrzucił mi piłkę. - A teraz jedną ręką.

Jedną ręką rzucać było znacznie trudniej, ale po dwóch nieudanych próbach opanowałem również tę sztukę.

- A teraz niech pan rzuca z biegu.

Biegać serdecznie mi się nie chciało. Byłem po prostu zmęczony. Ale Kurlowa poparła jedna z dziewcząt.

- Proszę spróbować - powiedziała. - Przecież pan ma talent.

Ciężkim truchtem przebiegłem kilka kroków.

- Nie - powiedziała dziewczyna - tak nie można. Przecież pan nie wypuszcza piłki z rąk. Trzeba tak.

I przebiegła parę kroków, kozłując piłką o ziemię.

Usiłowałem ją naśladować, ale natychmiast straciłem piłkę.

- Nie szkodzi - powiedziała dziewczyna. - Tego się pan łatwo nauczy. Tylko trzeba będzie zrzucić z dziesięć kilo.

Dziewczyna była wyższa ode mnie o dwie głowy, ale przy niej nie czułem się malutki. Potrafiłem trafić piłką do kosza nie gorzej niż mistrzowie świata.

Nie biegałem z piłką, tylko stałem sobie i rzucałem. Rzucałem spod kosza, rzucałem ze środka boiska (pod warunkiem że akurat miałem dość sił, aby dorzucić piłkę do kosza). Pannica biegała po piłkę i była taka uszczęśliwiona moimi sukcesami, jakby osobiście wychowała mnie na znakomitego gracza w drużynie podwórkowej.

Nagle usłyszałem:

- Kolenkin, czekam na pana w kawiarni. Marynarkę zabiorę.

- Niech pan poczeka! - krzyknąłem, ale Kurlów szybko się oddalił.

Nie zdążyłem pobiec za nim, bo drogę zastąpiło mi trzech chwatów po dwa metry wzrostu i pulchny, szeroki mężczyzna nieco tylko wyższy ode mnie.

- Proszę rzucać - powiedział pulchny. - Proszę rzucać, a my sobie popatrzemy.

Za jego pleców wyrzała druga dziewczyna. Okazuje się, że kiedy jej przyjaciółka mnie trenowała, ona pobiegła po koszykarzy ćwiczących na sąsiednim boisku. To dlatego Kurlów uciekł!

Powinienem właściwie pójść sobie. Przecież w całej tej historii mój udział był minimalny. Ale próżność, drzemiąca w każdym człowieku, obudziła się we mnie i zażądała laurów - niezaskuszonych, lecz jakże upragnionych. Powiedzieć im, że jestem tylko królikiem doświadczalnym? Że nie umiałem, nie umiem i nie będę umiał rzucać piłki? Może nawet

rozsądek wzięłby górę i obróciłbym wszystko w żart, gdyby najwyższy z trzech zuchów nie zapytał dziewczyny:

- Ten?

W jego głosie było tyle pogardy dla mnie, dla mojego brzuszka, dla moich obwisłych policzków, krótkich nóg i miękkich rąk człowieka, który nie tylko został pozbawiony przez naturę przyzwoitego wzrostu, ale w dodatku nigdy nie próbował skompensować tego braku ćwiczeniami fizycznymi, w jego głosie było tyle pobłażliwości, że powiedziałem:

- Dajcie mi piłkę.

Powiedziałem to w pustkę, w przestrzeń, ale wiedziałem już, że mam tu wiernych zwolenników, sojuszników, przyjaciół - dziewczęta wprawdzie wyższe ode mnie o dwie głowy, ale jednak ceniące talent, bez względu na to, w jak skromnej powłoce się kryje.

Dziewczyna rzuciła mi piłkę, a ja ją schwytałem i natychmiast strzeliłem kosza z połowy boiska, hakiem, niedbale, jakbym przez całe życie nie robił nic innego.

I najwyższy z zuchów został pognębiony.

- Ale kozak! - powiedział.

- Jeszcze raz - powiedział trener.

Dziewczyna rzuciła mi piłkę, a mnie udało się ją złapać. Strzelić kosza nie było trudno. Wystarczyło wyobrazić sobie, jak piłka poleci, i piłka leciała. I nie było w tym nic dziwnego.

Gruby trener wyjął z tylnej kieszeni dresów opatrzonych szerokimi białymi lampasami notes, otworzył go i coś w nim zapisał.

- Rzucę mu? - zapytał wysoki koszykarz, który poczuł do mnie antypatię.

- Rzuć - odparł trener, nie podnosząc oczu znad notesu.

- No to trzymaj, mistrzu - powiedział koszykarz takim tonem, że mogłem spodziewać się po nim najgorszego.

Wyobraziłem sobie, jak piłka wystrzeli we mnie niczym kula armatnia, jak zwali mnie z nóg i jak roześmieją się dziewczęta.

- Jak tylko złapiesz - powiedział koszykarz - od razu rzucaj do kosza. Jasne?

Rzucił piłką, która pomknęła w moją stronę niczym kula armatnia. Zrobiłem więc jedyną rzecz, jaką mogłem w tej sytuacji zrobić: odskoczyłem w bok.

- No i co ty? - koszykarz był wyraźnie rozczarowany.

- Słusznie - powiedział trener zamykając notes i odsuwając wolną ręką kieszeń spodni, żeby móc włożyć go na miejsce. - Człowiek jeszcze nie ćwiczył podań. Będzie pan grał?

- Słucham?

Trener kiwnął na mnie palcem, a ja posłusznie do niego podszedłem, gdyż wiedział, w jaki sposób kiwać na ludzi palcem, żeby do niego bez oporu podchodzili.

- Nazwisko? - zapytał, ponownie wyjmując notes.

- Kolenkin - odpowiedziałem.

- Pan to poważnie? - obraził się koszykarz, zwisający nade mną jak krzywa wieża z Pizy.

- Ja zawsze jestem poważny - odparł trener.

Akurat w tym momencie chciałem powiedzieć, że nie mam zamiaru grać w koszykówkę i żadna siła nie zmusi mnie do wyjścia na jakiekolwiek boisko, ale wysoki koszykarz znów odegrał rolę diabła kusiciela. Chciałem mu zrobić na złość. Chociażby dlatego, że niedbale objął za ramiona jedną z dziewcząt, które mi sprzyjały.

- No więc, Kolenkin - powiedział trener surowo - pojutrze wyjeżdżamy. Na razie pod Moskwę, do naszej bazy. Potem chyba do Wilna. Jeden dzień na przygotowania panu starczy?

- Zuch z pana, Andrieju Zacharowiczu! - wykrzyknęła dziewczyna, uwalniając się z objęć koszykarza. - Veni, vidi, vici.

- Talenty - odparł trener, nie spuszczać ze mnie hipnotyzującego wzroku - nie rodzą się na kamieniu. Talent trzeba znaleźć, wychować i jeśli to konieczne, nawet okiełznać. Ile ma pan na sto metrów?

- Ja?

- Nie, Iwanów! Pewnie, że pan.

- Nie wiem.

- Tak też myślałem.

- Pół godziny - wtrącił się koszykarz.

- Dałbyś spokój, Iwanów! - oburzyła się druga dziewczyna. - Masz strasznie długi język.

- A rzut ci kuleje - dodał trener.

- Mnie?

- Tobie. Kolenkin da ci pięć rzutów for na dwadzieścia.

- Mnie?

- Nie potrafisz nic innego powiedzieć? Idź i spróbuj. Ty, Kolenkin, też idź. Rzucajcie po dziesięć osobistych. I żeby wszystkie były trafne. Słyszysz, Kolenkin?

W tym momencie zrozumiałem, że absolutnie nie potrafię oprzeć się Andriejowi Zacharowiczowi. Marzyłem tylko, żeby przyszedł Kurlów i zabrał mnie stąd. I o tym, żeby trener nie zmusił mnie do biegu na sto metrów.

Wyszliśmy na boisko. Iwanów stanął przede mną. Był zły. Mało tego, był wściekły. Wściekły aż do sznurowadeł trampek, do spodenek, które znajdowały się akurat na poziomie moich oczu.

Na ten widok zrozumiałem, że bardzo chcę, wręcz muszę rzucać piłkę do kosza lepiej niż Iwanów, który najwidoczniej jedynie to robi z przekonaniem, a całą resztę - tylko przy okazji. A propos, co ja robię z przekonaniem i zadowoleniem? Przychodzę do biura? Siadam przy biurku? Nie, wychodzę zapalić na korytarz. Zachciało mi się palić. Sięgnąłem do kieszeni po papierosa,

ale piłka mi przeszkadzała, więc wziąłem ją pod pachę. W tym momencie powstrzymał mnie okrzyk wszechwidzącego trenera. Mojego trenera.

- Kolenkin! Zapomnij o nikotynie!

- Nie kręć się pod nogami! - warknął na mnie Iwanów i boleśnie kopnął kolaniem w brzuch.

Powstrzymałem jęk i cofnąłem się trochę.

Iwanów objął piłkę długimi palcami tak, że zniknęła w nich, niczym arbuz w siatce na zakupy. Przysiadł, wyprostował się i rzucił. Piłka płynnie opadła na pierścień, podskoczyła, ale jednak wpadła do kosza.

- Źle, Iwanów, bardzo źle - powiedział trener.

Moja kolej. Piłka natychmiast zaciążyła mi w spoconych dłoniach. Chciałem ją rzucić niedbale, ale zapomniałem wyobrazić sobie tor lotu i piłka spadła na ziemię nie dolatując nawet do tarczy.

Dziewczęta pisnęły chórem. Trener zmarszczył brwi. Iwanów uśmiechnął się, a ja postanowiłem walczyć do ostatka.

Więcej już nie chybiłem ani razu. Ani razu na dwadzieścia rzutów.

Iwanów miał sześć pudeł.

Kiedy wróciliśmy do trenera, grubasek powiedział:

- No więc tak, Kolenkin. Żeby mi nie było żadnego oszukaństwa i bumelowania. Na wszelki wypadek przepisałem sobie twój dowód.

Moja marynarka nie wiedzieć czemu wisiała na gałęzi drzewa obok trenera. To znaczy, że sprytny Kurlów wrócił i oddał mu moją marynarkę. Cóż za podłość!

- Masz tu - kontynuował trener - tymczasową legitymację naszego klubu. Formalności zakończę dziś wieczorem. Trzymaj, tylko nie zgub, oficjalne pismo do szefa twojego biura. Zgrupowanie potrwa dwa tygodnie. Chyba cię puści, tym bardziej że dostanie telefon. Twoja firma na szczęście jest w naszym pionie.

Zrozumiałem, że trener dzielił wszystkie instytucje w kraju wedle resortowych stowarzyszeń sportowych, a nie na odwrót.

- Tu masz listę rzeczy, które musisz ze sobą zabrać: szczoteczka do zębów i tak dalej. Najtrudniej będzie z kostiumem, ale coś tam się wymyśli. Rozgrywający z ciebie nie wyjdzie, bo jesteś za mało ruchliwy. Będiesz środkowym. - I na pożegnanie dodał: - Zapamiętaj, Kolenkin. Jesteś naszą tajną bronią. Spada na ciebie wielka odpowiedzialność. Jeśli spróbujesz wycofać się, zmarnować talent, potrafimy wykopać cię spod ziemi.

- Ależ po co tak mówić - odparłem przepaszającym tonem, gdyż wiedziałem, że istotnie potrafi wykopać mnie spod ziemi.

Po powrocie do domu długo dobijałem się do Kurlowa. Bez skutku. Albo jeszcze nie wrócił, albo nie chciał mi otworzyć. Postanowiłem wpaść do niego później, ale gdy tylko dowlokłem się

do tapczana, żeby nieco odsapnąć, usnąłem jak zabity i nie wiedzieć czemu śniły mi się grzyby i jagody, a nie koszykówka, jakby należało oczekiwać.

Rano w drodze do pracy ciągle się uśmiechałem. Śmiałem się z zabawnej przygody, jaka mi się wczoraj przytrafiła na stadionie. Myślałem, jak opowiem o tym Senatorowowi i Annuszce i jak nie będą chcieli mi uwierzyć. Wydarzenia jednak rozwijały się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

Po pierwsze, przy wejściu dyżurował kierownik działu kadr we własnej osobie. Trwała właśnie kampania walki o dyscyplinę. Naturalnie zapomniałem o niej i spóźniłem się piętnaście minut.

- Dzień dobry panu - odezwał się do mnie kadrowiec. - Niczego innego się nie spodziewałem. Chociaż do wychodzenia z pracy przed czasem pan, Kolenkin, zawsze był pierwszy.

Spędził z twarzy triumfalną minę myśliwego, który dopadł swojego selekcyjnego jelenia, i powiedział niemal ze smutkiem w głosie:

- Jak wytłumaczyć, że dorosły i zda się poważny człowiek tak lekceważy swoje podstawowe obowiązki?

Smutek kierownika działu kadr był oczywiście udawany. Rzeczywiście niczego innego po mnie się nie spodziewał. Dlatego zaprzagnąłem dać mu po nosie, spędzić z twarzy współczujący uśmiezek, rozlewający się od pulchnego podbródka aż do okrągłej łysiny.

- Zmęczyłem się - powiedziałem, chociaż, dając słowo, wcale nie miałem zamiaru tego mówić. - Byłem na treningu.

- Aha - powiedział kadrowiec. - Zanotujemy to sobie. I jakąż to dyscyplinę sportu uprawiacie, towarzyszu Kolenkin, jeśli to naturalnie nie sekret?

- Koszykówkę - odparłem po prostu.

Któryś z kolegów parsknął śmiechem za moimi plecami, doceniając subtelność żartu, na jaki sobie pozwoliłem wobec kadrowca.

- Oczywiście - powiedział kadrowiec. - Koszykówkę i nic innego. - Popatrzył na mnie z góry. - To też zanotujemy.

- Proszę notować, byle szybko - powiedziałem na to - bo jutro wyjeżdżam na zgrupowanie. A propos, wpadnę do pana nieco później, bo muszę wziąć dwa tygodnie urlopu.

I wyminąłem go tak spokojnie i pewnie, że kadrowiec zgłupiał. Oczywiście nie uwierzył choćby w jedno słowo, ale zdębiał, gdyż zachowałem się zupełnie inaczej, niż tego wymagały reguły gry.

- Kolenkin! - krzyknęła z przeciwległego końca korytarza Wiera Jakowlewna. - Do naczelnego. Czeka od samego rana i już ze trzy razy o pana pytał.

Obejrzałem się, aby się upewnić, że kadrowiec słyszał. Słyszał i teraz potrząsał głową, jakby

chciał wytrząsnąć wodę z ucha po nieudanym skoku z trampoliny.

- Dzień dobry - przywitał mnie naczelny, wstając na mój widok zza biurka. Patrzył na mnie z niejaką obawą. - Wie pan?

- O czym?

- O zgrupowaniu.

- Tak - powiedziałem.

- Nie potrafię uwierzyć - wyznał naczelny. - Czemu pan nigdy nie mówił, że uprawia koszykówkę?... To nie jest pomyłka? Może szachy?

- Nie - odpowiedziałem. - To nie jest pomyłka. Zapraszam na mecz.

- Z przyjemnością.

Nie byłem niczemu winien. Po prostu niosła mnie potężna rzeka losu. Każde moje słowo, postępek, ruch wywoływały kolejne słowo, kolejny ruch związany z nim niewidzialną dla otoczenia nicią konieczności.

Z gabinetu dyrektora poszedłem do swojego pokoju.

- Wpadłeś na kadrowca? - zapytał Senatorów. - Jeśli już chcesz się spóźnić, to spóźnij się o godzinę. Kwadrans to najgorszy i najniebezpieczniejszy okres.

- A jeszcze lepiej wcale już nie przychodzić do pracy - dodała Annuszka, rozkładając gazetę i poprawiając złociste loki.

- Wyjeżdżam - powiedziałem. - Na dwa tygodnie.

- W delegację? - zapytała Annuszka. - Do Symferopola? Weź mnie z sobą.

- Nie - odparłem i poczułem, że się czerwienię. - Jadę na zgrupowanie sportowe.

Przygotowywać się do zawodów.

- Ach - powiedziała Annuszka - dziś nie jest prima aprilis.

- Zobaczcie - wykrztusiłem, nie mając już sił na odwlekanie najgorszego. Przecież ci ludzie znali mnie od jedenastu lat.

Podąłem Senatorowowi oficjalne pismo klubu powołujące mnie na zgrupowanie przedmeczowe, na którym widniała zgoda dyrektora.

- No tak - odezwał się Senatorów po przeczytaniu.

Za oknem w gałęziach topoli krzątały się jakieś ptaszęta, a słońce zalewało moje biurko, które już od dawna zamierzałem odsunąć od okna, żeby nie było mi tak gorąco, jednak na samą myśl o tak oczywistym wysiłku fizycznym kapitulowałem. Teraz poszedłem do biurka, zaparłem się nogami i odsunąłem je w cień.

- Tak - powiedział Senatorów. - Gdybym jeszcze coś z tego rozumiał!

- Daj zobaczyć - poprosiła Annuszka. - Gdzie go wysyłają?

- Na obóz treningowy.

Annuszka parsknęła, rzuciła okiem na papierek i powiedziała z niecodziennym u niej

szacunkiem w głosie:

- Dobrze to sobie załatwiłeś.

- Niczego sobie nie załatwiałem - odparłem czując, jak nieprzekonująco brzmi mój głos. - Oni sami mnie znaleźli i namówili. Nawet do szefa zadzwonili.

- W takim razie - powiedziała Annuszka zwracając mi pismo - przyznaj się, co potrafisz robić w sporcie. Podnosić ciężary? Boks? Może uprawiasz judo? Ale czemu nie należysz jeszcze do żadnej drużyny?

Nagle zorientowałem się, że wbrew własnej woli usiłuję wciągnąć brzuch i wypiąć pierś. Annuszka też to zobaczyła.

- Aha, już wiem - powiedziała. - Zamierzasz biegać na dziesięć kilometrów. A czy nie mógłbyś przyznać się kolegom, że masz znajomą lekarkę, która sprytnie załatwiła ci zwolnienie w samym środku sezonu urlopowego, podczas gdy my, zwykli śmiertelnicy, musimy ślęczeć tu nad papierkami?

Zrozumiałem, że nie mam na to żadnej odpowiedzi, bo każda zabrzmiałaby fałszywie i nikogo nie przekona.

- No dobra - powiedziałem. - Cześć. Czytajcie gazety.

I to, że nawet nie usiłowałem dyskutować, wprowadziło Annuszkę w niebotyczne zdumienie. Spodziewała się wszystkiego - tłumaczeń, uśmiechu, przyznania się do głupiego żartu. A ja zwyczajnie pożegnałem się, zebrałem papiery z biurka i wyszedłem. Czułem się wobec nich winny. Byłem oszustem. Zamierzałem zająć bezprawnie miejsce należące do kogoś innego. Ale dlaczego bezprawnie? Do kogo należące? Do Iwanowa?

Tak rozmyślając wypisałem sobie delegację na zgrupowanie sportowe (dyrektor uznał, że jedynie takie rozwiązanie przystoi naszej solidnej instytucji), usiłując przy tym zachować całkowity spokój i nie reagować na złośliwe uwagi współpracowników. Nowina o moim wyjeździe rozeszła się już po całym gmachu i ludzie pokazywali mnie palcami.

- Niech pan broni honoru instytucji - powiedział kadrowiec przystawiając pieczęć na delegacji.

- Spróbuję - przyrzekłem i wyszedłem.

Już nie należałem do siebie.

Jechałem pociągiem elektrycznym do Bogdanowki (Kurłowa nie udało mi się przedtem złapać) i rozmyślałem nad kolejami losu. Tak w ogóle to już znalazłem usprawiedliwienie faktu, że oto jadę zajmować się rzucaniem piłek do kosza. Po pierwsze, jest to równie szlachetne i pożyteczne zajęcie, jak przepisywanie papierków. Po wtóre, istotnie mogę przynieść korzyść drużynie i sportowi jako takiemu. Przecież nie jestem wcale większym odstępstwem od normy niż trzymetrowi olbrzymi. Po trzecie, wcale mi nie zaszkodzi, jeśli przez parę dni odpocznę, odprężę się w innym otoczeniu. I wreszcie nie można zapominać, że jestem królikiem

doświadczalnym. Zostawiłem Kurłowowi kartkę ze swoim adresem, aby mógł mnie odszukać i kontrolować przebieg eksperymentu. Inna rzecz, iż nagle zdałem sobie sprawę z tego, że wcale nie chcę, aby Kurłow nagle zjawił się na zgrupowaniu i zawiadomił wszystkich, iż moje uzdolnienia są wynikiem osiągnięć biologii na polu doskonalenia precyzji ruchowej człowieka. W takiej sytuacji po prostu wypędziliby mnie jako samozwańca, a surowicę wykorzystali do podnoszenia sprawności prawdziwych koszykarzy. Z jakiegoś względu wołałem, aby otoczenie myślało, że mój talent jest wrodzony, a nie zaszczepiony.

Ale siedział we mnie również sceptyk, który wciąż powtarzał, że mam już czterdzieści lat, że niełatwo będzie mi biegać, że na boisku będę wyglądał komicznie, że działanie surowicy w każdej chwili może ustąpić, że oszukałem własnego dyrektora... Ale zdławiłem ten głos, gdyż pragnąłem poklasku.

Trener stał na peronie.

- Wychodzę już na trzeci pociąg - wyznał. - Lękałem się, daję słowo, lękałem się o ciebie. Mam dwóch kontuzjowanych rozgrywających, a jeden środkowy zdaje egzaminy wstępne. W przeciwnym razie może bym cię i nie wziął. Wymagasz za wiele zachodu, Kolenkin. Ale nie obrażaj się, nie obrażaj. Strasznie się cieszę, że przyjechałeś! Ty też nie pożałujesz. Zespół mamy dobry i zgodny. Wszyscy już na ciebie czekają. W razie czego, od razu do mnie. Postawimy sprawę na zebraniu?

- Wolałbym nie na zebraniu - powiedziałem.

- Ja też tak myślę. Obejdzie się. Tylko nie pękaj.

Droga od stacji była pokryta grubą warstwą kurzu. Zajrzeliśmy na niewielki bazar opodal przystanku, gdzie trener kupił pomidory.

- Jestem tu z rodziną - powiedział. - Wywiozłem swojego malca na powietrze. Bo to człowiek żyje jak marynarz. Małżonka prosiła mnie, żebym zrobił zakupy.

W bazie było prawie pusto. Tylko w cieniu pod werandą dwóch gigantów w koszulkach gimnastycznych grało w warcaby. Minęliśmy boisko do koszykówki. Zerknąłem na nie z lekkim drżeniem serca. Tak zapewne początkujący gladiator patrzył na arenę.

- To tutaj - powiedział trener wpuszczając mnie do dużego pokoju, w którym swobodnie mieściły się trzy łóżka: dwa przedłużone i jedno zwyczajne, dla mnie. - Bieliznę zaraz ci przyniosą, ręczniki i tak dalej. Z sąsiadami sam się zapoznasz. Obiad za godzinę. Rozgość się, a ja wpadnę do rodziny.

Zniknął tak szybko, że tylko mignęły w drzwiach szerokie plecy i rozepchnięta notesem tylna kieszeń spodni od dresu.

Usiadłem na zwyczajnym łóżku i spróbowałem wyobrazić sobie, co myśli prawdziwy koszykarz, gdy się tu znajdzie po raz pierwszy. Taki, który przez całe lata rzuca tę przekłętą piłkę, wspinając się od drużyny podwórkowej do fabrycznej, a potem coraz wyżej i wyżej, aż

wreszcie trafia tutaj. Taki z pewnością denerwuje się bardziej niż ja.

Gdzieś za ścianą rozległy się odgłosy suchych uderzeń. Domyśliłem się, że grają tam w bilard. Pomyślałem, że wieczorem trzeba będzie spróbować swych sił w tym sporcie. Przecież wytworzone we mnie połączenia nerwowe dadzą się chyba zastosować nie tylko w koszykówce. To byłoby nielogiczne. A jak tam teraz Annuszka i Senatorów? O czym plotkują ludzie na korytarzach mojego biura? Śmieją się? No, wobec tego trzeba ich będzie zaprosić...

W tym momencie na korytarzu zadudniły ciężkie kroki. Pomyślałem, że to idą moi sąsiedzi, koledzy z drużyny. Poderwałem się z łóżka i spróbowałem wyrównać materac, na którym siedziałem.

Weszła tęga kobieta grenadierskiego wzrostu. Niosła na wyciągniętych rękach bieliznę pościelową, kołdrę i poduszkę.

- Gdzie tu śpi nowy? - zapytała mnie, uważając słusznie, że ja tym nowym nie mogę być.

- Prosię położyć to tutaj - wskazałem swoje łóżko. Nie miałem odwagi przyznać się, że to ja.

- Niech pan mu powie, że ciocia Niura przyniosła mu cały komplet.

Odwróciła się, żeby wyjść, i w drzwiach zderzyła się z długonogimi dziewczętami, moimi starymi dobrymi znajomymi, świadkami moich pierwszych sukcesów i porażek.

- Witaj, Kolenkin - zawołała Wala, ta jaśniejsza.

- Dzień dobry, wejdźcie - ucieszyłem się na ich widok. - Nie wiedziałem, że i wy tu jesteście.

- Przyjechałyśmy dziś rano - powiedziała Tamara, ta ciemniejsza. - Przyjemnie tu u ciebie.

Luźno. U nas jest ciasniej.

- To tylko na razie. Dopóki chłopcy nie przyszli - zauważyła Wala.

Miała bardzo miły uśmiech, zacząłem więc szczerze żałować, że jestem niższy od Iwanowa.

W przeciwnym razie zaprosiłbym ją na przykład do kina.

- Dzisiaj jest film - powiedziała Wala. - W jadalni. Przyjdzie pan?

- Przyjdę - odparłem. - A zajmiecie mi miejsce?

- Miejsc będzie pod dostatkiem, bo jeszcze nie wszyscy przyjechali.

- Wala - powiedziała Tamara - zapomniałaś, po co przyszłyśmy? - Obróciła się do mnie: - Spotkałyśmy po drodze Andrieja Zacharowicza. Mówi nam, że Kolenkin przyjechał. No to my do ciebie. Poćwiczysz z nami po obiedzie, dobrze? Walentyna, na przykład, ma kłopoty z techniką.

- Nie przesadzaj! - powiedziałem. - Ale naturalnie chętnie z wami potrenuję.

- Gdzie mieszka ten nasz krasnoludek? - huknęło na korytarzu.

Wala aż się skrzywiła, a ja udałem, że lekceważący okrzyk zupełnie mnie nie dotyczy.

Kudłata głowa Iwanowa, ozdobiona długimi bokobrodami (że też ich poprzednim razem nie zauważyłem!), ukazała się pod górną poprzeczką futryny.

- Cześć, Kolenkin - powiedział Iwanów i wcisnął się do pokoju. - Urządziłeś się?

Wtedy zrozumiałem, że Iwanów wcale nie chce mnie obrazić. Że też się cieszy z mojego przyjazdu. Dopóki byłem obcym, przypadkowo spotkanym grubasem, czuł do mnie antypatię. Teraz jednak stałem się swoim, członkiem drużyny. A to że jestem niewysoki i nie wyglądam na koszykarską gwiazdę, to już moja prywatna sprawa. Najważniejsze, żebym dobrze grał. Wiedziałem przy tym, że nie zamierza mnie oszczędzać, że nawet nie przyjdzie mu to do głowy.

- Iwanów, nie mógłbyś krzyczeć trochę ciszej? - zapytała Ta. - Człowiek po podróży, jeszcze nie zdążył się urządzić, a ty mu spadasz na głowę ze swoimi głupimi tekstami.

- A po co on ma się urządzać? - zdziwił się Iwanów. Potem popatrzył na dziewczęta i zapytał: - A wy co tu robicie? Człowiek po podróży, zmęczony, nie zdążył się urządzić...

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem i jakoś nie potrafiliśmy się uspokoić. Kiedy więc moi sąsiedzi, jeszcze mokrzy po kąpieli, z frotowymi ręcznikami na szyjach, podobni do siebie jak bracia, weszli do pokoju, również zaczęli się uśmiechać.

- Poznajcie się, chłopcy - powiedziała Tamara. - Nasz nowy rozgrywający, Kolenkin. Andriej Zacharowicz dzisiaj o nim mówił.

Koszykarze okazali się ludźmi dobrze wychowanymi i w żaden sposób nie okazali swego rozczarowania lub zdziwienia. A może po prostu trener ich uprzedził. Po kolei podali mi swoje łopaty, porządnie rozwiesili frotowe ręczniki na plecach swoich przedłużonych łóżek i w pokoju zrobiło się tak ciasno, że poczułem niepokój, iż któryś z nich zaraz na mnie nadepnie.

- No i jak, czas na obiad? - zapytała nagle Wala.

- Słusznie! - wykrzyknęła Tamara. - Czułam, że czegoś mi brakuje, a ja jestem po prostu głodna.

I dziewczęta wyfrunęły z pokoju, jeśli wobec nich można użyć takiego określenia.

Poszedłem do jadalni ze swymi sąsiadami. Szedłem między nimi i starałem się przyzwyczaić do myśli, że przynajmniej przez kilka dni będę musiał stale patrzeć na ludzi z dołu.

- Gdzie grałeś przedtem? - zapytał mnie Kola (jeszcze nie nauczyłem się odróżniać go od Toli).

- Wszędzie po trochu - odpowiedziałem wymijająco.

- Aha - mruknął Kola. - A ja przeszedłem z „Truda”. Tu są większe możliwości rozwoju. Bądź co bądź pierwsza liga.

- Słusznie - zgodziłem się z nim.

- Idę na studia. A ty uczysz się czy pracujesz?

- Pracuję.

Chłopcy najwyraźniej byli zaślepieni, jakby mieli na oczach końskie okulary. Bariera psychologiczna. Patrzyli na mnie i chyba mnie nie widzieli. Obok nich dreptał malutki, łysiejący, czterdziestoletni mężczyzna z brzuszkiem, który mógłby z powodzeniem być ich ojcem, a oni rozmawiali ze mną jak z kolegą, z rozgrywającym Gerą Kolenkinem z ich drużyny, z

prawdopodobnie niezłym chłopakiem, z którym trzeba będzie grać. I nagle całe moje poprzednie życie, uregulowane i powszednie, odeszło w przeszłość, wyparowało. Ja też poczułem się Gera Kolenkinem, zwłaszcza po tym, jak przy obiedzie podszedł do mnie Andriej Zacharowicz i dał torbę, mówiąc, że w środku jest kostium i trampki moich rozmiarów.

Andriej Zacharowicz z rodziną posilał się razem z nami, przy sąsiednim stoliku. Jego syn patrzył na mnie z szacunkiem, gdyż z pewnością słyszał od ojca, że jestem utalentowany, że wygląd o niczym nie świadczy. Chłopiec miał jakieś siedem lat, ale starał się zachowywać jak prawdziwy sportowiec. Jego dresy były starannie zwężone i dopasowane. Natomiast żona Andrieja Zacharowicza, chuda, zmęczona kobieta z ciemnymi kręgami wokół żółtych, przenikliwych oczu, patrzyła na mnie z dezaprobatą, bo z pewnością przywykła do wtrącania się w sprawy i decyzje dobrodusznego męża i tej jego decyzji nie pochwałała.

- No, dzieciaki - powiedział wesoło Andriej Zacharowicz - odpocznijcie z pół godzinki, a potem pójdziemy sobie trochę porzucić.

Wyciągnął notes z kieszeni i zaczął w nim pisać. Jestem głęboko przekonany, że wyciąganie notesu należało do odruchów warunkowych. Dopiero trzymając go w ręku, trener nabierał wiary we własne siły.

Przedstawiono mnie masażystce, lekarzowi, kruchej dziewczynce - trenerce drużyny kobiecej i jakiemuś mężczyźnie, który okazał się głównym księgowym, a może przedstawicielem zwierzchnich władz klubowych. Tajemniczy mężczyzna obejrzał mnie od stóp do głów z wyrazem głębokiego niezadowolenia.

W pokoju Kola i Tola leżeli na łóżkach i trawili obiad. Było gorąco i leniwie, jak bywa upalnym letnim popołudniem, kiedy wszystko zamiera i tylko muchy niestrudzenie brzęczą nad uszami. Nie chciało mi się iść na żadne treningi, nie chciało się rzucać piłki. Zzułem buty i zwałem się na łóżko, modląc się w duchu, żeby surowa żona posłała Andrieja Zacharowicza do sklepu... I zaraz się obudziłem, bo Andriej Zacharowicz stał w drzwiach i mówił z wyrzutem:

- Oj, Kolenkin, Kolenkin! Nie będę miał z tobą łatwego życia. Musisz akurat teraz zawiązywać sobie tłuszczyk?

Kola i Tola pakowali swoje rzeczy do białych toreb z napisem „Adidas”.

- Przepraszam - powiedziałem. - Zdrzemnąłem się.

- Daję trzy minuty. Zaczynamy.

Spuściłem sflaczałe nogi z łóżka. Wstać, zabrać ręcznik, kostium, trampki i zapakować to wszystko do skromnej torby wydawało się zbyt wielkim wysiłkiem.

- Kolenkin, grasz w bilard? - zapytał Tola.

- Gram - powiedziałem odważnie, chociaż nigdy tego nie robiłem. Widziałem tylko, jak to się robi, kiedy byłem w sanatorium jakieś trzy lata temu.

- Zupełnie zapomniałem - Andriej Zacharowicz znów wetknął głowę do pokoju. - Chłopcy,

zaprowadźcie Kolenkina do lekarza. Musi go zbadać.

Przed wejściem do gabinetu okropnie się przestraszyłem. Drzwi były drewniane, zwyczajne, jak cała reszta drzwi w domu, ale nagle przypomniałem sobie, że mam krótki oddech, bóle serca i szmery w lewym przedsionku, że nieustannie bołą mnie zęby i w ogóle jest ze mną nie najlepiej, jak nie najlepiej jest ze wszystkimi moimi rówieśnikami, czterdziestolatkami prowadzącymi siedzący tryb życia.

- Poczekamy tu na ciebie, Gerą - powiedzieli Kola i Tola. Najwidoczniej wyczuli moje zdenerwowanie. - Nasz lekarz to swój chłop. Nazywa się Kirył Pietrowicz. Nie bój się.

Okno w gabinecie było otwarte na oścież, młode sosenki kołysały przed nim ciemnymi, puszystymi gałązkami, wentylator na biurku też dawał trochę chłodu, a i sam doktor, którego jakoś nie zauważyłem w jadalni, chociaż mi go przedstawiono, też wydał mi się mile chłodny. W końcu, pomyślałem, jeśli mnie nawet odeślą do domu z powodu złego stanu zdrowia, będzie to lepsze od wyrzucenia z drużyny za złą grę w koszykówkę.

- Dzień dobry, Kiryle Pietrowiczu - powiedziałem starając się nadać głosowi odcień miękki i intymny. - Okropnie dziś gorąco, nie uważa pan?

- A, przyszedł pan? Proszę siadać.

Lekarz był zdecydowanie nie pierwszej młodości, uznałem więc, że został lekarzem sportowym, aby częściej bywać na świeżym powietrzu. Spotykałem już takich niegłupich, wąsatych i trochę rozczarowanych do życia i medycyny lekarzy w domach wypoczynkowych, schroniskach i w innych miejscach, gdzie jest świeże powietrze, mało ludzi i niewiele banalnych chorób.

Doktor odłożył książkę i nie patrząc wyciągnął rękę w stronę długiej skrzyneczki. Zamierzał na początku zmierzyć mi ciśnienie. Druga ręka wprawnie wyjęła z szuflady biurka jakiś kartonik i niebieski długopis.

Najpierw musiałem podać wszystkie swoje dane - wiek, choroby dziecięce i tak dalej. Lekarz zapisywał wszystko bez najmniejszego komentarza, ale potem odłożył długopis i zapytał mnie wprost:

- Proszę mi powiedzieć, Kolenkin, co pana na stare lata skłoniło do zajęcia się sportem? Czy to aby nie za późno?

Ponieważ wzruszyłem tylko ramionami, nie umiając wymyślić godnej odpowiedzi, kontynuował:

- Co powoduje ludźmi? Żądza sławy? Zamiłowanie do hazardu? No, potrafię zrozumieć smarkule i smarkaczy. Rozumiem rzadko spotykanych utalentowanych ludzi, dla których poza sportem nie ma prawdziwego życia. Ale przecież ma pan przyzwoitą posadę, pozycję, własny krąg znajomych. I nagle taka wolta. Wszak pan, to oczywiste, nigdy się sportem nie interesował?

Słuchałem go piąte przez dziesiąte, przerażony nagłą myślą: co będzie, jeśli surowica

Kurlowa wywołuje tak duże zmiany w organizmie, że lekarz zdoła ją wykryć? Wykryje i powie: „Przyjacielu, muszę panu zrobić kontrolę antydopingową!” Albo: „To przecież kryminalna sprawa!”

Nie przerywając sobie, Kirył Pietrowicz owinał mi rękę taśmą i nacisnął gumową gruszkę ciśnieniomierza.

- Co się dzieje z pańskim pulsem? - zdziwił się.

Zrozumiałem, że mój los wisi na włosku, i postanowiłem iść na całego.

- Denerwuję się - powiedziałem. - Bardzo się denerwuję. Proszę mnie zrozumieć. Przecież pan zgadł: istotnie, mam czterdzieści lat i nigdy nie uprawiałem sportu. Chciałbym jednak choć na jakiś czas, chociaż na dwa tygodnie, stać się innym człowiekiem. Czy pan nigdy nie miał ochoty powiedzieć: „A niech to wszystko szlag trafi! Wyjeżdżam na biegun północny!”

- Miałem - odparł krótko doktor. - Proszę zdjąć koszulę, muszę osłuchać serce. A propos, ma pan częstoskurcz. Jest pan nerwicowcem?

- Chyba nie. Chociaż właściwie dziś każdy jest nerwicowcem.

- Po co uogólniać? Proszę wyciągnąć ręce do przodu. Aha, drżą. Wyraźny tremor. Pije pan.

- Tylko w towarzystwie.

- I jak panu w takim stanie udaje się trafić piłką do kosza? Nie radziłbym panu grać w koszykówkę. Na początek powinien pan po prostu dużo chodzić i brać co rano zimny prysznic. Nigdy pan nie próbował?

Pograżał mnie, moja szczerłość kosztowała mnie zbyt drogo.

- Będzie brał zimny prysznic. Dopilnuję tego.

W drzwiach stał Andriej Zacharowicz z notesem w ręku.

- Wszystko zapisuję. Wszystkie pańskie zalecenia, Kiryle Pietrowiczu, starannie zapisuję. Ani jednego nie pomijam. Biegał też będzie.

- Wcale nie jestem pewien. W jego stanie...

- W jego stanie uprawianie sportu jest bardzo pożyteczne upierał się Andriej Zacharowicz. - Już wszystko zapisałem.

Andriej Zacharowicz spocił się z emocji. Na czole występowały błyszczące kropelki, które spływały do oczu. Denerwował się. Doktor okazał się nieoczekiwaną, nieprzewidzianą przeszkodą.

- Ale przecież nie ma niczego poważnego? - zapytał trener uniżenie.

- Poważnego, dzięki Bogu, nic. Po prostu zaniedbany organizm. Przedwcześnie postarzały. Tłuszcz.

Doktor z obrzydzeniem chwycił mnie za białą fałdę tłuszczu na brzuchu i pociągnął.

- Widzi pan?

- Widzę - zgodził się trener. - Zrzucimy. Ciśnienie w granicach normy?

- Tak. Chociaż właściwie nie wiadomo, co można uważać za normę. A poza tym nie serce, tylko barani ogon.

- Dobra. Wszystko jasne. Możemy iść na trening?

- A idźcie sobie, dokąd chcecie! - zirytował się nagle doktor. Ten rozgrywający nie skona panu na boisku. On ma jeszcze zamiar skoczyć na biegun północny!

Na korytarzu czekał Tola z Kola.

- Nieźle cię załatwił - powiedział Tola. - Myślałem już, że cię nie dopuści.

To naprawdę były sympatyczne chłopaki. Nawet nie zdziwił ich stan mego zdrowia. Kibicowali mi i teraz cieszyli się, że lekarza udało się w końcu pokonać.

- Tylko codziennie proszę do mnie na kontrolę - słysząc było głos doktora.

- Oczywiście. Jasna sprawa - zapewniał go trener.

Dopędził nas na werandzie i powiedział do mnie:

- Ale narobiłeś mi kłopotu, Kolenkin! Nieładnie.

I poszliśmy na boisko.

Przebierałem się słysząc stukot piłki i okrzyki zawodników. Serce biło nierówno - spóźniona reakcja na wizytę u lekarza. Ćmił ząb. Nie chciało mi się wychodzić na boisko. W szatni było tak chłodno i panował taki miły półmrok! Za ścianą szeleścił prysznic.

- No co! - krzyknął Kola zagładając do środka. - Idziesz?

Wyszedłem więc na boisko, poprzecinane długimi cieniami wysokich sosen.

Trenowali mężczyźni. Dziewczęta siedziały rządkiem na niziutkiej ławce. Na mój widok zaczęły szeptać i któraś z nich roześmiała się, ale Wala, miła, dobra Wala, syknęła na koleżankę.

Chłopcy przestali grać i też zagapili się na mnie. W jadalni, gdzie spotkałem już prawie wszystkich, było inaczej. Tam byliśmy ubrani. Tam wyglądaliśmy jak cywilizowani ludzie. Jak w domu wypoczynkowym.

Zatrzymałem się na bocznej linii. Wszyscy udajemy, że jesteśmy inni niż w istocie. Staramy się być ważniejsi, błyskotliwsi w rozmowie z kobietą, która się nam podoba. Staramy się być mądrzejsi wobec mężczyzn, lepsi wobec starców, rozsądniejsi wobec zwierzchników. Wszyscy gramy różne role, czasami po dziesięć dziennie. Są to jednak role amatorskie, nietrudne i najczęściej wystarcza do nich instynkt, który sprawia, że zmieniamy głos przez telefon w zależności od tego, z kim rozmawiamy, dostosowując rytm mówienia, zasób słów... I zrozumiałem, że stoję z wciągniętym, brzuchem i ramionami silnie odrzuconymi do tyłu, jakby ludzie patrzący teraz na mnie dali się tak łatwo oszukać.

- Trzymaj! - krzyknął Iwanów. - Trzymaj, Kolenkin. Przecież naród jeszcze w ciebie nie wierzy.

Rozkazałem swoim rękóm schwytać piłkę. Usłuchały mnie. Rozkazałem im strzelić kosza stąd, z bocznej linii, z niewygodnej, dalekiej pozycji. I piłka mnie usłuchała.

- Bomba! - powiedział Tola.

Trudniej było biegać, kozłując piłkę o ziemię, i otrzymywać podania od innych. Piłka była ciężka. Po jakichś dziesięciu minutach nie czułem już rąk. Cały byłem pokryty potem i kurzem. Wiedziałem, że nie zdołam zrobić już nawet kroku, i zamierzałem właśnie zejść z boiska, kiedy Andriej Zacharowicz, stojący opodal z notesem i gwizdkiem, krzyknął:

- Kolenkin! Zejdź, odpocznij. Masz specjalny reżim. Nie przemęczaj się, bo inaczej Kirył Pietrowicz razem nas odeśle do Moskwy.

Zszedłem więc z boiska. Byłem bardzo wdzięczny trenerowi. Przysiadłem się do dziewcząt, które zrobiły mi miejsce na ławce. Tamara przypomniała:

- Gera, obiecałeś nas trochę poćwiczyć.

- Pamiętam - odparłem. - Ale nie dzisiaj.

Najważniejsze, że nie wyszedłem na durnia.

Tego dnia już nie wychodziłem na boisko. Andriej Zacharowicz zerknął wprawdzie w moją stronę, ale ja dyskretnie, samym wzrokiem odrzucałem jego wytrwałe zaproszenia. Przecież nigdy nie zostanę biegaczem. Potrafię tylko jedno, wrzucać piłkę do kosza. Im mniej będę biegał, tym mniejsza będzie sprzeczność między moim talentem a wszystkimi moimi pozostałymi cechami. Zresztą mogę polepszyć swoją renomę na innym polu: bilard.

Po kolacji nie zostałem na filmie. Wala chyba się trochę na mnie obraziła. Kobiety, nawet bardzo młode, są zupełnie zdumiewającymi istotami. Mają zbyt rozwinięte poczucie własności. Sądzę, że jest to zwyczajny atawizm, wspomnienie niemowlęcych czasów, kiedy wszystko było moje: i grzechotka moja, i mama moja, i wujek mój. Należałem do kategorii „mój wujek”. Nawet słyszałem już, jak któraś z dziewcząt, zwracając się do Wali i instynktownie przyznając jej prawo do mnie, powiedziała: „Twój Gera”.

- Nie chce mi się jakoś siedzieć w dusznej sali - powiedziałem dziewczynie.

- Jak pan uważa.

- Ale potem można by pospacerować.

- Żadnych spacerów - powiedział Andriej Zacharowicz, wyrastając jak spod ziemi. - Reżim. A poza tym, Kolenkin, chociaż nie zawiodłeś pokładanych w tobie nadziei, nie zwracaj głowy naszym dziewczętom. One przecież garną się do sławy. Do oryginalności, a ty właśnie jesteś naszą oryginalnością. Nie przeceniaj się. Nie wykorzystuj sprzyjającego momentu.

- Jak pan mógł... - zacząłem.

- Mogłem. Ty, Walentyno, też nie zwracaj chłopakowi głowy.

Omam nie parsknąłem śmiechem. Jak dawno już nie słyszałem niczego podobnego! Jak dawno dwudziestoletnie dziewczyny nie zwracały mi w głowie! I jak dawno już nikt na serio nie nazywał mnie chłopakiem!

- Jak skończy się film, pójdę w stronę boiska - powiedziałem, gdy tylko trener odszedł.

- Jak pan chce - powiedziała Wala. - Ale szkoda, że pan nie zostaje z nami na filmie. Pewnie nudzi się pan z nami.

Dopiero później, już w sali bilardowej, a właściwie na werandzie, uświadomiłem sobie, że dziewczyna przeszła na pan.

Idiotyczna historia!

Przy bilardzie stał Iwanów. Sam.

- Czemu nie poszedłeś na film? - zapytał mnie.

- Już go widziałem - skłamałem. Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że podejrzewam się o wyjątkowe zdolności bilardowe i płonę z niecierpliwości, żeby je wypróbować.

- Ja też widziałem - powiedział Iwanów. - Zresztą tam duszno. Zagramy?

- Dawno już nie grałem - odparłem.

- Przecież nie przegrasz ostatnich portek. Nie bój się. Trafisz kijem w bilę?

- Spróbuję.

Po pierwszym uderzeniu, kiedy kij poleciał mi w jedną stronę, a bile w drugą, zrozumiałem, że ta gra wymaga od wynalazku doktora Kurlowa, to znaczy ode mnie, większego wysiłku niż koszykówka. Choć moje komórki nerwowe pracowały teraz znacznie lepiej niż u jakiegokolwiek człowieka na całym świecie, przekazując bez zakłóceń i przekłamań sygnały mózgu do moich palców, zadanie, jakie miały wykonać, nie należało do łatwych. Na boisku uwzględniałem jedynie ciężar piłki i odległość do kosza, tutaj natomiast musiałem dokładnie wycelować kijem i obliczyć, znaleźć punkt, w który trzeba uderzyć, aby bila prawidłowo potrafiła drugą kulę i wpadła do wąskiej łuzi. I co najważniejsze, musiałem opanować lekkie drżenie palców, nie odgrywające żadnej roli na boisku, ale szalenie groźne tutaj.

Tak to sobie wykalkulowawszy zmusiłem mózg do precyzyjniejszej pracy. Kiedy więc Iwanów, podśmiewając się z mojej niezręczności jak człowiek słusznie dumny z rewanżu, jaki wziął na silnym przeciwniku, celował w bilę - stanąłem w myśli na jego miejscu, z niejakim trudem prześledziłem kierunek jego przyszłego uderzenia i pojąłem, że nie trafi w łuzę. Trafi natomiast kulę w punkt znajdujący się o jakieś trzy centymetry w lewo od narożnej łuzi. Wtedy wiedziałem już, że jestem panem sytuacji.

- Trzymaj - powiedział Iwanów podając mi kij. - Tylko nie podrzyj sukna, bo ciocia Niura ukreści ci głowę. Dla niej nie ma różnicy między gwiazdą a zwykłym człowiekiem.

- Postaram się - odparłem i odwróciłem się na odgłos zbliżających się kroków.

Na werandę wszedł doktor.

- No tak - powiedział złośliwie. - To jest sport dla pana, Kolenkin.

Ale ja się nie obraziłem.

- Najważniejsze jest nie zwycięstwo, tylko uczestniczenie - powiedziałem. - Każdy sport jest godzin szacunku.

- Uhum - powiedział doktor i odszedł pod balustradę, żeby zapalić.

Mnie też zachciało się palić, bo przecież wypaliłem dziś tylko dwa papierosy, i to ukradkiem, w ubikacji. Później Andriej Zacharowicz biegał po całym terenie i krzyczał: „Kto pali? Natychmiast odeśle do domu!” Oczywiście niczego się nie dowiedział, a ja nie byłem jedynym podejrzanym.

Już całkiem się ściemniło. Gęsty cień ogarnął werandę, dysząc wilgotnym chłodkiem i wieczornymi zapachami igliwia i rezedy.

Bez pośpiechu wziąłem kij, zerknąłem na bile. Zrozumiałem, że muszę szukać innego punktu i wolno, niczym tygrys swoją zdobycz, zacząłem okrążyć stół.

- Nie wysilaj się - powiedział Iwanów.

- Naprawdę niech się pan nie wysila - dodał doktor. - Iwanów jest tutejszym mistrzem.

- Tym lepiej - odparłem.

Wreszcie znalazłem to, czego szukałem. Sympatyczne, milutkie kulki! Wiedziałem, w jaki punkt trzeba trafić dalszą bilą bliższą, aby obie wpadły do luzy. Co też zrobiłem.

Iwanów powiedział:

- Aha!

A doktor westchnął z rozczarowaniem i ciężko zszedł z werandy, jakby to on, a nie Iwanów, został pokonany.

Podąłem kij Iwanowowi, ale chłopak się zdziwił.

- Przecież trafiłeś - powiedział. - Bij dalej.

I tak, nie zwracając kija Iwanowowi, wbiłem siedem czy osiem kul do luzy. Tyle, ile było trzeba. Do tej pory nie wiem, ile ich było. Od tamtego czasu nawet nie podchodziłem do stołu bilardowego, chociaż fama o mnie rozniosła się po całej bazie i wielu ludzi prosiło mnie, abym zademonstrował im swoje mistrzostwo. Nie chciałem tego robić po tym, jak obejrzawszy sobie mój ostatni strzał, Iwanów powiedział z zawiścią:

- Mógłbyś w każdym parku kultury zarobić grube pieniądze w zakładach.

Po prostu nie chciałem zarabiać pieniędzy w zakładach.

Zszedłem z werandy i w ciemności znalazłem ławkę koło boiska. Wieczór był bezksiężycowy, a latarnie daleko. Paliłem, osłaniając ogieniek dłonią. Żona trenera długo i monotonicznie wołała syna do domu. Potem z jadalni wychodzili ludzie. Film się skończył. Wali wciąż nie było. Myślałem zresztą, że nie przyjdzie. W krzakach za moimi plecami rozległ się szelest, a potem dziewczęcy głos:

- Nie czekaj, Gera. Ona nie przyjdzie.

- To ty, Tamara? - zapytałem.

- Tak. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziałem i poczułem, że jestem bardzo starym i w ogóle obcym tu

człowiekiem.

Ktoś śmiał się gdzieś daleko. Potem z jadalni odezwała się muzyka. Wróciłem do swojego pokoju. Toh i Koli nie było, tylko białe torby z napisem „Adidas” stały na środku pokoju. Otworzyłem szeroko okno i położyłem się. Do pokoju naleciało pełno komarów i zaczęły brzęczeć mi nad głową, ale usnąłem nie doczekawszy się powrotu sąsiadów.

Następnego dnia z Moskwy przyjechali jacyś działacze z naszego macierzystego stowarzyszenia sportowego. Andriej Zacharowicz wypędził mnie z samego rana na boisko i wpatrywał się we mnie błagalnym wzrokiem. Działacze na mój widok kręcili głowami, a ja starałem się wypaść jak najlepiej. Rzucałem piłką niemal od kosza do kosza, społem się i zmęczyłem, ale Andriej Zacharowicz wciąż patrzył na mnie błagalnym wzrokiem, a działacze wymieniali szeptem jakieś uwagi. Potem uprzejmie pożegnali się z nami i poszli, a ja aż do obiadu nie wiedziałem, czy mnie zaakceptowali czy też zaraz poproszą o spakowanie rzeczy.

Ale przy obiedzie podszedł trener i powiedział:

- Poczekaj na mnie.

Jadłem bez pośpiechu, a Tola i Kola w niezwykłym skupieniu. Mieli dzisiaj bieg na przelaj, w którym nie chciałem brać udziału, i to w jakiś sposób oddaliło nas od siebie. Nie dzieliłem z nimi nieprzyjemnych chwil zmęczenia i przyjemnego momentu przekraczania mety. Rozumiałem to, czego oni nie potrafili sobie nawet uświadomić. Wala też nie patrzyła w moją stronę. Czyżby obraziła się za to, że nie poszedłem do kina wtedy, kiedy ona tego chciała? Dziwne. Ale chyba wytłumaczalne. Nie wiedzieć czemu, czułem się jak człowiek bardzo stary i mądry. Jak biała wrona wśród młodych wróbelków. Bo co ja tu w gruncie rzeczy robię?

Nie dopiłem kompotu, wstałem i wyszedłem z jadalni. Trener siedział na werandzie z księgowym i przeglądał jakieś dokumenty finansowe.

- Aha, jesteś.

Z wyraźną ulgę odsunął na bok papiery i wstał. Odszedł ze mną w cień koło klombu. Jego żona poczłapała obok nas, prowadząc syna za rękę. Patrzyła na mnie z takim wyrzutem, jakbym był kumplem od butelki jej małżonka.

- Zaraz skończę, kotku - powiedział do niej Andriej Zacharowicz.

- Wcale cię nie wołałam.

Trener zwrócił się do mnie.

- Były sprzeciwy - powiedział. - Silne sprzeciwy. Bo widzisz, Kolenkin, sport to jest widowisko. Prawie sztuka. Balet. No więc oni powiadają: co by było, gdyby na scenę Teatru Wielkiego wyszedł taki facet jak ty? Nie obrażaj się, ja tylko powtarzam. Wówczas strzełem głównym argumentem. A wiecie, powiadam, że nam grozi spadek do drugiej ligi? Została już tylko ostatnia kolejka spotkań. Znacnie sytuację. Oni na to, rzecz jasna, że trenera też można zmienić, że niezastąpionych ludzi nie ma i tak dalej. Wtedy postawiłem sprawę na ostrzu noża.

Jeśli, powiadam, zabierzecie mi z niezrozumiałych powodów Kolenkina, odejdę. Drużyna też odejdzie. Do drugiej ligi. Jak chcecie. No i musieli się zgodzić.

Z jadalni wyszły dziewczęta. Wala zerknęła na mnie obojętnie. Tamara szepnęła jej coś na ucho. Roześmiały się. Słońce parzyło mnie w nogi, więc cofnąłem się głębiej w cień.

- Z nikim innym tak bym nie rozmawiał - kontynuował trener, mierzwiąc sobie palcami kędzierzawy wianuszek wokół łysiny - ale jesteś człowiekiem dorosłym, niemal moim rówieśnikiem. Powinieneś zrozumieć. Jeśli drużyna spadnie do drugiej ligi, wszystko zmieni się na niekorzyść. Zrozum to, bracie.

To ostatnie słowo zabrzmiało pochlebnie i nieszczerze.

- Dobra - powiedziałem.

Nie wiem nawet, z czym się zgadzałem.

- No to świetnie. A teraz przyjdą do nas studenci na mecz towarzyski. Postaraj się. Wyjdź na boisko. Pobiegaj. Co?

- Dobra.

Koła z Tolą przechodzili obok. Zobaczyli nas. Stanęli.

Po obiedzie przestali się dąsać i znów byli mi życzliwi.

- Chodźmy nad rzeczkę - zaproponowali.

- Chodźmy - powiedziałem, gdyż nie wiedziałem, jak przerwać rozmowę z trenerem.

- Ale nie mam kąpielówek - powiedziałem do chłopców, kiedy podchodziliśmy do naszego domku, i natychmiast tego pożałowałem. Gdybym nie powiedział, mógłbym to sobie przypomnieć już na brzegu. Wtedy nie musiałbym wchodzić do wody. Przecież i tak nie mogę się przy nich rozebrać.

Chłopcy zorganizowali mi slipy. Teraz nie dało się już wycofać. Ruszyłem za nimi nad rzeczkę i na jej brzegu zrozumiałem, że palnąłem wielkie głupstwo. Właściwie zrozumiałem to znacznie wcześniej, kiedy mówiłem o kąpielówkach, ale w drodze nad rzeczkę jeszcze na coś liczyłem.

Koszykarze grali w siatkówkę. Wszyscy, co do jednego, byli szczupli, opaleni, silni i bardzo przystojni. Może dlatego od razu przypomniałem sobie rozmowę o Teatrze Wielkim i wyobraziłem sobie, jak wyjdę zaraz na brzeg w samych slipach i jak białe, krągłe, miękkie i obrzydliwe będzie moje ciało wśród ich ciał. W dodatku Wala, smukła i lekka, stała nad samą wodą i patrzyła na mnie.

- Chodźmy przebrać się w krzaki - powiedział Tola.

Nie odpowiedziałem. I skoro już głupio było tak odchodzić, siadłem na piasku pod krzakiem, objąłem rękoma kolana i udawałem, że patrzę, wręcz nie mogę oczu oderwać, jak grają w siatkówkę na brzegu. Naturalnie wyglądałem śmiesznie. Jeden ubrany wśród dwudziestu golasów! Zwłaszcza w taki upał, kiedy wejść do wody to prawdziwa rozkosz. Ale dla mnie ta

rozkosz była niedostępna.

- Kolenkin, rozbieraj się! - krzyknęła do mnie z brzegu Tamara.

Pokręciłem głową. Wszyscy patrzyli na mnie, więc nie mogłem odejść, choć czas był już najwyższy.

- On się boi utopić - powiedziała nagle Wala. - To dumny samotnik.

Takiej zdrady się nie spodziewałem. Śmieli się. Pogodnie i zwyczajnie, jak bardzo zdrowi ludzie. Ale śmieli się ze mnie, a ja nie miałem dość sił na to, żeby przyłączyć się do nich, dowieść, że jestem mądrzejszy, śmiać się razem z nimi. A to był przecież mój jedyny ratunek. Zamiast tego wstałem i odszedłem. Idąc widziałem siebie takim, jakim oni mnie widzieli - malutkim, przygarbionym, karykaturalnym. A oni wciąż się śmieli! Doskonale w tym chórze rozróżniałem śmiech Walentyny.

Wieczorem przyjechali do nas studenci. Przyjechali, kiedy już zapakowałem swoją walizeczkę i wepchnąłem ją pod łóżko, żeby przed czasem nie robić zamieszania. Trener obejdzie się beze mnie. I jeśli nawet drużyna spadnie do drugiej ligi, to przecież w końcu ktoś musi spać. A ci, którzy spadliby zamiast nas, też mają trenera, Iwanowa, Kole, Tolę, a nawet lekarza.

- Ej! - krzyknął z alejki masażysta. - Kolenkin! Wyjdz. Trener woła! Będziemy zaraz grać.

Nie czekał na odpowiedź. Chciałem się ukryć, ale zaraz zjawili się Kola i Tola. Zaczęli przygotowywać się do gry i żeby nie wydać się jeszcze śmieszniejszym, musiałem robić to samo.

- Czegoś uciekł? - zapytał Kola. - My przecież tak po prostu.

- Walentyna zrobiła mu przykrość - powiedział Tola. - Przecież człowiek nie musi się kąpać. A ty rżałeś ze wszystkimi. Może Gera naprawdę nie umie pływać? Wiesz, jakie to może być nieprzyjemne.

- Racja - odpowiedział mu Kola. - Mnie kiedyś namawiali na skok ze spadochronem, a ja okropnie się wystraszyłem.

Dobre dzieciaki. Pocieszają mnie. Ale było mi już wszystko jedno. Podjąłem decyzję. Uznałem, że nie wyszła ze mnie wychowana w kolektywie gwiazda światowej koszykówki. Doktor miał rację. Lepiej będzie, jak zacznę uprawiać chód. Z domu do stacji metra.

Na boisko jednak wyszedłem. Nie było żadnego pretekstu do odmowy.

Studenci już rozgrzewali się pod koszem i moje pojawienie się wywołało spontaniczną radość. Niby nikt się do mnie nie zwracał. Niby to rozmawiali między sobą.

- Coś źle u nich z atakiem.

- Pewnie długo szukali.

- Uwaga, szukamy talentów!

- On pracuje tylko przez dwa miesiące w roku. A w ogóle to jest na emeryturze.

Trener studentów, wysoki, żyłasty mężczyzna, najwyraźniej były koszykarz, krzyknął na

nich:

- Spokój!

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedział do mnie Iwanów, wybiegając na boisko z piłką i kozłując ją w oszalałym tempie o ziemię. - Oni cię jeszcze nie widzieli w grze.

Ja zaś wiedziałem, że i to jest nieprawdą. Nie zobaczą mnie w grze, gdyż nie można nauczyć się grać w ciągu dwóch dni, jeśli nawet ma się poprawiony układ nerwowy. Zresztą dla mnie na naukę jest już za późno.

To był mój pierwszy mecz. Trener powiedział:

- Pójdiesz w pierwszej piątce. Najważniejsze, żeby cię faulowali. Karne potrafisz strzelić. I nie biegaj za dużo. Nie męcz się. Niedługo cię zmienię.

Naprzeciw mnie stał drażal z czarnymi wąsikami. Drażalowi było wesoło. Gwizdek. Piłka poleciała na boisko. Ach, ty draniu! Śmiejesz się? Byłem zły. Pobiegłem ku piłce, a tego właśnie nie powinienem robić, bo ułamek sekundy wcześniej Iwanów rzucił piłkę w moją stronę. Właśnie tam, gdzie mnie już nie było. Drażal przejął piłkę. Nerwowo pobiegłem za nim pod nasz kosz i usiłowałem zagrozić mu drogę. Drażal niezauważalnie, ale boleśnie potracił mnie kolaniem w biodro. Krzyknąłem z bólu i stanąłem.

- No, co ty! - zdążył krzyknąć do mnie Iwanów.

Drażal podskoczył i czyściutko włożył piłkę do kosza. Odwrócił się do mnie, uśmiechając się od ucha do ucha, a mnie bolało stłuczone biodro.

- Na środek! - krzyknął w biegu Iwanów.

Kola wyrzucił piłkę na środek. Pobiegłem tam i odległość do kosza przeciwników wydała mi się okropnie wielka. Było gorąco. Wydawało mi się, że śmieją się już wszyscy. I moi, i obcy.

- Trzymaj! - krzyknął Kola i rzucił piłkę do mnie. Zupełnie inaczej niż na treningu. Rzucił, jak kulę armatnią. Jak Iwanów tego pierwszego dnia, który doprowadził do mojej dzisiejszej hańby.

Teraz nie mogłem odskoczyć. Przyjąłem piłkę na pierś, utrzymałem ją i pobiegłem w stronę kosza. Przy piątym lub szóstym kroku, uradowany, że jednak mogę przydać się na coś drużynie, rzuciłem piłkę, która miękko weszła do kosza. Rozległ się gwizdek. Pobiegłem z powrotem, ale w tym momencie zatrzymał mnie okrzyk trenera:

- Co ty robisz? Grasz w szczypiorka?

- Kroki - powiedział do mnie sędzia, zdumiony i rozbawiony. - Kroki - powtórzył miękko.

Ależ oczywiście, że zrobiłem więcej niż trzy kroki! Jak to wyraźnie widać, gdy ogląda się mecz w telewizji... Strzał nie został zaliczony. Trzeba było schodzić z boiska. Opadły mi ręce. Wprawdzie jeszcze przez jakieś pięć minut biegałem po boisku, krzątałem się, raz nawet udało mi się strzelić kosza, ale i tak widok był żalospny. Żalowałem jednak tylko tego, że nie wyjechałem wcześniej, zaraz po scenie nad rzeczka.

Andriej Zacharowicz wziął czas dla drużyny. I kiedy podeszliśmy do niego, nawet na mnie nie spojrzął, tylko powiedział:

- Siergiejew, zmienisz Kolenkina.

Odszedłem na bok, żeby nie zderzyć się z Siergiejewem, który wybiegł z pozostałymi na boisko.

- Poczekaj - rzucił w moją stronę Andriej Zacharowicz.

Siadłem na ławce. Rezerwowi też nawet na mnie nie spojrzeli. Nie czekałem więc, aż się to wszystko skończy, tylko wyszedłem za plecami trenera.

- Gdzie pan idzie? - zapytała Wala. - Nie trzeba...

Nie słyszałem jednak, co jeszcze powiedziała. Nie chciałem słyszeć.

Poszedłem do swojego pokoju, wyciągnąłem spod łóżka walizeczkę i założyłem koszulę i spodnie na kostium. Nie miałem czasu porządnie się przebrać, gdyż każda stracona minuta groziła rozmową z trenerem, a takiej rozmowy nie potrafiłbym znieść.

Przystanąłem na korytarzu, wyjrzałem na werandę. Pusto. Można iść. Z boiska dobiegały ostre głosy. Ktoś zaklaskał.

- Gdzie Kolenkin? - usłyszałem głos trenera.

Ten głos podciął mnie jak batem, więc skuliłem się i pobiegłem w stronę bramy.

Przy bramie natknąłem się na lekarza. Udałem, że go nie widzę, ale on nie uważał za stosowne podtrzymać gry.

- Ucieka pan? - zapytał. - Tego się spodziewałem. Proszę jednak nie zapominać, że bardzo się panu przydadzą zimne prysznice co rano i długie spacerunki. Bo inaczej za pięć lat będzie pan ruiną człowieka.

Ostatnie jego słowa i śmiech dobiegły mnie już z daleka. Spieszyłem się na stację.

W na poły pustym wagonie pociągu podmiejskiego wymyślałem sobie od ostatnich. Przepocony kostium koszykarski przylepił się do ciała, wywołując swędzenie skóry. Po co ja się w to wszystko pchałem. Teraz wyszedłem na durnia nie tylko wobec koszykarzy, ale również w pracy. To wszystko przez Kurlowa... A niby dlaczego? Kurlów przeprowadzał doświadczenie. Znalazł posłuszną świnkę morską i przeprowadził. Jedno tylko wiedziałem na pewno: do pracy nie wracam. Mam jeszcze dziesięć dni urlopu i chociaż ten urlop uzyskałem oszukańczą drogą, wcale nie mam zamiaru go stracić. Inna rzecz, iż - wiedziałem, że to moje zdecydowanie spowodowane jest zwyczajnym tchórzostwem. Z jakim czołem wejdę do działu kadr w trzy dni po uroczystym wyjeździe na zgrupowanie? A może oni będą mnie szukać? Nie, po tak oczywistej wpadce nie zrobią tego. Skoczę na parę dni do Leningradu. A potem się zobaczy.

Tak też zrobiłem. A potem wróciłem do pracy. Jeśli trener nawet mnie szukał, to w każdym razie nie mówił, że uciekłem ze zgrupowania. Doskonale go rozumiałem. Gdyby sprawa wyszła na jaw, cała odpowiedzialność spadłaby na niego. Na jakiej podstawie naciskał różne guziki i

wycygał mnie z pracy? Po co niepokoił własnych sportowych zwierzchników? Po prostu zostałem usunięty z powodu nieudolności.

A Kurłowa spotkałem dopiero po powrocie z Leningradu. Naturalnie w windzie.

- Myślałem - powiedział nie bez złośliwości - że został pan już koszykarską gwiazdą.

Nie obraziłem się. Moja koszykarska przeszłość zapadła w niepamięć tak głęboką, że z równym powodzeniem mogła mi się przyśnić.

- Kariera skończona - powiedziałem. - A jak tam pańskie doświadczenia?

- Posuwają się powoli do przodu - odparł Kurłow. - Po paru latach już wszystkie dzieci będziemy szczepić naszą surowicą. Już w przedszkolu.

- Surowicą Kurłowa?

- Nie, surowicą naszego instytutu. A co pana powstrzymało? Przecież wyglądało na to, że zgodził się pan na trudny chleb koszykarza.

- Ten chleb okazał się dla mnie zbyt trudny. Rzucanie piłki to nie wszystko.

- Zrozumiał to pan?

- Nie od razu.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze. Kurłow otworzył drzwi i stojąc już jedną nogą na podeście, powiedział:

- Wpadnę w tych dniach. Opowie mi pan swoje wrażenia?

- Opowiem. Ale chcę od razu uprzedzić, iż dokonałem tylko jednego odkrycia.

- Jakiego?

- Że mogę zarabiać grube pieniądze grając w bilard o zakład.

- Aaaa... - Kurłow był wyraźnie rozczarowany. Spodziewał się widocznie innej odpowiedzi. -

No - powiedział po kilku sekundach namysłu. - Dzieci tej gry nie będziemy uczyć. Tym bardziej gry o pieniądze. Ale może mi pan wierzyć, że nasza szczepionka stworzy nowego człowieka. Człowieka doskonałego.

- Wierzę - powiedziałem zamykając drzwi windy. - Ale niestety my obaj nie odniesiemy z tego zbyt wielkich korzyści.

- Czyżby? - odparł Kurłow. - Przecież będziemy mogli pograć sobie w bilard.

Już po przyjsciu do domu zrozumiałem, że Kurłow ma rację. Jeśli za parę lat dzieci zaczną szczepić się surowicą, po której zastosowaniu ich ręce będą robić dokładnie to, czego żąda od nich mózg, istotnie będzie to już zupełnie inny człowiek. Jak łatwo będzie uczyć rysowników, kreślarzy i malarzy! Rzemiosło opanują w ciągu paru dni i wszystkie siły poświęcą w ten sposób twórczości. Strzelcy nie będą chybiać, piłkarze zawsze trafią piłką do bramki i dzieciaki już w pierwszej klasie nie będą tracić czasu na rysowanie gryzmołów - ich ręce będą kreślić dokładnie takie litery, jakie napisze ich nauczyciel. Zresztą zmian będzie więcej. Od razu wszystkie nie przyjdą do głowy.

Tak więc po przyjeździe do domu wziąłem arkusz papieru i spróbowałem skopiować wiszący na ścianie portret Hemingwaya.

Musiałem trochę popracować, ale po godzinie leżał przede mną niemal taki sam portret, jak ten wiszący na ścianie. To mi odrobinę polepszyło nastrój.

A następnego dnia wydarzyły się dwie rzeczy naraz. Po pierwsze, odniesiono mi bieliznę z pralni i w paczce, ku mojemu zdumieniu, znalazłem swój klubowy kostium. Po wtóre, tego samego ranka przeczytałem w gazecie, że w drugim programie telewizji zostanie nadany reportaż z meczu mojej drużyny, mojej byłej drużyny. W tej samej gazecie, w komentarzu sportowym, informowano, że ów mecz jest ostatnią szansą drużyny na utrzymanie się w pierwszej lidze i że z tego właśnie względu zasługuje na uwagę.

Długo włączyłem się po pokoju, patrzyłem na rozłożony na tapczanie kostium z wielkim numerem „22”. Potem złożyłem go i zdecydowałem, że pójdę dziś wieczorem na mecz, że odnajdę tam Andrieja Zacharowicza i zwrócę mu służbowe wdzianko. Co było, to było. Mam nadzieję, że nie będzie się na mnie zbyt mocno gniewał.

Nie chciałem się sam sobie przyznać, że bardzo pragnę zobaczyć z bliska, jak na boisko wyjdzie Kola z Tolą, że chcę zobaczyć Walę, która z pewnością przyjdzie popatrzeć, jak jej chłopcy rozgrywają ostatni mecz w kolejce. Zapomniałem przy tym, że moje pojawienie się w wypadku przegranej jeszcze bardziej zdenerwuje trenera. Po prostu nie pomyślałem o tym.

Przyszedłem zbyt wcześnie, kiedy sala dopiero zaczęła się wypełniać widzami. Pod koszem rozgrzewali się Litwini, z którymi mieli grać moi chłopcy. Jednak moi. Miałem miejsce niedaleko boiska, ale nie w pierwszym rzędzie. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyli.

Potem na boisko wyszedł Andriej Zacharowicz z masażystą. O coś się kłócili. Odwróciłem się, ale nie patrzyli w moją stronę. Zaraz potem w przejściu, tuż obok mnie, pojawił się doktor Kirył Pietrowicz. Uniosłem głowę i spotkałem się z nim wzrokiem. Doktor uśmiechnął się kącikiem ust, pochylił się i zapytał:

- Bierze pan zimne prysznicze?

- Tak! - odparłem ostrym tonem, ale zaraz dodałem: - Proszę nie mówić trenerowi, że tu jestem.

- Jak pan sobie życzy - odparł doktor i odszedł.

Przyłączył się do trenera i masażysty. Kontynuowali rozmowę, ale nie patrzyli w moją stronę, to znaczy, że doktor dotrzymał słowa. Andriej Zacharowicz ze dwa razy wyjmował notes, ale zaraz wpychał go z powrotem do kieszeni. Był bardzo zdenerwowany i ogromnie mu współczułem. Rozejrzałem się dokoła - na sali jego żony nie było. Zrobiło się gwarno i na widowni zapanowała szczególna, niespokojna atmosfera, której nie można odczuć siedząc przed telewizorem, którą czuje się jedynie tu, siedząc między ludźmi, zespolonymi dziwnymi, nieuchwytnymi, lecz wyraźnie wyczuwalnymi nićmi i związanymi tymi samymi nićmi z każdym

ruchem ludzi na boisku.

A dalej wszystko było niedobrze. Iwanów kilka razy chybił, kiedy w żaden sposób chybić nie powinien. Kola do przerwy zebrał pięć osobistych i musiał zejść z boiska. Siergiejew nie wiadomo czemu kulał i spóźniał się do piłki. Andriej Zacharowicz kręcił się jak w ukropie, biegał wzdłuż boiska i dwukrotnie wziął czas dla drużyny, coś tam tłumacząc chłopakom.

Wala z przyjaciółkami siedziała w pierwszym rzędzie. Widziałem je i wciąż miałem nadzieję, że dziewczyna obróci się do mnie profilem, ale ona nie odrywała wzroku od boiska. Do przerwy Litwini prowadzili dziesięcioma punktami i było oczywiste, że w drugim secie dobiją naszych. Zadaszą. Widownia już przestała kibicować mojej drużynie, a ja nie chciałem krzyżeć, bo obawiałem się, że Wala rozpozna mój głos i odwróci się. I będzie mi wstyd. Obok mnie siedział szesnastoletni może chłopak i wciąż powtarzał:

- Na przemiał! Do kitu! Grajcie lepiej w klipę!

I gwizdał, dopóki nie warknąłem:

- Mógłbyś przestać?!

- Już jestem cicho, dziadku - odgryzł mi się smarkacz, ale jednak przestał gwizdać.

Po przerwie poszedłem do szatni, gdyż zrozumiałem, że do końca meczu nie wysiedzę. Opanowało mnie paskudne uczucie, że wszystko, co teraz zrobię, zrobić muszę. To było jasne. Nawet nie dlatego, że nasi grali źle, gorzej od Litwinów. Po prostu już wiedzieli, że przegrywają. Ja też to wiedziałem. Poszedłem więc do szatni, aby kiedy wszyscy z niej wyjdą, położyć kostium na ławce i dołączyć do niego kartkę z przeprosinami za przetrzymanie.

Do szatni wpuścili mnie bez przeszkód, a właściwie nikt tam nie pilnował wejścia. Zresztą kogo mogła obchodzić pusta szatnia, kiedy wszystko decydowało się na boisku.

Wszedłem do środka. Przy ławce stały rzędem znajome torby z napisem „Adidas”. Pewnie nazwa jakiejś linii lotniczej. Poznałem rzuconą w kąt marynarkę Toli i wyobraziłem sobie szatnię w bazie, tam, pod sosnami. Była mniejsza, ciemniejsza, ale poza tym taka sama.

Wyjąłem z torby kostium i trampki. Położyłem je na ławce. Trzeba było teraz napisać kartkę. Z sali dobiegały gwizdy i hałasy. Rozpoczął się drugi set. Gdzie jest długopis? Długopisu nie było. Zostawić kostium bez kartki? Trzeba będzie. Rozłożyłem koszulkę z numerem „22” i zapragnąłem ją przymierzyć. Ale to było idiotyczne pragnienie, położyłem więc koszulkę na ławce.

- Przyszedł pan? - zapytał doktor. Nie usłyszałem nawet, jak wchodził.

- Tak. Jak to dobrze, że pan się tu zjawił! Nie mam czym napisać kartki. Zwracam kostium i trampki.

I spróbowałem się uśmiechnąć. Pewnie wyszło to dość żałośnie. - Proszę położyć - powiedział doktor. Obejdzie się bez kartki.

- To już koniec? - zapytałem.

- Prawie - odparł doktor. - Cudów nie ma.

A kiedy szedłem ku drzwiom, zapytał nagle:

- A czy pan, Kolenkin, nie chciałby wyjść teraz na boisko?

- Słucham?

- Wyjść na boisko. Pozwoliłbym.

Zamiast roześmiać się, obrócić sprawę w żart, nie wiedzieć czemu powiedziałem:

- Nie mogę. Przecież nie jestem zgłoszony do meczu.

- Na razie jest pan jeszcze członkiem drużyny. Zamieszanie ostatnich dni sprawiło, że nikt nie miał czasu pana zwolnić.

- Ale nie jestem zgłoszony do gry.

- Jest pan zgłoszony.

- Jak to?

- Przed meczem zdążyłem wpisać pana do protokołu. Powiedziałem trenerowi, że pan obiecał przyjść.

- Niemożliwe!

- Powiedziałem, że to nic pewnego. Ale i tak mamy krótką ławkę. Było wolne miejsce.

- I on mnie wpisał?

- Wpisał. Powiedział, że robi to na wszelki wypadek. A nuż pomoże. Wszyscy przed meczem stajemy się przesądni.

Nagle przyłapałem się na tym, że się rozbieram. Że szybko zrzucam z siebie spodnie, że spieszę się, bo czas ucieka, chłopaki tam grają, a ja zabawiam się abstrakcyjnymi rozmowami z doktorem, który nie bardzo mnie lubi, ale za to jest dobrym psychologiem. Pomyślałem, że chyba od momentu wyjścia z domu z kostiumem w torbie byłem już gotów popełnić ten bezsensowny, szalony czyn.

- Proszę się tak nie denerwować - powiedział doktor. - Pewnie niewiele pan pomoże. I po wyjściu niech pan nie zwraca uwagi na widzów, którzy nader żywo mogą zareagować na pana widok. Niech się pan nie peszy.

- A niech ich szlag trafi! - zirytowałem się nagle. - Nic mi się nie stanie.

Sznurowałem trampki. Sznurowadła plątały mi się w palcach, ale doktor nie odezwał się ani słowem i tylko delikatnie zakaszłał, kiedy wpadłem w niewłaściwe drzwi.

A później straciłem poczucie czasu. Pamiętam tylko, że doktor szedł przede mną i co chwila się oglądał. Pamiętam, że znalazłem się we wrzeszczącej sali, która z początku nie zwróciła na mnie uwagi, gdyż wszyscy patrzyli na boisko. Usłyszałem, jak Wala powiedziała:

- Gera! Geroczka!

Zobaczyłem, jak Andriej Zacharowicz obrócił się do mnie i zapytał z głupawym uśmiechem:

- Ty czego!

Poszedł do mnie i chwycił za ramię, żeby przekonać się o mojej realności, i nie puszczał, boleśnie ściskając ramię palcami. Czekał na przerwę w grze, żeby wepchnąć mnie na boisko. Słyszałem, jak siedzący na ławce spoceni zmordowani chłopcy wołali: „Cześć!”, „Jak się masz, Gera?”. Niektórzy próbowali wstać, ale masażysta osadził ich na miejscach. Rozległ się gwizdek. Litwini strzelali nam karnego.

Wtedy, popychany przez trenera, wyszedłem na widoczne, czołowe miejsce. Z przeciwka włókł się ciężko Iwanów, który na mój widok wcale się nie zdziwił, tylko klepnął mnie po plecach, jakby przekazując sztafetę. I w tym momencie sala ryknęła śmiechem. Głośnym i złośliwym. Zawiedzeni grą ludzi śmieli się nie tylko ze mnie, śmieli się również z drużyny, która najwyraźniej nie miała kogo wystawić do gry. Może bym nawet zawahał się, zatrzymał przytłoczony śmiechem, gdyby przez ten śmiech nie przebił się wysoki, przenikliwy głos, chyba głos Tamary:

- Dawaj, Gera!

Sędzia popatrzył na mnie z niedowierzaniem i podbiegł do stolika komisji. Andriej Zacharowicz chyba, przewidział taką reakcję, bo już tam stał i pochylony nad sędziami wodził palcem po protokole.

Nade mną stał Tola.

- Jak będę miał piłkę - szepnął i ten szept wyraźnie dobiegł do mnie przez odległy teraz i nic mnie nie obchodzący gwar - leć pod ich kosz. I zatrzymaj się. Jasne? Nie lataj z piłką, bo zrobisz kroki.

Pamiętał moją hańbę, ale ja się nie obraziłem. Teraz ważne było tylko jedno - grać. Zdażyłem zerknąć na tablicę wyników. Litwini prowadzili szesnastoma punktami, a do końca meczu zostało czternaście minut z sekundami. Litwini przerzucali się ironicznymi uwagami. Nie miałem im tego za złe. Byli pewni zwycięstwa, tym łatwiejszego, że nie uważali mnie w ogóle za gracza.

Nareszcie sędzia wrócił na boisko. Uspokojony, ale i zaintrygowany. Litwin wziął piłkę i rzucił. Chybił. Litwin rzucił powtórnie. Piłka wpadła do kosza. Na sali rozległy się oklaski. Westchnąłem głęboko. Nie mogę się męczyć. I nie jest ważne, jak biegam. Nie jestem przecież na scenie Teatru Wielkiego. Uśmiechnąłem się.

Przebiegłem pół boiska i odwróciłem się do Toli, który rzucił mi piłkę spod naszego kosza. Wyciągnąłem ręce, zapominając im dać poprawkę na to, że piłka jest śliska od mokrych spoconych dłoni. Nie uwzględniłem tego. Piłka wyślizgnęła mi się z rąk i potoczyła po boisku.

Jakież gwizdy wybuchły na trybunach! Jakież śmiech!... Śmiał się stadion. Śmiał się cały drugi program telewizji. Śmiały się miliony ludzi, a ja nie umarłem ze wstydu. Wiedziałem, że następnym razem uwzględnię śliskość piłki i że już nie wypadnie mi ona z rąk. Żeby tylko Andriej Zacharowicz się nie przestraszył. Odnalazłem go wzrokiem i kiwnąłem mu głową.

Trener był błąd. Nie patrzył na mnie. Zastanawiał się, co robić.

- Daj! - krzyknąłem do Toli, który przejął piłkę.

Przez, ułamek sekundy Tola wahał się. Mógłby spróbować sam, ale to był dobry chłopak. Grał ze mną i dopóki byliśmy razem na boisku, uważał mnie za nie gorszego od siebie. Zdecydował się i delikatnie, łagodnie, wysokim łukiem podał piłkę w moim kierunku. Ciężko podskoczyłem i rzuciłem piłkę do odległego kosza, a mój mózg pracował przy tym precyzyjnie jak zegarek.

Piłka wleciała ponad tarczę i niczym na zwolnionym filmie ostrożnie opadła w sam środek kosza, nie potrącając nawet metalowego pierścienia, i stuknęła o ziemię.

Na sali zapadła cisza. Ta cisza była o wiele głośniejsza niż rozlegający się jeszcze przed chwilą ryk. Od tej ciszy mogły popękać błony bębenkowe w uszach. A ja pobiegłem z powrotem, żeby pomóc naszym, kiedy Litwini znów zaatakują.

Mojego drugiego kosza, strzelonego z linii bocznej, trybuny skwitowały ostrożnymi oklaskami. Szalały tylko nasze dziewczęta. Po trzecim koszu trybuny przyłączyły się do nich i zaczęły skandować: „Gera! Gera!”, jakby to było czarodziejskie zaklęcie. Wtedy nasza drużyna zagrała zupełnie inaczej. Wszystko się zmieniło. Na boisko ponownie wszedł Iwanów i wrzucił taką piękną piłkę, że nawet trener Litwinów dwa razy klasnął w dłonie. Zaraz jednak wziął czas dla swojej drużyny.

Podeszliśmy do Andrieja Zacharowicza.

- Dobrze jest! - powiedział. - Zostało cztery punkty. Dwa kosze z gry. A ty, Kolenkin, nie biegaj za dużo. Zmęczysz się. W razie czego daj mi znak, a zaraz cię zmienię.

- Jakoś to będzie - powiedziałem.

Iwanów położył mi na ramieniu swoją ciężką rękę. Wiedzieliśmy już, że wygramy.

Mój dalszy udział w grze był nader skromny. Coś ze trzy razy haniebnie straciłem piłkę, ale jakoś nikt nie zwrócił na to uwagi. Potem strzelałem karne i obie piłki wrzuciłem do kosza. A na jakieś pięć minut przed końcem spotkania, przy stanie 87 - 76 na naszą korzyść, Andriej Zacharowicz zastąpił mnie Siergiejewem.

- Posiedź - powiedział. - Chyba już damy sobie radę. Doktor zabrania ci dużo biegać. Powiada, że to szkodzi na serce.

- Nic strasznego - odparłem.

- Siedź!

Usiadłem na ławce i poczułem, że jestem kompletnie wypompowany. Nawet kiedy rozległ się gwizdek i nasi zebrali się dokoła, żeby mnie podrzucić, nie miałem siły podnieść się i uciec.

Zanieśli mnie do szatni, a za mną nieśli trenera. Zresztą nic szczególnego nie zaszło. Nasza drużyna nie zdobyła mistrzostwa Związku Radzieckiego, pucharu lub jakiejś nagrody międzynarodowej. Została tylko w pierwszej lidze i żałoba, która miała nas dziś okryć, przypadła

w udziale innym.

- Dobry jesteś! - powiedział Iwanów, opuszczając mnie ostrożnie na ziemię.

Z sali dobiegał jeszcze gwar i niezgrany chór głosów:

- Gera! Gera!

- Dziękuję - powiedział Andrzej Zacharowicz. - Dziękuję, że przyszedłeś. Nie liczyłem na to.

- Nie liczył pan, ale do protokołu wpisał - powiedział Siergiejew.

- Co ty tam wiesz! - odparł Andriej Zacharowicz.

Wala podeszła do mnie, schyliła się i mocno pocałowała powyżej skroni, w zaczątki łysiny.

- Oj, Geroczka! - powiedziała. Twarz miała zalaną łzami.

A później wyprowadzili mnie z szatni jakimś tylnym wyjściem, bo przy autobusie czekał tłum kibiców. Andriej Zacharowicz umówił się ze mną, że jutro o siedemnastej trzydzieści przyjdę na bankiet. Koniecznie! Teraz można. Tamara wzięła ode mnie telefon i powiedziała:

- Ona zadzwoni wieczorem. Może?

Wiedziałem, że przyjdę na bankiet, że będę czekał na telefon tej długonogiej dziewczyny, z którą chyba nie odważę się pokazać na ulicy. Że jeszcze nieraz przyjadę do nich do bazy, chociaż nigdy już więcej nie wyjdę na boisko.

Tak właśnie powiedziałem doktorowi, kiedy szliśmy razem bulwarem. Mieliśmy prawie po drodze.

- Jest pan tego pewien? - zapytał doktor.

- Absolutnie. Dziś po prostu był szczególny dzień. Taki dzień zdarza się tylko raz.

- Gwiezdna godzina?

- Może pan to i tak nazwać.

- Teraz będą pana poznawać na ulicy.

- Wątpię. W garniturze wyglądam znacznie dostojniej. Tyle że w pracy będzie trochę zamieszania.

- Wyobrażam sobie - powiedział doktor i roześmiał się kaszlącym śmiechem. - A jednak nie może pan być pewny, że już nigdy boisko pana nie pociągnie. To przecież jest jak narkotyk. Znam to.

- Pan?

- Zawsze marzyłem o tym, żeby zostać sportowcem, ale nie miałem warunków fizycznych. I nawet z rozpaczyci chciałem wyjechać na biegun północny. Dlaczego więc pan jest tak pewny swego?

- Dlatego, że koszykówce grozi śmierć. Dlatego, że za parę lat każdy uczeń piątej klasy będzie umiał to samo, co dziś ja umiem.

I opowiedziałem mu o doświadczeniu Kurlowa. Doktor długo milczał. Potem powiedział:

- Właściwie całą drużynę należałoby zdyskwalifikować.

- Dlaczego?

- To, co się panu przytrafiło, do złudzenia przypomina doping.

- Nie zgadzam się z panem. To przecież jest moja nieodłączna cecha, której nigdy nie utracę.

Przecież mógłbym grać w okularach, gdybym miał słaby wzrok?

Doktor wzruszył ramionami:

- Może ma pan rację, ale koszykówka nie umrze, tylko się przystosuje. Zobacz pan. Wszak i pana możliwości mają jakieś granice.

- Naturalnie - odparłem. - Byłoby mi przykro, gdyby koszykówka umarła.

Rozstaliśmy się przy Moście Eorodińskim. Na pożegnanie doktor zapytał:

- Do jutra?

- Do jutra - odparłem.

- A propos, serdecznie radzę panu brać co rano zimny prysznic. Wcale nie żartuję.

- Postaram się.

- Nie „postaram się”, tylko „będę brał”! Kto wie? Zrzuci pan brzuszek, nabierze pan trochę kondycji i może wtedy znajdzie się dla pana miejsce w nowej koszykówce.

Poszedłem dalej, do domu, pieszo. Nie spieszyło mi się, a poza tym doktor przepisał mi długie spacerowanie.

Parowóz dla cara

Niewielki statek kosmiczny spadł na podwórko domu numer 16 przy ulicy Puszkina. Padał deszcz ze śniegiem, jesień kończyła swoje panowanie i z wolna ustępowała miejsca zimie. Statek spadł bez najmniejszego hałasu, tak że Korneliusz Udałow, który właśnie szedł do pracy, z początku nawet nie zorientował się, jacy to goście zaszczylili jego rodzinny dom.

Statek uszkodził węgiel szopy, osunął się w kałużę, wznosząc całe tumany drobnych kropelek błota, i znieruchomiał.

Udałow cofnął się od bramy, obszedł statek dokoła, osłaniając się od deszczu kolorową parasolką plażową typu umbrella, którą pożyczył od żony, zapukał w kadłub statku w nadziei, że uzyska jakiś sygnał, a gdy to nie nastąpiło, poszedł budzić sąsiada, Aleksandra Grubina.

- Sasza - powiedział stukając palcem w lufcik okna na parterze - Sasza, wstawaj, na nasze podwórko spadł statek kosmiczny.

- Jeszcze za wcześnie - rozległ się rozespany głos Grubina. - Nie ma ósmej.

- Milczy, nie reaguje - powiedział Udałow. - Może przydarzyła mu się jakaś awaria?

- A duży to statek? - zapytał Grubin.

- Nie, jakieś trzy metry średnicy. Typu „latający talerz”.

- Ma znaki rozpoznawcze?

- Znaków rozpoznawczych nie widać.

- Popilnuj go, a ja tymczasem się ubiorę. Pada?

- Jest paskudnie. Że też musiał akurat dziś spać. O dziewiątej mam naradę.

Udałow wrócił do statku, odszukał właz i zapukał.

- Stemiwuram zaś? - zapytał głos ze środka.

- To ja, Udałow - powiedział Korneliusz Iwanowicz. - Naumyślnie tu wylądowaliście czy jak?

- Posliti, maratakra - powiedział ten sam głos.

- Otwieraj, nie spiesz się, poczekam - odparł Udałow.

Właz szcęknął i otworzył się.

W progu stał, przecierając zaspane oczy, nie znany Udałowowi rozczochrany kosmonauta w piżamie.

Kosmonauta przypominał wyglądem człowieka, jeśli nie liczyć niezwykle niskiego, do pasa Udałowowi, wzrostu, zielonkawej cery i sztywnych włosów, które wyrastały pęczkami z czoła i końca nosa.

- Pregranika wsłuka! - wykrzyknął kosmonauta spojrzawszy na niebo, a potem na Udałowa i na budynki otaczające podwórze.

- Pogoda jak pogoda, o tej porze roku w naszej strefie klimatycznej niczego lepszego nie

można się spodziewać.

Kosmonauta wzdrygnął się z zimna i powiedział:

- Struku, krapataka.
- Ubierz się, ubierz - odparł Udałow. - Poczekam.

Troskliwie przymknął pokrywę wjazdu i stanął za statkiem, gdzie deszcz nie tak silnie zacinał. Różowa farba prawie zupełnie złuszczyła się z kadłuba - widocznie statek nie od dziś wędrował przez kosmiczne dale.

Przyszedł Grubin, zawinięty w wojskową płachtę namiotową.

- Ten? - zapytał wskazując statek kosmiczny.
- Właśnie - powiedział Udałow.
- Nieduży. Dopukałeś się?
- Zaraz wyjdzie, tylko się ubierz.
- Przyleciał do nas z wizytą czy tak sobie?
- Jeszcze nie wiadomo. W każdym razie nasza pogoda wcale mu się nie spodobała.
- Komu ona może się spodobać! Przecież to nie Soczi.

- Zawsze gdy przylatują do nas międzygwiazdni goście, spodziewam się po ich wizytach czegoś interesującego. Rozwoju nauki, techniki, sztuki - powiedział w rozmarzeniu Udałow. - Aż serce zaczyna mi szybciej bić na myśl o perspektywach.

- Poczekaj, może on ma wrogie zamiary - mruknął Grubin.

- Nie wygląda mi na to - powiedział Udałow. - Był w piżamie, widocznie przespał lądowanie.

- A po jakiemu on mówi?

- Jego język jest na razie niezrozumiały, ale to nic, rozszyfrujemy.

Szczęśliwie się obeszło bez rozszyfrowywania języka. Właz skrzypnął i na ziemię zeskoczył kosmonauta, tym razem w przezroczystym płaszczu i takimż kapeluszu.

- No cóż - powiedział Udałow - poznajmy się.

- Strpiechurka tik - odparł kosmonauta.

- Możemy poczekać, nam się nie pali - zgodził się Udałow. - Proszę jednak wziąć pod uwagę, że o dziewiątej mam naradę.

Kosmonauta wyjął z kieszeni czarne pudełko z dziurkami osłoniętymi siatką i włączył je naciskając guzik.

- To twój tłumacz? - zapytał Grubin.

A czarne pudełko natychmiast wychrypiało:

- Wokrocituk pa latam prakawa?
- Wosta - powiedział kosmonauta i pudełko powtórzyło:
- Oczywiście.

Od tej chwili rozmowa między kosmonautą a ludźmi była znacznie uproszczona i Udałow natychmiast mógł się przekonać, iż istotnie gość należy do niezmiernie rozwiniętej i postępowej cywilizacji. Kontakt z takim kosmonautą mógł przynieść wiele korzyści.

- Co to za planeta? - zapytał kosmonauta.

Było mu zimno, przestępował z nóżki na nóżkę, więc Grubin zaproponował:

- Chodźmy do mnie pogadać w cieple. Co to za rozmowa na dworze przy takiej pogodzie?

- Jeśli naturalnie nigdzie się pan nie spieszy - dodał Udałow.

Kosmonauta machnął rączką, co oznaczało: a gdzie niby mam się spieszyć, i ruszyli przez podwórze do mieszkania Grubina.

Kosmonauta zachowywał się przyzwoicie, wytarł nogi, tyle tylko że ze względu na mały wzrost trzeba go było podsadzić na krzesło.

- Nasza planeta nosi nazwę Ziemia - powiedział Udałow, gdy wszyscy już usiedli. - Zje pan śniadanie?

- Nie, dziękuję - odparł kosmonauta. - A w jakim to sektorze?

- Sam pan rozumie - odparł Udałow - że wy macie własną numerację sektorów, a my własną.

Tymczasem Grubin przyniósł butelkę kefiru, po czym nalał sobie i kosmonaucie. Udałow podziękował, bo był już po śniadaniu. Kosmonauta powąchał kefir i powiedział, że jest zbyt kwaśny, a on ma słaby żołądek.

- A pan skąd jest? - zapytał Udałow.

- Z Wapraksili - odparł kosmonauta. To jednak też niczego nie powiedziało Udałowowi, gdyż Wapraksila równie dobrze mogła być Alfą Ptolemeusza, jak Betą Centaura.

- A czemu zawdzięczamy pańską wizytę? - zapytał Udałow. - Wyprawa badawcza?

- Nie - powiedział kosmonauta, który nazywał się Wusc - trafiłem tu zupełnie niechcący. Coś mi się zepsuło. Albo w urządzeniach nawigacyjnych, albo w silniku. W ogóle to leciałem do swojej ciotki na Krupisę, a gdy wysiadłem, okazano się, że to wcale nie Krupisa...

- Nie, to rzeczywiście nie jest Krupisa - potwierdził Udałow.

- Poczekaj - wtrącił się Grubin. - Nie jest wykluczone, że oni naszą Ziemię nazywają Krupisa.

- Nie - zaproponował Wusc. - Na Krupisie byłem już kilka razy. Ona wygląda zupełnie inaczej i ma zupełnie inną ludność. Nie mówiąc już o klimacie.

- Tak, nieprzyjemna historia - powiedział Udałow.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał Grubin.

- To ja, Łożkin - odpowiedział głos zza drzwi. - Chodź szybko, bo na naszym podwórzu stoi pusty statek kosmiczny. Może jego załoga już rozbiegła się po mieszkaniach i grabi.

- Wejdz, Łożkin - zaprosił Grubin - i nic się nie bój.

Łożkin wszedł, zobaczył kosmonautę i mocno się speszył. Nic dziwnego, przez swój parszywy charakter niechęć obraził gościa.

- Jest mi niezmiernie przykro - zauważył mimochodem Wusc. - Czyżby tego rodzaju podejrzliwość była cechą całej ludności Ziemi? Muszę stwierdzić, iż świadczyłyby to o niskim stopniu ucywilizowania tubylców.

- Przecież nie chciałem - zaczął tłumaczyć się Łożkin. - Ale proszę mnie też zrozumieć. Wychodzę na dwór, widzę pusty statek, włączam na oścież, to zląkłem się, żeby jakiś dzieciak nie włączył do środka.

- Tak - westchnął kosmonauta. - Smutno jest znaleźć się w zacofanej społeczności i stać się obiektem podejrzeń. Gdybym miał nieco czasu, wielu rzeczy bym was nauczył i oświecił.

- Nigdy nie odmawiamy posłuchu ludziom, którzy pragną udzielić nam lekcji - powiedział Udałow.

- Cóż więc teraz będziemy robić?

- Robić? - Wusc popatrzył w okno. Deszcz przestał padać, wyjrzało blade jesienne słońce. - Czy jest wśród was ktoś, kto zna się na silnikach grawitacyjnych?

- W ogóle to interesuję się techniką - powiedział Grubin. - Ale z silnikami grawitacyjnymi nie miałem dotychczas do czynienia.

- Szkoda - powiedział Wusc. - U nas na każdym rogu stoją stacje obsługi i miliony, a może nawet dziesiątki milionów mechaników doskonale znają się na silnikach grawitacyjnych.

- No, to jest całkiem zrozumiałe - Łożkin pragnął odkupić swoją winę. - Przy waszej cywilizacji takie rzeczy nie mogą dziwić.

- Może spróbujemy zerknąć na uszkodzenie - zaproponował Wusc.

Wstał i wraz z Grubinem poszedł do statku. Grubin wziął śrubokręt i kombinerki. Łożkin i Udałow ruszyli za nimi.

- Jak wielkie sukcesy osiągnęliście w nauce? - zapytał Udałow w drodze.

- Ogromne - odparł kosmonauta. - W porównaniu z wami wręcz zdumiewające.

- Opowiedziałby pan - poprosił Udałow. - Zbierzemy frekwencję, a pan będzie opowiadał.

- No cóż, może znajdę jakąś chwilę - powiedział Wusc.

Kosmonauta gestem zaprosił Grubina do statku. Grubin z najwyższym trudem wgramolił się przez właz do środka. Podeszwy jego butów skryły się w ciemnym wnętrzu, a za chwilę znów ukazała się twarz.

- Bardzo mi przykro, ale bez pana sobie tu nie poradzę - powiedział. - Gdzie, na przykład, zapala się światło?

Wusc głęboko westchnął i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć do obecnych: „Cóż to za ciemnota! Czy można zaufać waszym mechanikom, skoro nawet nie potrafią zapalić światła!” Obecni poczuli się głupio, a Udałow powiedział z wyrzutem:

- No, Sasza, coś ty!

- Wyłącznik jest w kabinie z prawej strony - powiedział zrezygnowanym tonem kosmonauta, a kiedy Grubin ponownie zniknął we wnętrzu, dodał:

- Zapomniałem powiedzieć, że u nas mechanicy dokonują napraw pod nieobecność zleceniodawcy. Posługują się w pracy telepatią. Zajrzy taki mechanik w duszę, dowie się, na co klient się uskarża, i natychmiast zabiera się do roboty. Wystarcza im pięć minut na usunięcie najgroźniejszej awarii.

- Tak - zгодził się Udałow. - U nas do tego jest jeszcze bardzo daleko.

- Ta metoda - kontynuował Wusc - stosowana jest również w medycynie.

- Znaczą pod nieobecność? - zapytał Łożkin.

- Nie, za pomocą telepatii - powiedział kosmonauta i beznadziejnie pokręcił głową.

Tak, pomyślał Udałow, trudno mu jest u nas. Nic dziwnego, przy tak zniechęcającej różnicy w poziomach cywilizacji...

We włazie znów ukazała się głowa Grubina.

- Niech mi pan powie z łaski swojej - poprosił Grubin - na czym właściwie polega to uszkodzenie. Może mi pan pokaże? Bo jeśli mam być szczerzy, nie bardzo się jeszcze orientuję, gdzie tu jest silnik, a gdzie kuchnia.

- Na mnie proszę nie liczyć - powiedział twardo kosmonauta. - Co pan myśli, że jestem jakimś tam mechanikiem? Gdyby u nas każdy nie zajmował się swoją robotą, nigdy nie osiągnęlibyśmy tak wielkich sukcesów.

- Wobec tego niczego tu nie będę naprawiał - uniósł się honorem Grubin.

Już do połowy wygramolił się z włazu, więc Łożkin i Udałow zaczęli wpychać go z powrotem, żeby nie dyskutował, tylko zajął się robotą.

- Ale co ja mogę tu zrobić! - bronił się Grubin. - Oni nas wyprzedzili co najmniej o sto lat, a ja nie mam odpowiedniego wykształcenia. W dodatku tutaj na wszystkich urządzeniach wiszą plomby.

- Dlaczego nic nam pan nie mówił o plombach? - zwrócił się Udałow do Wusca.

- Skąd niby miałem wiedzieć, że tam są jakieś plomby? - oburzył się Wusc. - Leciałem sobie jak człowiek na Krupisę, statek uległ uszkodzeniu nie z mojej winy i znalazłem się na dzikiej, zacofanej planecie w otoczeniu prymitywnych, źle wychowanych tubylców, którzy mnie zupełnie nie rozumieją i nie chcą pomóc.

- Proszę się nie denerwować - uspokajał go Udałow. - Rozumiemy pański stan. Zaraz skoczę do naszej bazy samochodowej. Pracuje tam majster Miszutin, prawdziwa złota rączka.

- No więc proszę go zawołać! - wykrzyknął kosmonauta. - Rodzina na mnie czeka!

Udałow, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo ludzkość zawiniła wobec przypadkowego gościa, pobiegł paręset metrów po Froła Miszutina i niebawem go przyprowadził. W tym czasie

już wszyscy mieszkańcy domu numer 16 wyszli na podwórko, poznali nowego przybysza, a Kola Gawriłow nawet poczęstował go jabłkiem.

Froł Miszutin był człowiekiem poważnym. Popatrzył tylko na statek kosmiczny i zapytał:

- Na jakiej zasadzie toto lata?

- Chyba na lekkich grawitonach - powiedział Wusc. - Chociaż nie jestem pewien. Ale w szkole mówili nam, że na lekkich grawitonach. Gdyby były ciężkie, wtedy kadłub miałby inny kształt

- Aha - powiedział Miszutin. - A typów silnika w szkole nie przerabialiście?

- Też coś! - powiedział Wusc. - Specjalizowałem się w geografii i buchalterii.

- Niewiele z ciebie pożytku - mruknął Froł Miszutin.

- Nie ma pan prawa tak mówić - obraził się kosmonauta. - Jeszcze nie dorósł pan do krytykowania wyżej stojącej cywilizacji.

- Co prawda, to prawda - odparł Froł Miszutin i wgramolił się do statku. Długo stamtąd nie wracał, więc wszyscy ponownie przeszli do pokoju Grubina, żeby posłuchać przybysza. Wprawdzie gość z początku trochę się krygował, mówił, że zupełnie nie ma czasu, ale w końcu się zgodził.

- Opowiedz nam, drogi gościu - zwrócił się do niego Udałow - o swoim oświeconym świecie. Przybliż nam, że tak powiem, tajemnice przyszłości.

Gość wyjął chusteczkę, wysiąkał nos i powiedział:

- Nasz świat szalenie wyprzedził was w rozwoju.

O tym wszyscy już wiedzieli, więc czekali teraz na szczegóły.

- Osiągnęliśmy niezmiernie wysoki poziom techniki i powszechną obfitość. Ja na przykład pracuję we własnym gabinecie i tylko naciskam guziki, a czasami wyniki swego trudu przekazuję myślowo do specjalnej maszyny, która następnie wszystko podsumowuje i kładzie w gotowej postaci na biurku kierownika naszej instytucji.

- To dopiero! - powiedział Udałow, żeby zachęcić Wusca.

- To jest zupełnie normalne - zauważył Wusc. - Dziwię się niezmiernie, że może być inaczej. Do pracy i z pracy jeżdżę błyskawicznie. Wchodzę do budki obok swego domu, naciskam guzik i natychmiast znajduję się w identycznej budce stojącej przy bramie mojej instytucji.

- A jak ta budka działa? - zapytał Grubin.

- Nie interesowałem się - odparł Wusc. - Domy wznosi się u nas w ciągu jednej nocy. Wieczorem przygotowuje się działkę, a rano stoi już gotowy trzydziestopiętrowy dom.

- Wspaniale! - wykrzyknął Łożkin. - A jak to się robi?

- O to proszę zapytać budowlanych - powiedział Wusc i kontynuował: - Przerwę obiadową wykorzystuję na obejrzenie nowych filmów, które wybieram z listy, gdy spożywam posiłek przy stole. A obiad zamawiam sobie naciskając guziki na stole.

- Jak to się robi? - zapytał Udałow, który nienawidził kolejek w stołówce.

- Nie wiem - odrzekł Wusc. - To zresztą nieważne. Ważny jest rezultat. Kiedy chcę udać się na sąsiednią planetę, wzywam statek kosmiczny, który podstawiają mi pod dom. Naciskam guzik z nazwą planety, a potem oglądam filmy.

- Ech, ty! - powiedział od drzwi Froł Miszutin, który wszedł po cichu i teraz stał, wycierając ręce bawełnianymi szmatami. - Gdybyś ty jeszcze interesował się, co masz w motorze, byłbyś zupełnie nieoceniony.

- A co się stało? - przeraził się przybysz.

- Przeciek w zbiorniku grawitonowym. Paliwo się skończyło. I ta część, widzisz, pękła. Nie mogę skapować, do czego ona służy.

Froł wyjął z kieszeni pękniętą pośrodku kulkę wielkości włoskiego orzecha.

- Do czego to jest? Nie przerabialiście przypadkiem w szkole?

- Proszę się nade mną nie znećać - oburzył się Wusc. - U nas panują wysoko rozwinięte stosunki społeczne i każdy zajmuje się swoją robotą. Ja jestem urzędnikiem, ktoś inny technikiem, a jeszcze inny - budowlanym. To przecież naturalne. To, co ja wytwarzam, konsumują inni. To, co wytwarzają inni - konsumuję ja.

Froł wrzucił kulkę do kieszeni i powiedział:

- Pójdę jeszcze raz popatrzeć.

Zapadło milczenie. Udałow współczuł przybyszowi oderwanemu od normalnych warunków, ale stary Łożkin, który jednak czuł się nieco urażony, zauważył nie bez złośliwości:

- Coś ten przybysz nam się nie udał. Jak na złość, trafił się taki, który nic nie wie.

- Nieprawda! - odparł Wusc. - Doskonale wiem, jakie guziki trzeba naciskać.

- Właśnie - powiedział Łożkin i uśmiechnął się ironicznie.

- Nie czepiaj się człowieka - odezwał się Udałow. - Wyobraź sobie, że znalazłeś się w jego sytuacji.

- Nawet nie będę próbował - odpowiedział Łożkin. - Do takiego kontrastu między rozwiniętą cywilizacją a jej ciemnym jak tabaka w rogu przedstawicielem nigdy bym nie dopuścił. A my, durnie, zlecieliśmy się jak do miodu: przybył kosmonauta, gość z dalekiej planety, zaraz nas oświeci...

- Tak zdarza się tylko w opowiadaniach fantastycznych - rzekł Grubin. - Tylko tam kosmonauci z obcych światów przylatują i natychmiast zaczynają wszystkich uczyć.

- Różni bywają przybysze! - nie poddawał się Łożkin.

- Posłuchaj, Łożkin, przecież to bardzo prosta sprawa - powiedział Udałow, patrząc na posmutniałego Wusca, który skulił się na krześle, podwinął pod siebie nóżki i w ogóle wyglądał jak nieszczęsne dziecko, które zgubiło mamę w centralnym domu towarowym w stołecznym mieście Moskwie. - Zaraz ci dowiodę, że zupełnie nie masz racji. Chcesz?

- Spróbuj.

- No to wyobraź sobie, że jestem carem Iwanem Groźnym.

- Tego tylko jeszcze brakowało!

- Ale wyobraź to sobie, nie opieraj się. A Grubin jest na przykład jego przyjacielem Malutą Skuratowem.

- No i co?

- Ty za to jesteś Mikołajem Łożkinem, który wsiadł do samochodu marki Łada, wskutek nieprzyzwoitego splotu wypadków pomylił drogę i zamiast do Wołogdy trafił do podmiejskiego pałacu Iwana Groźnego.

- Przecież nie mam żadnej Łady, sam o tym doskonale wiesz - wciąż opierał się Łożkin. - Po co taka przesada?

- To taki eksperyment myślowy - nalegał Udałow. - Czyżbyś zupełnie nie miał wyobraźni?

- No dobra - poddał się Łożkin. - I co dalej?

- A dalej to ja cię poproszę, żebyś opowiedział, jakie wy w tym waszym dwudziestym wieku macie osiągnięcia techniczne. Opowiadaj!

- O czym?

- No, chociażby o tym, jak ja, Iwan Groźny, mam się zabrać do budowy takiej samej karety jak twoja.

- Łady czy co?

- Może być coś prostszego, na przykład motocykl.

- Prosta sprawa - powiedział Łożkin. - Widzisz samochód? No to skopiuj i jedź.

- Jak mam kopiować, kiedy nie rozumiem zasady?

- Najpierw potrzebna jest benzyna - powiedział Łożkin, który chciał dowieść obecnym, że przybysz Wusc to zwykle nieporozumienie towarzyskie, i dlatego starał się tłumaczyć wszystko możliwie najdostępniej. - Benzynę wlewa się do baku.

- Poczekaj - powiedział Korneliusz Iwanowicz Groźny gładząc nie istniejącą brodę. - A co to jest benzyna?

- Benzyna?... Ropę naftową znasz?

- Znam.

- Oczyszczyć ją...

- Z czego?

- Jak to z czego? Z mazutu.

- Nie rozumiem! Szczotką mam ją oczyścić?

- To się robi w specjalnych fabrykach... - Łożkin przerwał w pół zdania.

- Nie pesz się, mów dalej - uśmiechnął się car. - Opowiedz mi o tych fabrykach, a przy okazji opisz przemysł oponiarski.

- No dobra - odparł na to Łożkin, który nie lubił zależeć od pańskiej łaski. - W takim razie lepiej będzie, jak ci wytłumaczę parowóz.

- No jak? - zwrócił się Udałow do Maluty Skuratowa. - Posłuchamy o parowozie?

- Dobra - zgodził się faworyt władcy. - Tylko jeśli nie wytłumaczy, trzeba będzie go ściąć.

- Parowóz jeździ na zasadzie sprzężania pary - objaśniał Łożkin. - Tam chodzi taki tłok i przez to koła się kręcą.

- Ach, jakie to ciekawe - powiedział car. - I gdzie ten tłok chodzi?

- Jak to gdzie? W kotle, rzecz jasna.

- Słuchaj - powiedział Malutą Skuratow - może od razu go zetniemy? Bo wygląda na to, że na próżno tracimy czas.

Łożkin milczał. Wszedł Miszutin.

- Nie da rady - powiedział. - Mówię ci, że nic z tego nie będzie. Dzwon po pomoc drogową.

- To niemożliwe! - wykrzyknął gość z kosmosu. - Niech pan mnie nie gubi! Może spróbujemy zaprosić specjalistów z waszej stolicy?

- Nie - powiedział Miszutin tonem nie znoszącym sprzeciwu. - U nas grawitonów się nie robi. Możesz być pewien.

Łożkin powiedział:

- W parowozie są dwa tłoki. Para naciska na nie kolejno.

- Już cię ścięliśmy - poinformował go Grubin - więc nie musisz się martwić, czy Iwan Groźny będzie miał swój parowóz.

Przybysz rozplakał się, gdyż nie mógł pogodzić się z faktem, że stał się Robinsonem Crusoe otoczonym Piętaszkami.

Zaczął padać mokry śnieg, który szybko przysypał grubą warstwą różowy statek kosmiczny.

Od tej pory minęły trzy miesiące.

Przybysz Wusc póki co zaczepił się w firmie Udałowa jako księgowy, nauczył się rosyjskiego, ze swych obowiązków wywiązuje się jako tako, ale nic ponadto. Chciał wprawdzie za poradą Grubina pojechać do Wołogdy, żeby występować w cyrku w charakterze liliputa, ale potem rozmyślił się, bo nie chciał oddalać się od statku - a nuż odnajdą go, przylecą po niego?

A statek przypomina ogromną zaspę, całą śnieżną górę. Dzieci zjeżdżają z niego na sankach.

Wiosną, jeśli do tego czasu nic się nie wydarzy, powinien przyjechać z Archangielska Kamarinski, wielki przyjaciel Froła Miszutina i znakomity mechanik. Jeśli on nic nie pomoże, to już nikt nie pomoże.

Termometr uczuć

Życiorys ani dane ankietowe Emmy Proskuriakowej zupełnie nas nie interesują. Ważne jest tylko to, że ta zgrabna zielonooka dziewczyna wyróżnia się niesłychaną tajemniczością i brakiem wylewności. Bo proszę pomyśleć: Emma była cztery razy w kinie z Michałem Standalem, reporterem gazety miejskiej, dwa razy poszła z nim do kawiarni i jeden wieczór spędziła z nim na ławce w parku, ale ni spojrzeniem, ni jednym choćby słowem nie zdradziła swego stosunku do Standala.

A Standal kipiał. Wrzał od rozpierającego go uczucia i niedostatku informacji. Nie wiedział bowiem, czy piękna Emma owo uczucie podziela.

Wreszcie, odprowadzając Emmę z kina do domu, ośmielił się zapytać:

- Emmo, my tu sobie spacerujemy, ale czy coś się za tym kryje?

- Niby co?

- Może nieprecyzyjnie się wyrażam, ale z drugiej strony ubiegłej nocy napisałem wiersz.

- Już mi go pan zadeklamował - odparła zagadkowa Emma. - Ale z wielkim zainteresowaniem posłucham każdego pańskiego nowego utworu.

- Ech! - powiedział wówczas Misza Standal.

I do furtki, za którą zazwyczaj znikwała Emma, doszli w całkowitym milczeniu.

Następnego dnia Misza Standal odwiedził profesora Minca, wielkiego naukowca, który przejściowo mieszkał w Wielkim Guslarze. Profesor Minc przyjął go w swym niewielkim pokoju i na pytanie, co słyhać na farmie drobiarskiej, odpowiedział:

- Drogi młodzieńcze, potracił pan pękniętą strunę mojej duszy.

Profesor Minc czasami lubił wyrażać się wytwornie. Pogładził się po lśniącej łysinie i wskazał klatkę, w której wyraźnie nudziła się dziwna istota z dziobem.

Standal uważnie przyjrzał się stworzeniu, które przypominało barana i kurę zarazem.

- Liczę na pański artykuł - powiedział.

- O czym tu pisać? - westchnął wielki naukowiec.

- Należy zacząć od tego, jak pomyślał pan...

- Pomyślałem o tym, że ziemniaki potrafimy już obierać maszynami, ale drób wciąż musimy skubać rękami. To jest niewydajne.

- I postanowił pan...

- Postanowiłem wyhodować roznegliżowaną kurę. To wcale nie jest trudne przy moim doświadczeniu. I wyhodowałem ją. Ale gołe kurczaki ciągle się przeziębiali. Wynalazłem dla nich narzutki, lecz kurczęta rosły, a ciągła wymiana narzutek według wzrostu jest nieracjonalna. Łatwiej jest po prostu oskubać ptaka.

- Wówczas pan...

- Wówczas przesłaliśmy jaja nagich kur wraz z całą stosowną dokumentacją naszym indyjskim i kubańskim kolegom, dla których problemy klimatyczne nie istnieją, gdyż dawno już zostały rozwiązane przez naturę, i zaczęliśmy myśleć dalej.

- W wyniku czego pan...

- W wyniku czego wyhodowałem gatunek kur pokrytych owczą wełną, kur, których nie trzeba zarzynać. Wystarczy ogolić i znów wypędzić na pastwisko. Przy czym nowy gatunek - nazwijmy go „kurowce” - w przeciwieństwie do owiec znosi jaja.

- Ale teraz pan...

- Ale teraz jestem niezadowolony. Okazało się, że kurowce bardzo trudno strzyc z powodu ich niewielkich gabarytów i ruchliwości. Zwyczajne kury skubało się znacznie łatwiej.

- Ale czyż sam fakt, znakomity eksperyment...

- Sam fakt jest pozbawiony sensu, jeśli nie przynosi pożytku ludzkości - uciał zdecydowanie profesor. - Poza tym stwierdziłem, że kury pokryte wełną cierpią na kompleks niższości. Stronią od swoich opierzonych koleżanek. Wykryłem przyczynę takiego postępowania.

Profesor Minc zbliżył się do biurka zavalonego czasopismami naukowymi, rękopisami i aparatami, rozgrzebał stertę, wydobył spod niej termometr przypominający przyrząd, jakim zwykle mierzy się temperaturę wody w dziecięcych wanienkach, i potrząsnął nim Standalowi przed nosem.

- Proszę przynieść z korytarza drugą klatkę z kogutem - rozkazał dziennikarzowi.

Standal usłuchał. Klatka z kogutem była przykryta starym obrusem i kiedy Minc go ściągnął, kogut potrząsnął grzebieniem, spróbował rozprostować skrzydła i wrzasnął orlim głosem.

- Lubię koguty - powiedział Minc. - Cudowny egzemplarz. Głupie stworzenie, ale ileż poczucia godności własnej!

Zbliżył termometr do klatki z kędzierzawą kurowcą, która gapiała się na koguta, nerwowo przebierając żółtymi nogami.

- Co pan widzi na skali?

Słupek rtęci powędrował do góry i zatrzymał się mniej więcej na dwudziestu stopniach Celsjusza, o czym Standal nie omieszkał donieść profesorowi.

- Słusznie. A teraz zbliżmy termometr do klatki z kogutem. Rtęć runęła w dół, przeskoczyła zero i zatrzymała się na piętnastu stopniach mrozu.

- Jasne? - zapytał Minc.

- Nie - wyznał Standal.

- Dziwne. Sprawia pan wrażenie niegłupiego młodego człowieka. Przecież to nie jest zwyczajny termometr, tylko termometr mierzący emocje. Stosunek jednej istoty do drugiej. Zero oznacza brak jakiegokolwiek stosunku. Jeśli słupek rtęci powędrował do góry, to znaczy, że stosunek jest pozytywny. Im wyżej się wznosi, tym emocje są gorętsze. Dwadzieścia stopni

Celsjusza wyraża stopień pozytywnego zainteresowania kurowcy zwyczajnym kogutem.

- A na odwrót... - domyślił się Standal.

- I na odwrót! Kogut gardzi kurowcą. I to jest fakt.

- Nieprawdopodobne! - wykrzyknął Standal. - Napiszę o tym.

- W żadnym razie. Likwiduję doświadczenia z kurowcami. Nie mogę przecież wyhodować rasy wzgardzonych odszczepieńców, kur, na które ich koleżanki będą spoglądać z obrzydzeniem, kurczą, które będą tłukli ich rówieśnicy, kogutów, których żadna kokoszka nie obdarzy miłością.

- Ja nie o tym - powiedział Standal - tylko o termometrze.

- Ach, cóż za pomysł! Sporządzenie termometru zajęło mi pół godziny. Przecież to przyrząd pomocniczy.

- A jednak...

- Powiedziałem. Rozmowa skończona. Od jutra zaczynamy hodować długowłniste krowy-merynoski.

Standal pożegnał się i opuścił pokój, pełen uwielbienia dla skoncentrowanego geniuszu wynalazczego gnieźdzącego się w pulchnym ciele profesora.

Tak, myślał idąc ku bramie, wystarczy pół godziny i oto mamy wspaniały przyrząd. Ale wynalazcy ten przyrząd nie wydaje się wspaniały. Już go nie interesuje, gdyż poszedł dalej. A ileż zastosowań może taki termometr znaleźć... Standal zatrzymał się pośrodku podwórza.

- Tak - powiedział na głos. - Właśnie tak.

I wrócił do profesora.

- Przepraszam - powiedział od drzwi, opuszczając w zmieszaniu oczy - mam do pana osobistą prośbę.

- Tak? - powiedział profesor, zakładając palcem czytana właśnie książkę.

- Jeszcze raz przepraszam, ale znajduję się w takiej sytuacji, że niezmiernie ważne jest dla mnie... Ach, nie! Nie to...

Standal zauważył, iż ręka profesora zaczęła wolno wędrować w kierunku kieszeni zamszowej marynarki, gdzie zapewne znajdował się portfel z pieniędzmi.

- Czy nie mógłby mi pan pożyczyć na dwie godziny swego termometru? Zwrócę go panu jeszcze dziś...

Standal zauważył na ścianie szkarłatny odblask od swego policzka.

- Zakochał się pan? - zapytał surowo profesor.

- W pewnym sensie...

- Prawdę mówiąc przyrzekłem sobie nie używać swoich wynalazków amatorom.

- Ale ja się tylko chcę dowiedzieć... rozumie pan, w górę czy w dół? Tylko dowiedzieć się i już. Przecież nie będę oddziaływał...

- Ech, młodość! - powiedział profesor z wyrzutem w głosie. - W moich czasach zaglądaliśmy

sobie nawzajem w oczy.

- Ale tu mamy do czynienia ze szczególnym przypadkiem.

- Wszystkie przypadki tego rodzaju są szczególne. Standardowe się nie zdarzają - powiedział profesor. - Inaczej miłość utraciłaby romantyczną aureolę. Niech pan weźmie termometr, młodzieńcze. Życzę powodzenia w życiu osobistym.

Droga do redakcji minęła Standalowi na rozmyślaniach. Termometr był tak duży, że o jego sekretnym użyciu nie mogło być nawet mowy. Szkoda, że nie przypomina zegarka na rękę. Trzeba będzie go wyjąć w obecności Emmy. Ale pod jakim pozorem?

- Szukał cię naczelny - powitał Standala Stiepan Stiepanowicz, redakcyjny weteran, puszkiniasta amator. Kazał, żebyś do niego natychmiast przyszedł. Na kobierzec.

- Po co? - Standal runął na grzeszną ziemię i myślowo się potłukł, gdyż rozmowy z naczelnym rzadko kiedy mijały bezboleśnie. Malużkin uważał, że jego gazeta jest pępkiem świata.

- Przecież podjęliśmy inicjatywę profesora Minca, roztrąbiliśmy na cały rejon, a ty nie dajesz reportażu.

- Ten temat został zamknięty - powiedział Standal. - Koniec. Teraz hodujemy kudłate krowy.

- Z twoim profesorem zawsze było wesoło. Ale nie wiem, czy Malużkin cię zrozumie. Przecież już się w to wdał, złożył raport, więc...

Standal położył na biurku swoją sfatygowaną teczkę. Jego myśli natychmiast opuściły redakcję i pomknęły ku bliskiej już chwili, gdy wreszcie dowie się: tak czy nie... tak czy nie. A może ten termometr reaguje wyłącznie na kury?

Ostrożnie odpiął teczkę i wyjął termometr. Serce mu łomotało. Ręce drżały. Termometr był ciężki i ciepły.

- Co ty? - zapytał Stiepan Stiepanowicz unosząc głowę znad papierów. - Termometr kąpielowy dla dzieci kupiłeś? Przecież nie masz dzieci.

Standal patrzył na skalę. Słupek rtęci zachybotał się w pobliżu zera, ruszył z wolna w górę i zatrzymał się przy siedmiu stopniach. Niewiele. Standal uważał, że Stiepan Stiepanowicz go lubi.

- Nie - odparł z udawaną obojętnością. - To nowy model. Momentalnie mierzy temperaturę, wilgotność, ciśnienie i zapylenie powietrza. Przysłali go Mincowi do wypróbowania.

- Oj, Misza, Misza - westchnął Stiepan Stiepanowicz. - Niby jesteś dorosły, a nabijasz się ze starszych jak dzieciak.

Usiadł, a słupek rtęci zaczął opadać w dół.

- Przepraszam, Stiepanyczu! - wykrzyknął gorąco Standal. - Naprawdę nie chciałem panu zrobić przykrości. Przecież pan wie, jak bardzo pana szanuję.

Redakcyjna sekretarka, kochająca się potajemnie w Standalu, o czym wiedziała cała gazeta, zajrzała do pokoju.

- Misza - powiedziała. - Naczelnny pana wzywa.

Standal natychmiast ruszył w jej stronę, nie spuszczać oczu ze skali termometru. W miarę zbliżania się do sekretarki słupek coraz bardziej się wydłużał. Kiedy temperatura wzrosła do dwudziestu pięciu stopni, Standal schował termometr za plecami i uśmiechnął się do dziewczyny.

- Dziękuję - powiedział.

- Za co, towarzyszu Standal? - spłonila się sekretarka.

- Staaandaaa! - zagrzmiało w oddali.

Redaktor Malużkin patrzył nieruchomym wzrokiem na stojącego w drzwiach Standala. Jego spojrzenie spod gęstych czarnych brwi było jasne i twarde. W ogóle Malużkin był przystojny i majestatyczny, a siwiejące pukle i głębokie zmarszczki w kącikach ust upodobały go do jakiegoś znanego aktora filmowego.

- Siadaj, Michał - powiedział Malużkin.

Standal położył termometr na kolanach w ten sposób, aby biurko zasłaniało go przed wzrokiem redaktora naczelnego.

- Byłeś u profesora Minca?

- Właśnie od niego wracam - odparł Standal.

- Jak tam z nowym gatunkiem pierzastych, to znaczy... - Malużkin uśmiechnął się - włochatych?

- Profesor zrezygnował z dalszych doświadczeń.

- Nie żartuj - powiedział Malużkin. - Nie czas na to. Kilka gospodarstw nadesłało zamówienia. Jest możliwość przewodzenia ruchowi na rzecz. Na rezygnację już jest za późno. Mam nadzieję, że tak właśnie profesorowi powiedziałaś?

Standal zerknął na termometr. Pod biurkiem było ciemno, musiał go więc stamtąd wyciągnąć. Słupek rtęci nerwowo dygotał w okolicach zera.

- A my - kontynuował w zadumie redaktor - wymyśliliśmy już tytuł: „Złote runo ferm drobiarskich”. Ładnie brzmi?

- Bardzo ładnie - przytaknął Standal. - Ale profesor zaczął już hodować długowłniste krowy, więc możemy złożyć nowy tytuł: „Złote runo obór”.

- Nabijasz się ze mnie? I to w momencie, kiedy nasza gazeta może zasłynąć na cały obwód? Idź i bez zgody profesora na hodowlę długowłnistych kur nie wracaj. Jeśli do szóstej nie będzie jego zgody, to miej pretensję tylko do siebie.

Standal drgnął. O szóstej miał randkę z Emmą.

- Towarzyszu redaktorze! - powiedział błagalnie. - Profesor się na to nie zgodzi. Profesor mnie nie przyjmie. Profesor jest bardzo zajęty.

- Ach, to tylko wykręty - westchnął Malużkin. - Ciągłe wykręty. A w numerze muszą być nowe dane o kurach.

Standal zrozumiał, że prawdą nic tu nie wskóra. Najważniejszy dla niego był teraz czas.

- Profesor Minc - powiedział - wpadł pod samochód. Nic groźnego.

- Jak to, nic groźnego? Chłuba nauki naszego miasta pod samochodem, a ty uważasz, że nic się nie stało. Gdzie on jest? W szpitalu?

- Tak. W miejskim. Jutro go wypiszą. Lekkie potłuczenia.

- Zaraz tam zadzwonię - zdecydował Malużkin wyciągając rękę po słuchawkę.

- Po co? Przecież on nie może rozmawiać. Doznał szoku nerwowego.

- Dziwne. Jesteś przekonany, że to nie jest żart?

- Żartować z takich rzeczy? - oburzył się perfidnie Standal, przeklinając .się w duchu za okazaną słabość. Jedno kłamstwo natychmiast pociąga za sobą następne i już nie można się zatrzymać. Trzeba kłamać dalej. Niechaj jutro na niego spadną wszystkie gromy i błyskawice, ale dziś za pół godziny musi być przed bramą parku. A potem... Potem będzie mu wszystko jedno.

- Jesteś pewien - dociekał Malużkin.

- Absolutnie - powiedział Standal ponurym tonem. Własne kłamstwa wzbudzały w nim wstręt, ale nie mógł się przecież wycofać. - Stało się to na moich oczach. Profesor uratował mi życie.

- Uratował cię?

- Tak. Staliśmy razem na ulicy. Dziecko wybiegło na jezdnię i wyładowana po brzegi wywrotka... - Standal zamilkł, bo poczuł, że relacjonuje wymyślony wypadek językiem notatki gazetowej - nie mogąc zahamować wjechała na chodnik. Na drodze rozpedzonej ciężarówki znalazł się reporter naszej gazety M. Standal. Tylko mgnienie oka dzieliło go od tragedii. Ale w tej samej chwili znajdujący się w pobliżu znany naukowiec L. Ch. Minc zdołał odepchnąć Standala na bok, doznając przy tym lekkich uszkodzeń ciała... Tak właśnie było.

- Niemożliwe! - styl relacji przekonał Malużkina, że Standal mówi prawdę. - Jakież wspaniałe czyn! Ale jesteś pewien, że jutro powróci do naszych kur?

- Powróci - odparł Standal drżącym głosem.

- Wobec tego siadaj i pisz krótką notatkę. Zatytułuj ją „Tak postępują prawdziwi naukowcy”. Opowiedz w niej wszystko, jak było. Ani słowa zmyślenia. Do jutrzejszego numeru... Jasne?

- Jasne - Standal zrozumiał, że kłamstwo wessało go niczym bezdenne trzęsawisko. Bez ratunku.

Ściskając w spoconej dłoni termometr wstał i zapytał:

- Mogę już iść?

- Idź. Chwileczkę. Jak napiszesz, natychmiast leć do szpitala. Nie zapominaj, kto cię uratował. Masz tu pięć rubli. Kup za wszystko kwiaty. Najświeższe. Od gazety. Od zespołu redakcyjnego. Idź.

Standal wziął wolną ręką pieniądze.

- A to jest termometr? - domyślił się Malużkin. - Dla niego? Prosił?

Standal kiwnął głową. Nie mógł z siebie wydusić nawet słowa. Cofał się do drzwi i dlatego nie spostrzegł, że drzwi się otwierają.

Z tyłu rozległ się znajomy głos:

- Przepraszam za wtargnięcie. Szukałem pańskiego młodego pracownika, który zostawił u mnie swoją białą czapkę. A że przechodziłem w pobliżu...

Standal nie potrafił spojrzeć w oczy redaktorowi Malużkinowi. Nie potrafił odwrócić się i popatrzeć w oczy profesorowi Mincowi. Patrzył na termometr, skierowany kulką rtęci ku redaktorowi naczelnemu gazety.

W zapadłej nagle ciszy Standal zobaczył, jak słupek rtęci błyskawicznie runął w dół, jak przeskoczył trzydzieści, czterdzieści stopni mrozu... Rozległ się cichy trzask. Szklana rureczka nie wytrzymała emocjonalnego chłodu, którym zionął redaktor Malużkin, i pękła, a rtęć srebrzystymi kropelkami rozprysnęła się po gabinecie.

Do umówionej godziny spotkania zostało Standalowi już tylko piętnaście minut.

Śladami Bombarda

W lokalu „Guslarskiego Sztandaru” panowała jesienna cisza i spokój, gdyż redaktor naczelny pojechał na naradę do obwodu.

Misza Standal wyglądał przez okno i marzył o jakimś wspaniałym materiale, który przedrukuje „Litieraturnaja Gazieta”. To czasopismo centralne jeszcze żadnego materiału Miszy Standalowi nie zamieściło, i nie dziwota, bowiem nic do tej redakcji nie posyłał. W ogóle w prasie centralnej pojawiły się do tej pory tylko dwie notatki. Miesięcznik „Wokrug Świeta” wydrukował krótką informację o łowieniu pod lodem krokodyli w podguslarskim jeziorze Kopenhagen, a inne pismo zamieściło reportaż o spotkaniu mieszkańca Wielkiego Guslaru Korneliusza Udałowa z mieszkańcami innej planety w dziale „A może to nie kosmici?” Sława starannie omijała Misze Standala.

Wczoraj nieoczekiwanie spadł obfity śnieg i drzewa, które nie zdążyły jeszcze stracić liści, ubrane były w wielkie białe czapy na zielonych jeszcze czuprynach. Chodnikiem, powłócząc kaloszami, szedł znany Miszy Standalowi emeryt Łożkin, który trzymał pod pachą czarną szkolną teczkę z listami i zażaleniami, w większości zupełnie nieuzasadnionymi. Staruszek Łożkin najwidoczniej kierował się do redakcji i Misza zaczął żałować, że lokal nie ma tylnego wyjścia.

Nie martwił się jednak długo, gdyż niemal w tej samej chwili jego uwagę pochłonęło zamieszanie na dość odległym placu. Coś białego posuwało się w stronę domu redaktora naczelnego, a za tym czymś białym biegła dzieciarnia i ludzie dorośli.

Standal przytknął nos do szyby, ale przeszkadzały mu okulary, których jednak nie zdjął, ponieważ bez nich bardzo źle widział i przestawał być podobny do młodego Gribojedowa.

Chociaż w mieście niezwykle wydarzenia nie należały do rzadkości, Misza nigdy jeszcze nie widział, żeby ulicą jechał rosyjski piec bez widocznych kół, ale za to z wysokim kominem, z którego snuje się lekki dymek.

Na piecu siedział młody mężczyzna w bardzo porządnym granatowym garniturze i pod krawatem. Obok mego leżał schludny sążek polan. Młodzieniec wziął polano, pochylił się do przodu i otworzył drzwiczki paleniska, w którym po domowemu, przytulnie, płonął pomarańczowy ogień. Młodzieniec wepchnął polano do pieca, zatrzasnął drzwiczki i znów rozsiadł się w niewymuszonej pozie.

- Ej, przewieź nas! - krzyczała biegnąca dokoła dzieciarnia, ale młodzieniec nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Dorośli szli tłumnie z tyłu i dyskutowali o ewentualnych osiągnięciach pojazdu.

Kiedy piec zrównał się z wejściem do redakcji, młodzieniec klepnął dłonią komin i piec posłusznie się zatrzymał.

Za plecami rozległo się miarowe sapanie. Misza obejrzał się i zobaczył emeryta Łożkina.

- Trzeba będzie napisać - powiedział starszek. - Pogwałcenie przepisów.

- Co napisać? - zdumiał się Standal.

- Zażalenie.

- Na co?

Emeryt był nie w ciemną bity i bystry.

- On jeździ bez numerów i pewnie bez prawa jazdy. Co będzie, jak kogoś rozjedzie?

- Na piece nie dają numerów - odparł na odczepnego Misza. Młodzieniec zwinnie zeskoczył z przypiecka, powiedział coś do widzów i zniknął w drzwiach redakcji.

Emeryt Łóżkin usiadł na jedynym wolnym krześle, otworzył teczkę i wyjął z niej arkusz papieru kancelaryjnego w kratkę. Standal ruszył w stronę drzwi, ale w tej samej chwili z korytarza dobiegł odgłos energicznych kroków, w drzwiach stanął młodzieniec w granatowym garniturze i zapytał:

- Bardzo przepraszam, gdzie mógłbym znaleźć redaktora naczelnego?

- Pan w jakiej sprawie? - zapytał uprzejmie Standal, przyciskając wskazującym palcem okulary do nosa.

- Napisaaliśmy list - powiedział młodzieniec, wchodząc do pokoju i patrząc z dezaprobatą na porzucane papiery i zastarzały bałagan.

Standal chciał zaproponować gościowi krzesło, ale nie odważył się tego zrobić, bo krzesło było bardzo zakurzone, a sprzątaczką już od czterech dni chorowała.

Niezręczną pauzę wypełnił Łóżkin, który odłożył pióro i zapytał surowym tonem:

- To pański środek lokomocji?

- Niby piec? Mój.

- Nie spodziewałem się - powiedział Łóżkin.

Zaraz powie, że nie ma numeru - przestraszył się Standal. - A młodzieniec może pomyśleć, iż Łóżkin jest naszym szefem.

- To jest towarzysz Łóżkin - wyjaśnił młodzieńcowi. - Jest emerytem, a do nas wpadł tylko na chwilę.

Łóżkin westchnął smutnie i uniósł palec do góry, jakby chciał zaprotestować.

- A gdzie jest towarzysz redaktor? - zapytał młodzieniec.

- Redaktor pojechał do obwodu na naradę. Może pan porozmawiać ze mną. Jestem reporterem i nazywam się Standal.

- Słyszałem - powiedział młodzieniec i zaczerwienił się, gdyż domyślił się od razu, że słyszał nie o Miszy, tylko o jego wielkim imienniku.

- To nawet nie krewny - uśmiechnął się Standal. - Ludzie często mnie o to pytają. A o co w pańskim liście chodziło?

Młodzieniec też się uśmiechnął - i powiedział:

- Ależ u was bałagan!

- Sprzątaczką zachorowała - wyjaśnił Standal. - Ale może pan jednak usiądzie.

- Nie będę się rozsiadał, bo chciałbym tylko pogadać o liście, który napisaliśmy razem z bratem, a odpowiedzi jak dotąd nie ma. Myślałem, że wyniknęły jakieś wątpliwości, więc przyjechałem je rozproszyć. Wcześniej nie mogłem się wybrać. Obaj z bratem jesteśmy gajowymi. Latem musimy pilnować lasu, sadzić młodziaki, dbać o równowagę ekologiczną... Dopiero o tej porze roku jest trochę luźniej z czasem.

- A gdzie pan kupił buty? - zapytał surowo Łóżkin, który bardzo bolał nad tym, że rozmowa odbywa się bez jego udziału.

- Żona Wasi, Kława, jeździła do Leningradu po części i przy okazji mi kupiła.

- Prawdopodobnie - powiedział Łóżkin w taki sposób, iż stało się oczywiste, że dopatruje się tu oszustwa i w odpowiedź nie uwierzył. Młodzieniec znów się zapłonił.

- Niech pan na niego nie zwraca uwagi - wykrzyknął Misza starając się dodać mu otuchy. - Pisaliście więc o piecu?

- Ależ co pan! - zdziwił się gajowy. - Czy warto byłoby takim głupstwem zawracać komuś głowę? A ja się panu nawet nie przedstawiłem. Nazywam się Zajka. Takie mam, za przeproszeniem, nazwisko. Brat mój jest Bazyli, a ja Terencjusz Zajka. Mieszkamy w masywie leśnym w Zabłociu.

- Przecież to daleko...

- Blisko nie jest. Będzie ze sto trzydzieści kilometrów. Dokładniej nie powiem, bo licznik mi się zepsuł.

- I pan tak całą drogę na tym?...

- Chciałem motocyklem, ale Wasia, on jest starszy, kazał wziąć piec. Uznał, że to zrobi lepsze wrażenie, przekona ludzi, że nie jesteśmy jakimiś tam oszustami. Z nami jeszcze ojciec mieszka, ale oni już są mocno posunięci w latach i zajmują się przeważnie teorią. Tata czyta wszystkie wydania, a jak tylko zobaczy jakąś świeżą ideę, od razu nas woła i powiada: „Dzieci moje, ja tu pomyślałem...” A my wtedy do roboty. Naszego tatę Artur wołają. Artur Iwanowicz Zajka.

- Bardzo dziwne imię - powiedział Łóżkin, który tymczasem zaszedł młodzieńca od tyłu i przyglądał się jego fryzurze.

- A na jakiej zasadzie działa ten piec? - zapytał Standal.

- Zasada działania jest nie nasza, obca - znów wtrącił się Łóżkin, osłaniając się czarną teczką niczym tarczą.

- To może nie dostaliście naszego listu?

- Pewnie leży w dziale łączności z czytelnikami, ale jego kierowniczką ma dziś wolny dzień. Nie odpowiedział mi pan na pytanie.

- Piec pracuje normalnie. Na drzewie, jak należy. Trzymamy go w domu w charakterze rezerwy. W czasie mrozów palimy w nim, ogrzewamy laboratorium, cieplarnie. A czasami jeździmy, jeśli trzeba coś ciężkiego przetransportować. Na drzewie pracuje...

- My tam już wiemy, jakie to drzewo - wtrącił niezmordowany Łóżkin.

- Drzewo nie jest kradzione - obraził się Terencjusz. - Przeprowadzamy przecież cięcia sanitarne.

- A gdzie są koła? - zapytał Standal.

- Koła? A gdzie pan widział piec na kołach? Zrobiliśmy go na poduszce powietrznej. Ale co do listu...

- Może opowie go pan własnymi słowami? I zastanowimy się razem...

- Wiedziałem, żeście ten list zgubili, ale się nie obrażam. Wasia i ja proponujemy nowy sposób podróżowania, który przyda się strażnikom zwalczającym pożary w naszych lasach lub też zwyczajnym gajowym. Zrozumcie mnie dobrze, towarzyszu Balzak...

Standal nie poprawił gościa, ale wyręczył go Łóżkin, który znów się wtrącił:

- Odejdź na bok, Standal - powiedział.

Terencjusz zauważył swoją gafę i wdzięcznie się zaróżowił. Łóżkin odciągnął Standalę za rękaw do kąta i powiedział scenicznym szeptem:

- Ty co, nie widzisz?

- Czego nie widzę?

- Typowy przybysz z innej planety. Wkradł się w nasze zaufanie. Widziałeś kiedy, żeby w takim garniturze jeździł ktoś na piecu?

- W ogóle nie widziałem, żeby ktoś jeździł na piecu.

- Ty mi tu piecem nie zamydlaj oczu, tylko przyjrzyj się szczegółom. Widziałeś kiedy taki krawat? Przecież to całkiem nieziemski kolor. Widziałeś coś takiego w naszym domu towarowym?

- Ach, dajcie spokój, towarzyszu Łóżkin - powiedział Standal.

- Niepotrzebnie mnie podejrzewacie - odezwał się Terencjusz, który wszystko słyszał. - Mogę wam okazać dowód osobisty i książeczkę wojskową. A w ogóle to zostaliśmy uhonorowani wieloma dyplomami.

- Nie wątpię w to - pospieszył zapewnić go Standal. - Dokumenty nas nie interesują.

- Dokumenty mu zrobili - upierał się Łóżkin. - A z krawatem im się nie udało.

- Krawat jest kupiony w Wołodzie - zaoponował Terencjusz.

- Nawet ja bym coś lepszego wymyślił - parsknął złośliwie Łóżkin.

- A pan przynajmniej widział żywego przybysza?

- Jakżeby inaczej? Odróżniam.

- Przybysze u nas rzeczywiście bywają powiedział Standal - ale to teraz nie ma nic do rzeczy.

Proszę mówić dalej, Terencjuszu Arturowiczu.

- Naiwny prostak - rzucił oskarżycielsko Łożkin, po czym usiadł, wydobył z teczki arkusz papieru i zaczął udawać, że wszystko zapisuje słowo w słowo.

- Powróćmy więc do naszej rozmowy - zaproponował Terencjusz, który już zdołał przywyknąć do Łożkina. - Czytał pan „Dobrowolnego rozbitka” Bombarda? To moja ukochana książka.

- Ja też mam do niej pozytywny stosunek - odpowiedział Standal siadając na krawędzi biurka. - I też lubię morze.

- Nie chodzi wcale o morze, które jest daleko stąd i w ogóle nieaktualne. Bombard dowiódł, że jeśli czyjś statek utonął, to ten ktoś nie musi zaraz tracić życia. Dlaczego ludzie umierają w łodziach ratunkowych? Dlatego, że boją się umrzeć. Paradoks, ale prawdziwy. Ci ludzie, że tak powiem, zawczasu grzebią sami siebie w morskiej otchłani.

- Słusznie - powiedział Standal. - Szok psychiczny.

- Potrafimy takich ludzi zrozumieć. Przecież się boją.

- Niech pan weźmie pod uwagę - zagroził Łożkin - że u nas oceanu nie ma i nie będzie.

- Ja tu o Bombardzie mówię tylko dla przykładu - ciągnął Terencjusz nie zwracając uwagi na Łożkina. - Dla wytworzenia klimatu psychicznego. Nasz tata, kiedy przeczytał Bombarda, tak nam powiedział: „Dzieci moje, mam ideę z zakresu psychologii. A co, jeżeli strach, który stanowi główny ogranicznik naszych śmiałych planów i poczynań, i w ogóle postępu, wpływa nie tylko na żeglugę morską i oceaniczną, ale i na całą resztę?” Wtedyśmy się z bratem solidnie zamyślili.

- I popłynęliśmy rzeką Guś, żywiąc się planktonem - nie wytrzymał Łożkin.

- Nad czym się zamyśliliśmy? Weźmy na przykład skoczka narciarskiego. Jeśli zastanowić się, z jakiej wysokości skacze narciarz, to okaże się, że to jest śmierć! A on skacze sobie jak gdyby nigdy nic. Dlaczego?

- Jak to dlaczego? - zdziwił się Standal. - Przecież on skacze do przodu. Z rozpędu.

- Ale w dół też.

- Ale przeważnie w dal.

- A jeśli skoczek stchórzy, jak rozbitek? Jeśli przestanie utrzymywać równowagę?

- Wówczas upadnie.

- Rozbije się?

- Naturalnie.

- Co było do dowiedzenia. No więc kiedyśmy doszli do takiego wniosku, zaczęliśmy się z Wasią zastanawiać, jak się obyć bez nart.

- Nie można - powiedział Standal. - Niezbędna jest szybkość początkowa.

Terencjusz zerknął na Misze pobłażliwie, jak mógłby spojrzeć akademik od fizyki na

magistra historii, który powątpiewa w istnienie mezonów pi.

- To można sprawdzić - powiedział.

- Co sprawdzić?

- Sprawdzić, jak idee Bombarda dają się zastosować w naszej skromnej rzeczywistości.

Idziemy?

- Dokąd?

- Na próbę metody beznartowej według Bombarda. Inna rzecz, że mój braciszek robi to lepiej, z większym wdziękiem, ale w zasadzie każdemu to wychodzi. Najważniejsze, żeby zawczasu nie umrzeć ze strachu.

- Przybysz - powiedział Łożkin z przekonaniem, kierując się za młodymi ludźmi ku wyjściu.

- Nie, jesteśmy guslarscy - odparł z godnością Terencjusz Zajka.

Na ulicy Terencjusz zbliżył się do pieca, pochylił się nad nim, czymś szcęknął, dorzucił drzewa i powiedział.

- Właście, nie trzęsie. Ja tylko po mieście wolno jeżdżę, a na szosie wyciągam sześćdziesiątkę.

Ulicą szedł prowizor Sawicz w rozpiętym palcie i rozmyślał o czymś ważnym. Na pierś spływał mu krawat w kolorze lila, dokładnie taki sam, jaki nosił przybysz Zajka.

- Dzień dobry - powiedział Standal. - Gdzie pan kupił ten krawat?

- A, dzień dobry, Misza. Przywieźli do domu towarowego. Podoba się panu?

Po czym ruszył dalej, nie zauważając pieca, a Standal odwrócił się do Łożkina i zapytał:

- No i jak będzie z tym krawatem?

- Diabelski podstęp - odparł Łożkin.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Standal sadowiąc się na przypiecku i starając się przybrać godną minę, gdyż nigdy dotąd nie jeździł na piecu.

- Nie wsiądę na niego! - wykrzyknął Łożkin. - Jeszcze mnie porwiecie w kosmos. Czytałem, że tam są potrzebni ludzie niewolnicy. Powiedzcie mi dokąd, a ja już na piechotę trafię.

- Niewolnicy są nam potrzebni - odparł bez uśmiechu Terencjusz. - W lesie ręce do pracy są na wagę złota.

- Właśnie. Popatrzę sobie z daleka. Gdzie mam iść?

- Pod dzwonicę, na brzeg rzeki - odparł Terencjusz. - Tam, gdzie dawniej stały sukiennice.

Piec uniósł się bezszelestnie do góry i ruszył naprzód. Tylko trzeszczały drwa w palenisku i rozmawiali ciekawscy przechodnie.

- Towarzysze, rozejdźcie się - zaapelował do nich Terencjusz. - Niezdrowa ciekawość. Zagapili się jak na cadillaca.

Widzowie usłuchali i zwolnili przejście.

- Teraz wdrapię się na dzwonicę - powiedział Terencjusz, kiedy piec nabrał szybkości i

pomknął ulicą. - Tam jest otwarte, sprawdzałem. Wy zostaniecie na dole i będziecie obserwować. Jasne?

Dzwonnica była wysoka. Krążyły nad nią wrony i przeciągały szare chmury. Piec znieruchomiał na skraju urwiska nad rzeką Guś. Od dzwonnicy oddzielał go ugór przysypany nierówno śniegiem, spod którego wyglądała zielona trawa. W przyszłym roku na ugorze miała się rozpocząć budowa nowego hotelu. Od rzeki ciągnęło jaskiniowym chłodem.

- No, na razie - powiedział Terencjusz zeskakując z pieca. - Wziąłbym płaszcz, bo jest zimno, ale eksperyment powinien być czysty.

Nie mówiąc więcej ani słowa Terencjusz zrzucił marynarkę na ręce Standalowi i ruszył marszowym krokiem w stronę dzwonnicy. Standała opanowały trwożne i wzniosłe przecucia, ale też milczał, gdyż zrozumiał, iż powszednie słowa mogły jedynie zakłócić uroczysty moment.

Minęły jakieś trzy minuty. Standał stał oparty o ciepłą ściankę pieca, ale nic się nie działo poza tym, że krakały wrony i przyleciał emeryt Łożkin.

- Gdzie przybysz? - zapytał.

- Terencjusz Arturowicz jest na dzwonnicy. Zaraz nam zademonstruje doświadczenie.

- Przybyszowi wszystko wolno - powiedział Łożkin.

Na szczycie dzwonnicy pod dzwonami ukazała się mała postać ludzka. Była tak mała i bezbronna, że Standalowi zamarło serce z przerażenia.

- Ach! - powiedział Łożkin przeczuwając nieszczęście. W gruncie rzeczy nie był bowiem złym i oschłym człowiekiem. - Jeśli coś się stanie nawet przybyszowi, to i tak będzie szkoda.

Mała figurka wdrapała się na poręcz okalającą dzwonnice i przez kilka sekund ludzik, szeroko rozstawiając ręce, starał się utrzymać równowagę. Potem dał krok w dół...

Standał z przerażenia zamknął oczy. Łożkin znów powiedział „ach”. A może to wariat, którego nie powstrzymali przed szaleńczym krokiem?

Standał otworzył oczy. Człowiek wciąż spadał, ale spadał jakoś dziwnie. Zdawał się iść po powietrzu, po płaskim łuku, rozłożywszy ręce i coraz prędzej przebierając nogami w miarę zbliżania się do ziemi. Ostatnie kilka metrów w powietrzu już szybko biegł i osiągnąwszy ziemię nie przewrócił się, lecz kontynuował swój bieg. Dobiegł do Standalu i objął go z rozpędu rękami, ale tak, żeby nie pognieść własnej marynarki.

- Przepraszam cię, Balzak - powiedział zdyszonym głosem, nie odrywając dłoni od serca. - Wiatr mnie znosił i w dodatku zmarłem jak pies. Dawaj marynarkę. No i jak ci się podobał efekt?

- Myślałem, że padnę trupem - odparł Standał, oddał marynarkę i zaczął oddychać głęboko i miarowo, żeby uspokoić serce.

- Przybysz - powiedział Łożkin. - Nie wstyd ci tak straszyć szarych ziemskich ludzi?

- Nie - powiedział surowo Terencjusz. - Naśladowca Bombarda, przekonany o sile ludzkiego

ducha w materialnych jej przejawach.

- Mistyka - rzucił oskarżycielsko Łożkin.

- Nie ma w tym żadnej mistyki - zaproponował Terencjusz - tylko wynik trwającego trzy miesiące doświadczenia. Uznaliśmy z Bazylim, że można skakać z dowolnej wysokości na zasadzie trampoliny lub skoczni narciarskiej. Im szybciej opadasz w dół, tym prędzej powinieneś przebierać nogami i biec do przodu. I nie zatrzymywać się nawet na sekundę, bo inaczej szlag cię trafi. Nikt się tego wcześniej nie domyślił, bo jak już kto zaczął - spadać, to już był koniec. A tu trzeba zachowywać równowagę i pamiętać, że nie ma żadnego upadku, tylko strach i nerwy. Dopóki się jednak człowiekowi nie pokaże, to za nic nie uwierzy. Gdybym się wam przyznał, że chcę zejść na piechotę z dzwonnicy, bez drabiny lub jakiegoś aparatu latającego, to co by się stało? Związałibyście mnie i razem z piecem odstawili do szpitala klinicznego. Przecież nawet jak się patrzy na to z boku, to robi się słabo, a jak się samemu po raz pierwszy skacze, strach jest jeszcze większy.

- Ja tam bym już na pierwszym metrze umarł ze strachu - wyznał Standal.

- Umarłbyś i zazał władzy człowieka z wielkiej litery nad ślepyimi siłami natury. Jak Kolumb.

- A na co on umarł? - zapytał Standal, chociaż wiedział, że pytanie zabrzmii głupio.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. Miałem na myśli to, że gdyby Kolumb stchórzył, nigdy by nie odkrył Ameryki, tylko jak ty, umarłby na pierwszym metrze. Człowiek winien być panem całego świata - i ziemi, i wody, i oceanu powietrznego. Nasz ojciec tak to sformułował. A wy gubicie listy do redakcji.

Terencjusz przyjaźnie położył rękę na ramieniu Standalu. Doświadczenie się powiodło, więc teraz nie miał już pretensji do redakcji. W Standalu widział sojusznika, a dla prawdziwego naukowca poparcie opinii publicznej niezmiernie wiele znaczy.

- Jeśli chcesz, Balzak, mogę cię nauczyć, tyle że zaczniemy od niewielkich wysokości.

- Idę - powiedział Łożkin. - Serce mnie kłuje. Muszę zażyć kardiaminę.

Odszedł powłócząc kaloszami, a Terencjusz powiedział:

- Nie uwierzył. Widział na własne oczy, ale nie uwierzył. Wiele jeszcze nie uwierzy. A ty?

- Ja uwierzyłem i chętnie bym sam spróbował. Ale się boję.

- Nie pękaj. Sam za pierwszym razem czułem się nieswojo. Jedziemy? Podrzucę cię i udam się do domu. A propos, jeśli będziesz chciał beze mnie trenować, to zaczynaj od stołu, bo nabijesz sobie guza...

Rozstali się przed drzwiami redakcji. Przedtem umówili się, że za dwa dni, kiedy Standal odda numer do drukarni, przyjedzie do Zajków z fotoreporterem. Misza długo patrzył za odjeżdżającym piecem. Do redakcji nie chciało mu się wracać. Dochodziła szósta i zaczynało się ściemniać. Standal wyobraził sobie, jak na zawrotnej wysokości robi krok w pustkę i idzie sobie

dalej jak gdyby nigdy nic, tylko wiatr gwizdże w uszach i wrony pryskają na boki. Żeby tylko nie stracić równowagi...

Z nieba walił leniwie mokry śnieg. Standal szedł, nie myśląc dokąd idzie, i nogi same zaniósły go na ugór za dzwonnica. Rzucił okiem na dzwonnica, ale pokusę wdrapania się na nią pokonał bez większego trudu.

Standal odwrócił się od dzwonnicy. Daleko w dole, pod urwiskiem, płynęła ciemna i zimna rzeka z samotną tratwą pośrodku nurtu. Standal usiłował myśleć o przyszłym artykule i już nawet znalazł dla niego tytuł: „Śladami Bombarda”. Ale dalej sprawa się nie posunęła, gdyż Standal znów sobie wyobraził, że robi krok... Z przeciwległego, niskiego brzegu doleciał krzyk kobiety. Standal spojrzął w tamtą stronę. Na odległym brzegu, ledwie widoczna w zapadającym zmierzchu, miotała się kobieca postać. Co się stało? No tak, na tratwce siedział skulony z przerażenia malutki urwis.

Jeszcze wczoraj Standal uznałby, że chłopczykowi nic nie grozi, że w końcu tratwa dobije do brzegu, i najspokojniej w świecie zaczęłyby szukać zejścia z urwiska... Tak byłoby wczoraj. A dzisiaj Standal nawet się nie zastanawiał. Był władcą wielkiego sekretu. Najważniejsze to stale iść naprzód i nie tracić równowagi.

Najstraszniejszy i najtrudniejszy był pierwszy krok - powietrze, rzadkie i bezcielesne, nie chciało trzymać człowieka i niczym bagno wciągało w dół. Chciało się krzyczeć, wołać ratunku, zwinąć się w kłębuszek, żeby uderzenie o grunt nie było tak straszliwie silne... Ale Standal utrzymał wyciągnięte na boki ręce i zmusił się do zrobienia szybkiego kroku naprzód, a potem następnego i wtedy poczuł, że idzie, idzie zapadając się w powietrze, ale jednak nie spadając... Liczył: raz-dwa-trzy, wciąż przyspieszając tę wyliczankę, i rozumiał, że należy spojrzeć w dół, przekonać się, jak daleko jest do wody, ale nie miał czasu spojrzeć, bo musiał liczyć, przyspieszać kroku i opierać się o powietrze rękami.

Nagle zdarzyło się najgorsze - nieoczekiwany powiew wiatru zachwiał nim i okulary lekko zsunęły się na nos. Standal zrobił to, co robi każdy człowiek, któremu okulary zsuwają się z nosa. Poprawił je. Ręką.

I natychmiast runął w dół niczym ptak z przestrelonym skrzydłem.

Na szczęście w owej chwili znajdował się już zaledwie o jakieś pięć metrów od powierzchni wody i około dziesięciu kroków od tratwki.

Biały słup wody trysnął do góry, jakby w tym miejscu eksplodował pocisk armatni lub moździerzowy. Zanurzając się w parzącą chłodem głębie, Standal zdążył pomyśleć, że na pewno się przeziębi.

A woda już wypychała go na powierzchnię, więc zaczął wymachiwać rękami, parskać, szamotać się i naturalnie zgubił okulary.

Tratwa była niedaleko i Standal dostrzegł ją od razu mimo padającego śniegu i od razu też

pomyślał o dzieciaku. Cel przede wszystkim. Standal pomknął w stronę tratwy i wczepił się w jej krawędź. Popłynął do brzegu, pchając tratwę przed sobą. Urwis na tratwie nie ruszył się, milczał i pewnie myślał o tym, jakie lanie dostanie w domu.

- Nareszcie - a Standalowi wydawało się, że minęła cała wieczność - pokonał dwadzieścia metrów dzielących go od brzegu. Pod nogami wyczuł pochyłe, śliskie dno. Staął. Woda sięgała mu do pasa i powietrze było ciepłe, wręcz gorące po lodowatej kąpieli.

Zobaczył kobietę podbiegającą do wody i odezwał się do niej zmęczonym, pełnym godności głosem, niczym pionier po zatrzymaniu pociągu, któremu groziła katastrofa:

- Ma pani swój skarb.

- Mój Boże - powiedziała kobieta. - Wyłaź prędko z wody, bo się przeziębisz.

Pochyliła się, wzięła z tratwy wiadro z praniem i podała wolną rękę Standalowi, pomagając mu w ten sposób wydostać się na brzeg.

- Pomost się załamał - powiedziała. - Sama nie wiem, jak to się stało. Ale się przestraszyłam...

Standal stał na brzegu obok kobiety i dygotał.

- Jakżeś ty skoczył? - zapytała kobieta. - Nawet nie zauważyłam skąd. Chodź do mnie, ogrzejesz się.

- Proszę mi dać wiadro - powiedział Standal. - Po... po, pomogę zanieść.

Każdy, nawet pomyślnie zakończony eksperyment (jak na to wskazuje Bombard) kryje w sobie niebezpieczeństwo wystąpienia efektów ubocznych. Następnego dnia Standal dostał okropnej anginy. W trzy tygodnie później wybrał się do Zajków i dowiedział się, że dwa dni wcześniej gościł u nich reporter z pewnego stołecznego czasopisma.

Ukochany uczeń fakira

Wydarzenia, które wzburzyły opinię publiczną spokojnego miasta Wielki Guslar, zaczęły się, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, całkiem zwyczajnie.

Autobus jadący do Wielkiego Guslaru ze stacji kolejowej Łysy Bór był w drodze już od półtorej godziny. Minął obfitujące we wszelką rybę jezioro Kopenhagen, przejechał obok Domu Wypoczynkowego Pracowników Leśnych, przemknął wreszcie w pobliżu niewielkiego wygasłego wulkanu. Lada moment powinien był ukazać się zza zakrętu znajomy, charakterystyczny zarys starego miasta, gdy autobus zahamował, zjechał na pobocze i stanął, nieco pochylony, pod koronami potężnych sosen i świerków.

Pasażerowie autobusu budzili się, niepokoili, zakłócili poranną ciszę pełnymi zdumienia okrzykami:

- Co się stało? - pytali się nawzajem, po czym zwracali się z tym samym pytaniem do kierowcy. - Dlaczego stanęliśmy? Może jakieś uszkodzenie? Albo wręcz awaria?

Drzemiący pod oknem młodzieniec o przyjemnej powierzchowności i z niewielkimi czarnymi wąsikami nad pulchną górną wargą również otworzył oczy i nieco się zdumiał stwierdziwszy, że świerkowa gałąź wlała przez okno i właściwie wbiła mu się w twarz.

- Wysiadać! - dobiegł go smętny głos kierowcy. - Będziemy się opalać. Przecież im mówiłem, że nie mogę wyjeżdżać na trasę bez lewarka, bo na pewno złapię gumę. A mechanicy mi na to, że dziś lewara nie będzie, bo gwint na nim poleciał!...

Młodzieniec wyobraził sobie lewar z kompletnie zerwanym gwintem i skrzywił się boleśnie, gdyż miał niezmiernie bogatą wyobraźnię. Wstał i wysiadł z autobusu. Wyglądał głupio, bo autobusy nie mają prawa tak stać.

Kierowca w otoczeniu pasażerów stał na drodze i wpatrywał się w tylne koło niczym w obraz Rembrandta. Uspokajająco szumiał las. Drzewa z godnością kiwały dumnymi głowami. Szosa była całkowicie pusta. Lato już wstąpiło w swoje prawa. W rowie kwitły mlecze, a czarnooka dziewczyna w jersejowym kostiumiku i niebieskiej chusteczce przysiadła na pieniuszku i już splatała wianek z żółtych kwiatków.

- Albo czekać, albo iść na piechotę do miasta - powiedział kierowca.

- Może ktoś będzie przejeżdżał? - wyraził nadzieję dobrze odżywiony mężczyzna, którego jasne, błyszczące włoski ledwie zakrywały łysinę. - Jeśli ktoś się trafi, to przyślemy pomoc z miasta.

Przemawiał autorytatywnym tonem, ale nieco zbyt szybko, co świadczyło o miękkości i niepewności. Jego twarz wydała się młodzieńcowi znajoma, a zresztą i ów mężczyzna po zakończeniu rozmowy z kierowcą obrócił się ku niemu i zapytał wprost:

- Przyglądam się panu od samej stacji i nijak nie mogę określić. Jedzie pan do Guslaru?

- Naturalnie - odparł młodzieniec. - A czyż ta droga jeszcze dokądś prowadzi?

- Nie, dalej nie prowadzi, jeśli nie liczyć traktów gruntowych, wiodących do okolicznych wsi
- odpowiedział dobrze odżywiony blondyn.

- A więc jadę do Guslaru - powiedział młodzieniec, wielki zwolennik logiki formalnej w słowie i czynie.

- Na długo?

- Na urlop - odparł młodzieniec, ukazując w uśmiechu równe białe zęby, które szczególnie wyraźnie odbijały od smagłej, ogorzałej i nieco zmęczonej twarzy.

- A na jakiej ulicy w Wielkim Guslarze zamierza się pan zatrzymać?

- Na swojej - powiedział młodzieniec.

- A dokładniej?

- Na ulicy Puszkina.

- No i widzi pan - ucieszył się pulchny mężczyzna i tak pochylił głowę, że promień słońca odbił się od jego łysiny i trafił wprost do oka dziewczyny splatającej wianek. - A co ja mówiłem?

I była w nim radość sędziego śledczego, który wydusił z upartego świadka bardzo ważne zeznanie.

- A w jakim domu chce się pan zatrzymać?

- W naszym - powiedział młodzieniec i dorzucił, kierując się ku grupie ludzi kontemplujących spłaszczoną oponę: - Pańska twarz też mi się wydaje znajoma.

- Numer szesnasty? - upewnił się dobrze odżywiony blondyn.

- Numer szesnasty.

- Tak myślałem. Pan jest Gieorgij Borowkow, Łóżkin po kądzieli.

- Jam ci jest - odparł młodzieniec.

- A ja jestem Korneliusz Udałow - oświadczył pulchny blondyn. - Czy pamięta mnie pan, w dzieciństwie huśtałem pana na kolanie?

- Pamiętam - powiedział młodzieniec. - Pamiętam bardzo dokładnie. Spadłem z pańskiego kolana, a ta blizna na nosie jest tego dowodem.

- Och! - ucieszył się jak dziecko Korneliusz Udałow. - Cóż za spotkanie! Czyżbyś, urwisie, przez wszystkie te lata pamiętał tamten bolesny upadek?

- A jakże! - powiedział młodzieniec. - Przez tę niemal niewidoczną bliznę nie chciano mnie przyjąć do leśnej akademii radzajogi Guru Kamarasvami, gdyż jest to ułomność fizyczna świadcząca o pewnej nieprzychylności bogów wobec mojego naczynia smutku.

- Czego? - zapytał nieco zmieszany Udałow.

- Wobec mego śmiertelnego ciała, cielesnej powłoki, w której rzekomo kryje się nieśmiertelne idealistyczne sedno.

- Aha - powiedział Udałow i postanowił nie zagłębiać się dalej w zagadnienie. - Na długo

pan do nas?

- Na miesiąc albo mniej - odparł młodzieniec. - To zależy od tego, jak mi się ułoży. Może wezwą mnie z powrotem do Moskwy... A z kołem paskudna sprawa. Jest zapasowe?

- Sam widzę - odwarknął kierowca, spoglądając z niejakim obrzydzeniem na granatowy garnitur oraz importowany krawat, starannie zawiązany pod szyją mimo wczesnej pory i powszedniego dnia, i na cały wytworny wygląd młodzieńca.

- Człowiek cię pyta, czy masz zapasowe koło! - wtrącił się Udałow. - A może też zostawiłeś je w bazie?

- Koło jest, ale co ono jest warte bez lewarka?

- Bez lewarka nic nie jest warte - zgodził się Udałow i zapytał Borówkowa: - Podobno byłeś za granicą?

- Wysiali mnie na staż - odparł Borówkow. - W trybie wymiany naukowej. Trzeba będzie unieść autobus, a wy tymczasem wymienicie koło. Robi się gorąco, a ludzie spieszą się do miasta.

- No to podnieś - obraził się kierowca.

- Podniosę - powiedział Borówkow. - Tylko proszę, żebyście nie tracili czasu na próżno.

- Do roboty, szefie - powiedziała jakaś omszała staruszka kryjącą się w tłumie pasażerów. - Człowiek proponuje ci pomoc!

- Tej tylko brakowało! - oburzył się kierowca. - Spróbuj, babciu, z nim do spółki unieść autobus.

Ale Borówkow już najspokojniej w świecie zdjął marynarkę, przekazał ją Udałowowi i odwrócił się do kierowcy jak człowiek, który już zamierza przystąpić do roboty, a stanowisko pracy nie zostało mu przygotowane.

- No! - powiedział spiszowym głosem.

Kierowca nie odważył się polemizować z takim głosem i pospieszył po koło zapasowe.

- Rozejdźcie się - powiedział surowo Udałow. - Nie widzicie, czy co?

Pasażerowi cofnęli się trochę, a kierowca z widocznym wysiłkiem przytoczył zapasowe koło i z brzękiem rzucił na żwir ogromnego „francuza”.

- Odkręcaj pan - powiedział Borówkow.

Kierowca wolno odkręcał nakrętki, a jego wargi układały się do przekleństw, ale obecność pasażerek powstrzymywała go od ich wygłoszenia. Udałow pełnił rolę wieszaka, trzymając marynarkę Borówkowa na małym paluszku i odpychając plecami tych, którzy usiłowali się zbliżyć.

- A teraz - odezwał się Borówkow - ja uniosę autobus, a pan niech wymieni koło.

Przesunął dłońmi pod kadłubem pojazdu, szukając miejsca, za które można dobrze chwycić, a następnie wczepił się w to miejsce szczupłymi, smukłymi palcami i bez wysiłku uniośł

samochód. Autobus pochylił się do przodu, jakby musiał dokładnie obejrzeć coś leżącego przed nim na ziemi, i znieruchomiał.

W tłumie zerwał się stłumiony krzyk i wszyscy skwapliwie odeszli do tyłu. Tylko Korneliusz Udałow, jako uczestnik wydarzeń, pozostał dzielnie na posterunku.

Kierowca był tak zgnębiony, że błyskawicznie zdjął koło, bez słowa przytoczył drugie i zaczął je zakładać na właściwe miejsce.

- Nie jest ci ciężko? - zapytał Udałow Borówkowa.

- Nie - odpowiedział szczerze młodzieniec.

Udałow z szacunkiem popatrzył na krewniaka swego sąsiada, dziwiąc się jego zewnętrznej wiotkości. Borówkow utrzymywał samochód tak łatwo, że Korneliusz pomyślał, iż autobus wcale nie jest taki ciężki, jak się wydaje.

- Koniec - powiedział kierowca, ocierając pot z czoła. - Puszczaj.

I Borówkow ostrożnie postawił autobus na ziemi.

Nawet się nie spociał i w żaden sposób nie okazywał zmęczenia. W tłumie pasażerów rozległy się oklaski, a czarnowłosa dziewczyna, która skończyła pleść wianek z dmuchawców, podeszła do Borówkowa i założyła mu wianek na głowę. Borówkow nie oponował, a Udałow zauważył:

- Rozmiar trochę za mały.

- W sam raz - nie zgodziła się z nim dziewczyna i dodała: - Jakbym wiedziała, że się przyda.

- Pozwoli pan marynareczkę założyć - powiedział Udałow, ale Borówkow zmieszał się, odrzucił zaoferowaną pomoc Korneliusza Iwanowicza, sam wbił się w marynarkę, obdarzył dziewczynę promiennym uśmiechem, musnął swoje czarne wąsiki, wskoczył do autobusu i usiadł na dawnym miejscu.

Kierowca ponuro milczał, gdyż nie wiedział, czy należy tłumaczyć w bazie, jak to pasażer gołymi rękami uniósł autobus, czy też prawdziwsze będzie powiedzenie, że wybrał lewarek od szofera przejeżdżającej wywrotki. A Udałow siedział o dwa rzędy przed Borówkowem i przez całą drogę do miasta odwracał się, uśmiechał się do młodzieńca, mrugał do niego i wreszcie, już w mieście, nie wytrzymał i zapytał:

- Ćwiczyłeś podnoszenie ciężarów?

- Nie - odparł skromnie Borówkow. - To nie wykorzystane rezerwy ciała.

Ulicą Puszkina aż do samego domu szli razem. Udałow chętnie porozmawiałby z Borówkowem o dalekich krajach i miejscach, ale młodzieniec wciąż pytał o krewnych i znajomych. Udałow pragnął wtrącić coś poważnego, godnego, aby i siebie przedstawić we właściwym świetle, więc wspomniał, że w Guslarze byli przybysze z kosmosu, ale Borówkow uciał:

- Ja się tym nie interesuję.

- A skąd wobec tego - zapytał na to Udałow - wzięły się zagadkowe starożytne budowle, w

tym również piramida Cheopsa i weranda z Baalbeku?

- Wszystkie werandy są dziełem rąk ludzkich - odparł kategorycznym tonem Borówkow. - Innej drogi nie ma. Człowiek - to brzmi dumnie.

- Górki - podpowiedział Udarów. - Starucha Izergil. - Wciąż zerkał na dwie zagraniczne walizki Borówkowa, wypełnione jego rzeczami osobistymi i prezentami dla krewnych: gdyby nie widział osiągnąć fizycznych sąsiada, z pewnością zaproponowałby mu swoją pomoc, ale w obecnej sytuacji taka propozycja równałaby się drwinie z samego siebie.

Wieczorem Mikołaj Łożkin, wujek Borówkowa po kądzeli, zajrzał do Udałowa i zaprosił go wraz z żoną Ksenią do spędzenia wieczoru w miłym towarzystwie zebranych z okazji przyjazdu na urlop bratanka Gieorgija. Ksenią, która już słyszała od Korneliusza o zdolnościach młodzieńca, zwinęła się tak szybko, że już po pięciu minutach znaleźli się w jadalni Łożkinów, która była zarazem gabinetem pana domu: znajdowały się tam akwaria, klatki z ptactwem śpiewającym i szafa z książkami.

Przy stole zebrało się szczupłe grono przyjaciół i sąsiadów Łożkinów. Stara Łożkina odżałowała na tę okazję nalewkę, którą chowała na święta październikowe, gdyż - a to już powiedział w swym toaście sam Łożkin - młodzi ludzie rzadko wspominają o starcach, bowiem żyją własnym, intensywnym i postronnym życiem, i w świetle tego znamieny jest powrót Garika, to znaczy Gieorgija, do jego cioci i wuja, podczas gdy mógł on wybrać dowolne sanatorium lub dom wypoczynkowy na kaukaskim wybrzeżu Morza Czarnego lub też w Złotych Piaskach.

Wszyscy bili brawo, a potem Udałow również wygłosił toast. Powiedział mianowicie:

- Nasza młodzież rozlatuje się z rodzinnego gniazda każda w swoją stronę, jak ptactwo przelotne. W moim domu też dorasta Maksymek i córka, którzy też wypierzą się i odlecą. No i dobra. Szerokie drogi otwierają się dla naszych ptaków przelotnych, ale kiedy już zalecą z powrotem, wprost nie możemy wyjść z podziwu, na jakich zdrowych i silnych ich wychowaliśmy. - I tu wskazał palcem na skromnie siedzącego u szczytu stołu zawstydzonego Gieorgija Borówkowa.

- Wzniesmy więc ten toast - zakończył swą przemowę Korneliusz - za naszego ukochanego siłacza, który na moich oczach uniósł w powietrze autobus z pasażerami i trzymał go w rękach do chwili zakończenia naprawy bieżącej. Hura!

Wielu z obecnych nic nie zrozumiało, ci zaś, którzy zrozumieli, nie uwierzyli, a Borówkow poprosił o głos:

- Naturalnie pochlebia mi to, jednak czuję się w obowiązku dokonać pewnych - sprostowań. Po pierwsze, nie brałem autobusu na ręce, tylko go uniosłem, czego przy pewnym treningu może dokonać każdy człowiek. Po wtóre, w autobusie nie było pasażerów, którzy stali z boku,

ponieważ w żadnym razie nie ryzykowałbym zdrowia ludzi.

Przyjaciele i sąsiedzi patrzyli z przyjemnością na niedawnego wyrostka, który biegał po podwórku i kapał się w rzece, a teraz, po uzyskaniu wykształcenia i odbyciu stażu za granicą, nie utracił dawnej skromności i powrócił do rodzinnych penatów.

- I w jakiej to specjalności odbywałeś tam staż? - zapytał wąsaty Grubin, sąsiad z dołu, kiedy na stół wjechała herbata i pieróg.

- Przyjacielskie Indie - odparł Borowkow - umożliwiły mi dwuletnie studia u pewnego znanego fakira" pustelnika i jogina, guru Kumarasvami.

- No i jak? Wykazałeś się?

- Staralem się - odparł wstydliwie Garik - nie zawieść pokładanego we mnie zaufania.

- Nie bądź taki skromny! - wtrącił Korneliusz Udałow. - Pewnie byłeś najwybitniejszym z uczniów!

- Nie, byli wybitniejsi - odparł Borowkow - chociaż guru czasami nazywał mnie najukochańszym uczniem. Może dlatego, że mam niezłe przygotowanie ogólne.

- A jak tam z wyżywieniem? zainteresowała się Ksenia Udałowa.

- Odżywialiśmy się mlekiem i jarzynami. Do tej pory w ogóle nie spożywam mięsa.

- Bardzo mądrze - powiedziała Ksenia. - Ja też nie używam mięsa. Dla diety.

Borowkow uprzejmie przeczekał, a następnie obrócił się do Udałowa, który zadał mu następujące pytanie:

- Niedawno u nas w prasie była dyskusja o tym, czy jogowie są pozytywni, czy to mistyka?

- Mistyka na świecie w ogóle nie występuje - odparł Borowkow. - Cały problem tkwi w mobilizacji zasobów ciała ludzkiego. Bywa to niebezpieczne, gdy takimi rzeczami zajmują się szarlatani i niedouki. Jednakowoż głębokie korzenie mądrości ludowej, biorące swój początek w Rigwedzie, wymagają pogłębionych studiów.

Po czym Garik z uczuciem zadeklamował w języku staroindyjskim kilka strof poematu „Mahabharata”.

- A na głowie potrafisz stanąć? - zapytał niezmordowany w swej dociekliwości Udałow.

- A jakżeby inaczej! - wykrzyknął Garik i od razu" lekko wsparłszy się dłońmi o krawędź stołu, podrzucił nogi do góry, stanął na głowie, zaparł się stopami o sufit i dalszą rozmowę ze swymi bliskimi prowadził w takiej niewygodnej dla zwykłego człowieka pozycji.

- To wszystko jest dla nas jasne, o tym czytaliśmy - powiedział Grubin, patrząc na Borówkova z ukosa. - A jakie korzyści twoja wiedza przynosi gospodarce narodowej?

- Właśnie pracujemy nad tym zagadnieniem - odparł Borowkow, zwinął wargi w trąbkę i napił się herbaty bez pomocy rąk. Potem opuścił prawą rękę i wziął czereśnię z wazy. - Otwierają się poważne możliwości. Drobny przykład, który zademonstrowałem na oczach towarzysza Udałowa, jest najlepszym tego dowodem. Każdy może się wewnętrznie zmobilizować i dokonać

tego, co wydaje się ponad ludzkie siły.

- Wspomina, jak podniósł autobus - stwierdził Udałow i wszyscy zgodnie pokiwali głowami.
- Mógłbyś się, Garik, odwrócić i usiąść - powiedziała stara Łożkina. - Krew cię zaleje.
- Dziękuję, postoję - odparł Garik.

Rozmowa przy stole potoczyła się dalej i wszyscy obecni stopniowo przyzwyczaili się do tego, że Borowkow znajduje się w zupełnie odmiennej pozie. Młodzieniec tymczasem opowiadał o kontrastach społecznych w Indiach, o tamtejszym życiu, o pomnikach kultury, o hipnozie, hathajodze, i radżajodze. Goście rozeszli się bardzo późno, niezmiernie zadowoleni z przyjęcia.

A następnego dnia rano Borowkow wyszedł na podwórko już w sportowej koszulce i dżinsach, przez co wydawał się swój, guzlarski. Udałow, przygotowując się do pójścia na służbę, wyjrzał przez okno, zobaczył, jak Borowkow wykonuje jakieś ruchy rękami i wyszedł z domu.

- Dzień dobry, Garik powiedział, siadając na ławce. - Co robisz?

- Dzień dobry - odparł Garik - trenuję myśl i palce. Muszę nieustannie trenować, jak wykonawca utworów na instrumentach muzycznych, gdyż w przeciwnym razie mięśnie utracą formę.

- Słusznie - zgodził się Udałow. - Chciałbym cię zapytać o taką rzecz: zdarzyło mi się czytać, że niektórzy fakirzy w Indiach potrafią oblaskawiać dzikie kobry. Dźwiękiem melodii na fujarce mianowicie. Jak ty na podstawie własnego doświadczenia przypuszczasz, oni to naprawdę robią, czy oszukują?

Pewnie mógłby wymyślić jakieś lepsze, mądrzejsze pytanie, ale chciał o coś zapytać, więc palnął pierwszą rzecz, która mu przyszła do głowy. I gdyby nie zapytał o żmije, może by się wszystko lepiej skończyło.

- Istnieje opinia, że dźwięki muzyki istotnie działają hipnotycznie na kobry - odpowiedział skwapliwie Borowkow. - Ale najczęściej fakirzy wrywają im zęby jadowe.

- Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć kobry - zmartwił się Udałow, zaczesując białawe włoski na łysinę. - Ona ma imponującą wielkość?

- Mniej więcej taką - powiedział Borowkow i zmarszczył czoło. Milczał chyba z pół minuty, a potem Udałow spostrzegł, że na piasku, o jakiś metr od nich, pojawiła się zwinięta w pierścień wielka żmija.

Żmija rozwinęła się, uniosła głowę i rozdeła szyję, a Udałow podkurczył nogi na ławkę i zaciekał się:

- Nie ugryzie?

- Nie, Korneliuszu Iwanowiczu - powiedział młodzieniec. - Żmija jest pozorna. Przecież wczoraj o tym opowiadałem.

Kobra tymczasem podpełzła bliżej. Borowkow wyjął z kieszeni dżinsów fujarkę, przystawił

ją do warg i odtworzył nie znaną Udałowowi prostą melodię, od czego Żmija zaprzestała pełzania, uniosła głowę jeszcze wyżej i zaczęła się kołysać w takt muzyki.

- I to też mi się wydaje? - zapytał Udałow.

Borowkow, nie przestając grać, kiwnął głową. Ale akurat wtedy na podwórku pokazała się z siatką na zakupy w ręku obywatelka Gawriłowa z sąsiedniej oficyny.

- Żmija! - wrzasnęła straszliwym głosem i rzuciła się do ucieczki. Żmija wystraszyła się krzyku i popęzła w kierunku kępy bzów z wyraźnym zamiarem ukrycia się w ich gąszczu.

- Zniknij ją - zwrócił się Udałow do Borówkowa, nie opuszczając nóg na ziemię.

Młodzieniec zgodził się, oderwał fujarkę od warg i machnął nią w powietrzu. Fujarka znikła, a i Żmija przestała być widoczna, choć Udałow nie potrafił powiedzieć, czy znikła w ogóle, czy tylko schowała się w krzakach.

- Głupio wyszło - powiedział Garik, muskając wąsiki. - Nastraszyliśmy kobietę.

- Tak. Głupio. Ale przecież to tylko pozór?

- Pozór - zgodził się Borowkow. - Pozwoli pan, Korneliuszu Iwanowiczu, że pana kawałek odprowadzę? Przy okazji przejdę się po mieście.

- Doskonale - powiedział Udałow. - Tylko wezmę teczkę.

Wyruszyli razem na poranne ulice. Udałow zadawał pytania, a Garik wyczerpująco na nie odpowiadał.

- A ta hipoteza działa na wiele ludzi?

- Prawie na wszystkich.

- A jeśli ludzi jest dużo?

- Też działa. Już o tym opowiadałem.

- Słuchaj! - Udałowowi przyszła do głowy niespodziewana myśl. - Aż autobusem też była hipnoza?

- Ależ co pan? - powiedział Garik. - Przecież kierowca wymienił koło?

- Słusznie, wymienił.

Udałow zamyślił się.

- Powiedz mi, Garik - zapytał - ten pozór można wykorzystać?

- Jak?

- No, przypuśćmy, w warunkach bojowych do celów kamuflażu. Sugerujesz faszystom, że przed nimi płynie nieprzebyta rzeka, więc się wycofują. A w rzeczywistości rozpościera się przed nimi spokojne miasto.

- Teoretycznie jest to możliwe, ale żeby zahipnotyzować faszystów, trzeba koniecznie zbliżyć się do nich...

- Zaproponuję wobec tego coś innego. Teatr. Pozorny efekt. Hipnotyzujesz widzów, a im się wydaje, że burza na scenie jest prawdziwa, nawet deszcz pada, a wszyscy czują się zmoknięci.

- To można zrobić - zgodził się Borowkow.

- Albo też - tu Udałow przeszedł już do zagadnień produkcyjnych - niedoróbki w domu, który mam zdawać. Przychodzi komisja, ty ją dla mnie hipnotyzujesz i wszystkim członkom wydaje się, że dom jest jak cacuszko, po prostu z importu.

- Dom to trochę dużo - powiedział ukochany uczeń fakira. - Mój nauczyciel zdołał kiedyś odtworzyć Tadž Mahal, wielki pomnik przeszłości Indii. Ale wymagało to niesłychanego napięcia umysłu i duszy. Do tej pory jeszcze niezupełnie wrócił do siebie. A nam, uczniom, wolno materializować przedmioty o średnicy nie przekraczającej metra.

- Ciekawe - powiedział z powątpiewaniem Udałow. - Ale ja po prostu żartowałem. Nikogo nie zamierzam wprowadzać w błąd. Pozostawmy to zamydlaczom oczu.

- Ja zaś - poparł go delikatnie Borowkow - nawet przy całym szacunku, jaki dla pana żywię, nie chciałbym udzielać pomocy w takich sprawach.

W chwilę potem, po drodze, miał miejsce jeszcze jeden incydent, który umocnił wiarę Udałowa w możliwości Garika.

Ulicą z przeciwka szło zasmarkane do pasa dziecko, które głośno rozpaczało z powodu utraconej piłki.

- Jaką miałaś piłkę, chłopczyku? - zapytał Borowkow.

- Niebieskąaaa! - i dziecko zapłakało jeszcze głośniejsze.

- Taką? - zapytał Borowkow i ku zdziwieniu chłopczyka oraz Udałowa natychmiast stworzył średniej wielkości niebieską piłkę, która podskoczyła i opadła chłopcu pod nogi.

- Nie taką! - ryknęło dziecko. - Moja była duużaa!

- Duża? spytał wcale nie speszony Borowkow. - Będzie duża. I natychmiast w powietrzu pojawiła się kula o średnicy dziesięciokilogramowego arbuza. Kula wisiała chwilę nieruchomo, a potem leniwie opadła na ziemię.

- Taka? - zapytał Borowkow czułym głosem, gdyż niezmiernie lubił dzieci.

A Udałow dostrzegł tymczasem dziwną iskierkę w sprytnych oczach dziecka, które natychmiast wyschły - chłopczyk postanowił wykorzystać czarodzieja.

- Moja była większa! - wrzasnął. - Moja była ze złotymi gwiazdkami. Moja była jak dom!

- Postaram się - powiedział potulnie Borowkow. - Ale moje możliwości są ograniczone.

- Bachor kłamie - powiedział Udałow z przekonaniem w głosie. - Takich piłek w naszym domu towarowym nigdy nie było. Gdyby były, od razu by się ustawiła po nie kolejka! Takich piłek w ogóle przemysł nie produkuje.

- A mnie tatuś z Moskwy przywiózł - powiedziało dziecko trzeźwym głosem handlowca. - Tam takie sprzedają.

- Nie - upierał się Udałow. - Normy państwowe nie pozwalają wytwarzać takich wielkich piłek i z importu też się takich nie sprowadza. Można przecież czymś takim niechcący kogoś

zatłuc.

- Sądzi pan? - zapytał Borowkow. - Bo ja, jak pan wie, przez dwa lata byłem oderwany...

- Oddaj moją piłkę! - zakomenderowało dziecko. Borowkow zmarszczył bardzo silnie czoło i obok chłopczyka pojawiła się kula o średnicy przekraczającej nawet metr. Była błękitna i usiana złotymi gwiazdkami.

- Taka się nada? - zapytał Borowkow.

- Taka? - Chłopczyk zmierzył piłkę wzrokiem i powiedział niezbyt pewnie: - A moja była większa. I gwiazd na niej też było więcej...

- Chodźmy, Garik - oburzył się Udałow. - Zdejmij z niego hipnozę. Niech zostanie bez piłek.

- Nie trzeba - powiedział Borowkow, patrząc z wyrzutem na chłopczyka usiłującego objąć piłkę i ruszył za Udałowem.

- A oto i mój obiekt - powiedział Korneliusz. - No i jak, podoba ci się?

Borowkow odpowiedział nie od razu. Dom, zbudowany przez przedsiębiorstwo, którego szefem był Udałow, zdecydowanie nie należał do najpiękniejszych w mieście. I z pewnością Garik Borowkow widział staranniej zbudowane domy zarówno w Bombaju i Delhi, jak i w Moskwie i Paryżu. Był to jednak młodzieniec dobrze wychowany i dlatego jedynie westchnął, a Udałow powiedział:

- To wszystko przez kooperantów, którzy dostarczali złych materiałów. Ale co im można zrobić?

- Tak, tak, naturalnie - zgodził się Borowkow.

- Wejdziemy? - zapytał Udałow.

- Po co?

- Obejrzysz sobie wnętrza. Akurat za chwilę ma przyjść komisja odbiorcza.

Borowkow nie odważył się odmówić i ruszył za sprytnym Korneliuszem Iwanowiczem, który naturalnie postanowił spożytkować jego talent w pewnej skomplikowanej sprawie.

- Popatrz - zwrócił się do młodzieńca, wprowadzając go do łazienki parterowego mieszkania.

- Jak tutaj ludzie będą mieszkać?

Borowkow rozejrzył się. Łazienka przypominała prawdziwą. Było w niej wszystko, co potrzeba: umywalka, miska klozetowa, wanna i nawet glazura, tyle że niezbyt równo ułożona.

- Czego brakuje? - zapytał Udałow.

- Jak to brakuje?

- Kranów brakuje, młody człowieku, kranów! - podpowiedział Udałow. - Dostawcy nas oszukali. Powiadają, że nie złożyłem na czas zamówienia. A komisja zaraz przyjdzie. I kto na tym ucierpi? Ucierpi twój sąsiad i niemal krewny Korneliusz Udałow, na którym wszystkie psy powieszą.

- Szkoda - powiedział z wielkim przejęciem Borowkow. - Ale jeszcze bardziej ucierpią ci, którzy tu będą mieszkać.

- Im nie będzie tak źle - westchnął Korneliusz Iwanowicz. - Im w końcu wszystko założą, i krany, i uszczelki. Oni zaczną pisać, awanturować się i krany się znajdą. A mnie już nic nie uratuje. Komisja nie przyjmie domu - i premię diabli wzięli! Nie o siebie się zresztą troszczę, tylko o moich współpracowników, o tych na przykład glazurników, którzy nie szczczędzając zdrowia starali się ukończyć robotę w terminie.

Borowkow milczał i najwidoczniej bardziej współczuł przyszłym mieszkańcom domu niż Udałowowi. A Udałow czuł, jak rośnie w nim pokrewieństwo duchowe z chłopczykiem, który wyprosił piłki od Borówkowa. Zewnętrznie łkał i rozpaczał, ale od środka wzbierało w nim radosne oczekiwanie, gdyż Borowkow był człowiekiem miękkim i dlatego skazanym na kapitulację, - Powiedz, czy nie mógłbyś dla czystego eksperymentu przedstawić zaworu czerpalnego? - zapytał Udałow.

- Po co? - odpowiedział pytaniem Borowkow. - Przecież nie wolno oszukiwać ludzi. Chyba że dla żartu?...

Głęboko westchnął, jak człowiek robiący coś wbrew swojej woli, i w miejscu, gdzie powinien być kran, ukazał się miedziany kran w kształcie rybki z otwartym pyszczkiem. Widocznie takie krany Borowkow widywał w Indiach.

- Nie - powiedział Udałow, zupełnie jak chłopczyk od piłek. - Kran jest niedobry. Nasze krany są zwyczajne, bez fintifluzzków. Jak u twojego wujka. Pamiętasz?

Borowkow zniweczył wizerunek wytwornego kranu i na jego miejscu umieścił wizerunek standardowego zaworu czerpalnego.

Udałow podszedł bliżej i, bojąc się nawet dotknąć kranu, sprawdził starannie, czy kran jest przytwierdzony do odpowiedniej rury. Jego obawy potwierdziły się: kran nie był do niczego przymocowany i każdy członek komisji natychmiast by to zauważył.

- No nie, ty tylko spojrzysz tutaj! - powiedział Udałow głosem pełnym oburzenia. - Czy tak się instaluje zawory?... Partacz z ciebie, Garik, daję słowo. Jak woda ma z niego płynąć, jeśli on nie jest przykręcony do rury?

Borowkow poczuł się głęboko dotknięty.

- Co znaczy, że nie popłynie? - I natychmiast z kranu, do niczego nie przymocowanego, trysnął strumień wody.

- Stój! - krzyknął Udałow. - Wody jeszcze w ogóle nie ma. Dom nie został podłączony do sieci. Świnie chcesz mi podłożyć?

- Mogę puścić nawet gorącą! - wykrzyknął podniecony tą całą zabawą Borowkow. Woda zmętniała i zaczęła parować.

- Daj spokój z tymi hipnotyzerskimi sztuczkami - powiedział Udałow surowym tonem. -

Mówię ci to z pozycji starszego towarzysza. Zamknij wodę i zostaw krany w spokoju.

W tym momencie do łazienki wtargnął młody człowiek pokryty od stóp do głów tynkiem. Czuprynę przykrywał kapelusz z gazety, przypominający trójgraniasty kapelusz Napoleona.

- Idą! - krzyknął zdławionym głosem. - Co to będzie, co to będzie!

- Garik! - zakomenderował Udałow. - Za mną! Za późno już na gadanie. Trzeba ratować sytuację.

I wyszli naprzeciw komisji.

Komisja stała przed domem na podwórku, którego urządzenie jeszcze nie zakończono, i oglądała obiekt z zewnątrz. Udałow ruszył ku niej jak gościnny gospodarz. Przewodniczący komisji, Iwan Andriejewicz, mężczyzna od dawna mu już znajomy, paskudny, czepialski i w ogóle nieubłagany, powiedział, podając Korneliuszowi rękę:

- Źle budujesz. Niechlujnie.

- Czy ja wiem - ostrożnie zaproponował Udałow, ściskając podaną mu rękę - czy ja wiem? Katarzyna... - zająknął się i natychmiast poprawił - to znaczy przedstawicielka Rady Miejskiej Katarzyna Pawłowna orientuje się doskonale w naszych przejściowych trudnościach. - Po czym zmarszczył czoło, demonstrując w ten sposób usilną pracę myślową.

- Znasz całą komisję - powiedział przewodniczący. - Może tylko Wietługiny dotąd nie spotkałeś.

I wskazał Udałowowi czarnooką dziewczynę w jersejowym kostiumiku, która w czasie przymusowego postoju autobusu splatała wianek z dmuchawców i uwieńczyła nim głowę Borówkowa. Dziewczyna posiadała męski zawód technika sanitarnego. Borówkow też ją poznał i zaczerwienił się, a ona również z lekka się zaróżowiła, gdyż obecnie była osobą urzędową i nie chciała, aby przypomniano jej o romantycznych porywach serca.

Zapytała tylko Borówkowa:

- Pan także jest budowlanym?

A on odpowiedział:

- Nie, towarzysz Udałow zaprosił mnie tylko na oględziny domu.

- No - Udałow uniósł się na palcach, aby dosięgnąć wargami ucha Garika - albo ratujesz, albo mnie, sam rozumiesz...

Borówkow ponownie westchnął, musnął wąsiki i posłusznie ruszył za dziewczyną w głąb domu. Udałow postanowił nie zostawać w tyle ani na krok. Co tam reszta komisji, skoro największym niebezpieczeństwem jest technik sanitarny!

Zaczęli oględziny od mieszkania, w którym Borówkow już puszczał wodę. Kran był na miejscu, ale nie podłączony do rury wodociągowej.

Dziewczyna doświadczonego wzrokiem fachowca oceniła elegancję i jakość wykonania zaworu, ale zaraz podejrzliwie zerknęła na jego odwrotny koniec. Udałow jęknął w duchu.

Borowkow wyczuł to i natychmiast od kranu wyrosła stosowna rura, a technik sanitarny Wietługina uniosła ze zdumienia brwi, podobne do odwróconych mew narysowanych przez słuchaczy przedszkola. Nie miała się jednak do czego przyczepić, więc przeszła do kuchni. Udałow uszczypnął Borówkowa i Garik, nie odrywając wzroku od Wietługiny, stworzył zawór również tam. Tak wędrowali z mieszkania do mieszkania i wszędzie Borowkow hipnotyzował Wietługinę lśnącymi kranami, a Udałow bał się, że technik sanitarny zechce sprawdzić, czy kranu dobrze działają, bo gdy jej paluszki przejdą przez nie istniejące części metalowe, wybuchnie ogromna awantura.

Ale jakoś się udało. Sytuację uratował Borowkow. Wietługina zbyt często kierowała ku niemu promienny wzrok, a Borowkow zbyt często szukał jej spojrzenia, aby dziewczyna mogła rzetelnie wykonywać obowiązki członka komisji odbiorczej.

Wyszli wreszcie na klatkę schodową i zatrzymali się na podeście ostatniego piętra.

- Wietługina, u ciebie wszystko w porządku? - zapytał Iwan Andriejewicz.

- Prawie - odpowiedziała dziewczyna patrząc na Garika.

Udało się - pomyślał Udałow. - Zaćmiliśmy jej wzrok razem z Borowkowem!

- A dlaczego prawie? - zapytał Iwan Andriejewicz.

- Nie ma kranów - powiedziała dziewczyna i te słowa zabrzmiały dla Udałowa jak złowieszczy grom z jasnego nieba. Poczuł, jak wzbiera w nim nienawiść. Tysiące ludzi całkiem naukowo poddają się hipnozie, a ta wiedźma nie ma życzenia się poddawać!

- Jak to nie ma kranów? - oburzył się Korneliusz Iwanowicz. - Przecież pani widziała. Wszyscy widzieli! I członkowie komisji widzieli. I Iwan Andriejewicz osobiście widział.

- To tylko sama fikcja i pozór materializacji - powiedziała smutnym głosem dziewczyna. - I ja wiem, czym to jest dziełem.

Patrzyła na Borówkowa zaczarowanym wzrokiem, a Garik milczał.

- Wiem, że ten oto towarzysz - kontynuowała podstępna dziewczyna, nie spuszczać oczu z Borówkowa - przebywał w Indiach na wymianie naukowej i nauczył się tam hipnozy i fakirskich sztuczek. Przy mnie już wczoraj udał, że podnosi autobus za tylne koła, a on tylko nas zahipnotyzował. Moja babcia była wczoraj w gościach u Łożkinów i tam wszystkim wydawało się, że on przez cały wieczór stał na głowie i pił herbatę...

A Borowkow milczał.

No teraz zrazisz się do niej za swoją hańbę! - pomyślał z nadzieją Udałow. Owładnęło nim mściwe uczucie: on sam już przepadł z kretelem, więc niechaj teraz zginie cały świat, jak rozumowali francuscy królowie w okresie absolutyzmu.

- Idziemy - powiedział surowo Iwan Andriejewicz. - Przejdziemy wszystko od początku, ty oszuście. Zawsze podejrzewałem, Udałow, że już od dawna powinienes gnić w więzieniu, a teraz owe podejrzenia wreszcie się zmaterializowały.

Borowkow milczał.

- A tego młodzieńca - kontynuował Iwan Andriejewicz - który za granicą liznął obcych nam prądów, też przywołamy do porządku... Proszę wyjść na dwór - zwrócił się do Borówkowa - i nawet nie próbować zajrzeć ponownie do domu!

- Słusznie - powiedziała omdlewającym tonem podstępna Wietługina. - Bo inaczej wszystkich nas znowu zahipnotyzuje.

- Może i domu nie ma? Trzeba sprawdzić - powiedział Iwan Andriejewicz.

- Nie - odparła Katarzyna z Rady Miejskiej. - Dom stał wcześniej, budowali go na naszych oczach, a ten młodzieniec dopiero wczoraj do nas zawitał.

Guslar jest miastem niewielkim i nowiny rozchodzą się w nim niemal w mgnieniu oka.

Udałow włókł się w ogonie komisji. Czuł się jak skazaniec. Nabrzmiwały kłopoty w skali ogólnodzielnicowej. Pomyślał nawet, że w jego wieku jeszcze nie jest za późno rozpocząć nowe życie i pójść na budowę w charakterze tynkarza, od którego to stanowiska Korneliusz Iwanowicz rozpoczął niegdyś swoją drogę ku szczytom władzy. Ale co na to powie żona!...

- Pokażcie wasze rzekome krany - powiedział Iwan Andriejewicz, wchodząc do pierwszego mieszkania.

Udałow nie wszedł do łazienki. Został w pokoju i zbliżył się do okna. Na podwórku Borowkow kreślił coś w zadumie patykiem na piasku.

I po co ja go zaplątałem w tę całą sprawę? - zasmucił się Udałow, po czym jego myśl pobiegła ku koncepcji, że nieźle byłoby żyć na świecie bez kobiet.

Za cienką ścianą działową rozlegały się podniecone głosy. Nikt nie wychodził z łazienki i wszystko wskazywało na to, że coś się tam stało. Udałow zrobił dwa kroki i zajrzał do środka przez ramię Katarzyny z Rady Miejskiej. Cały skład komisji z ogromnym trudem mieścił się w łazience. Wietługina siedziała na krawędzi wanny, a Iwan Andriejewicz macał kran i jego palce w nic się nie zapadały.

- Coś ci się pomyliło - powiedział Iwan Andriejewicz do Wietługiny.

- To i tak jedynie pozór - upierała się zmieszana Wietługina, gdyż wychodziło na to, że oczerniła i Udałowa, i Garika, i całą fakirską naukę.

- A jaki to pozór, jeżeli on jest twardy? - zdziwił się Iwan Andriejewicz.

- Prawdziwy - pospieszył z potwierdzeniem Udałow.

- No to niech powie, kiedy i skąd dostał zawory czerpalne - wpadła na nowy pomysł uparta Wietługina. - Niech komisja sprawdzi to w dokumentach!

- Dziecinne gadanie - powiedział Udałow, który poczuł, że znów stoi na pewniejszym gruncie. - Czy ja bym krany kupował na bazarze za własne ciężko zapracowane pieniądze?

Tu już Iwana Andriejewicza zawiodła cierpliwość.

- Ty, Wietługina, jesteś jeszcze fachowiec młody, i nie jest dobrze, że swoją karierą zawodową zaczynasz od oczerniania naszych zasłużonych starszych towarzyszy.

I zamaszystym gestem wskazał głowę Udałowa, która wyglądała zza ramienia Katarzyny.

- Słusznie, Iwanie Andriejewiczu - Udałow bez najmniejszych wyrzutów sumienia przyłączył się do opinii przewodniczącego komisji. - My tu pracujemy, wszyscy starają się jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki, a tymczasem pewni towarzysze zajmują się z upodobaniem rozpowszechnianiem niesprawdzonych pogłosek.

Wietługina, czerwona jak piwonia, wybiegła z łazienki, a Udałow błogosławił los za to, że Borówkow jest na dworze i nic nie widzi. Jego miękkie serce z pewnością nie wytrzymałoby tego widoku.

Korneliusz Iwanowicz postarał się jak najszybciej wyprowadzić komisję z domu, gdyż w takich delikatnych sytuacjach nigdy nie wiadomo, jaki obrót może sprawą przybrać za pięć minut. I w ostatniej chwili wszystko rzeczywiście omal nie zawało się przez nadmierny perfekcjonizm Borówkowa, gdyż Iwan Andriejewicz machinalnie odkręcił kran, z którego trysnął strumień gorącej wody. Iwan Andriejewicz naturalnie od razu zakręcił zawór, wyszedł z łazienki, ale już na schodach zatrzymał się raptownie i zapytał z niejakim zdziwieniem:

- Co to, woda też już jest podłączona?

- Nie, została w rurach po próbie ciśnieniowej.

Udałow patrzył na przewodniczącego komisji wzrokiem niewinnym i naiwnym.

- A dlaczego jest gorąca? - zapytał przewodniczący.

- Gorąca? A ona była gorąca?

- Gorąca - potwierdziła Katarzyna z Rady Miejskiej. - Sama to obserwowałam.

- Widocznie nagrzała się od słońca. Pod dachem.

Iwan Andriejewicz spojrzał na Udałowa nieco ogłupiałym wzrokiem, machnął ręką i burknął:

- Sami fakirzy się tu zebrali!...

Akurat w tym momencie wyszli z bramy i ujrzeli technika sanitarnego Wietługinę, łkającą na ramieniu Borówkowa.

- Idziemy - powiedział Iwan Andriejewicz. - Do biura. Sporządzimy protokół. Katarzyno Pawłowna! Zawołaj Wietługinę... Każdy potrafi krzyczeć, a jak go tylko skrytykują, od razu w bek...

Kiedy wszystkie papiery zostały już rozłożone i Katarzyna, która miała najładniejszy charakter pisma, zaczęła wypełniać pierwszy blankiet, Korneliusz Iwanowicz nagle przeprosił zebranych i zaniepokojony wybiegł na dwór do Garika.

- Ale krany zostaną? - zapytał. - Krany nigdzie nie znikną? Przyznaj się, to nie jest hipnoza?

- Krany zostaną. Przecież mieszkańcy muszą coś pić i w czymś myć się! Bo przy pańskiej,

Korneliuszu Iwanowiczu, zapobiegliwości musieliby biegać z wiadrami po wodę do studni.

- Aha! To znaczy, że krany są prawdziwe?

- Najprawdziwsze.

- A skąd się wzięły? Może to idealizm?

- Nic podobnego - zaproponował Borowkow. - Nie ma w tym żadnego idealizmu. Po prostu należy szukać natchnienia w mądrości ludowej i znajdować w niej racjonalne ziarno.

- Jeśli to materializm, skąd wobec tego wziął się metal? Gdzie prawo zachowania materii? Jesteś pewien, że krany nie zostały skradzione, że nie przeniosłeś ich tutaj siłą woli z gotowego domu?

- Absolutnie - odparł Borowkow. - Nie przeniosłem. Ile metalu znalazło się w kranach, tyle zniknęło go z wnętrza Ziemi. Ani mniej, ani więcej.

- A ty - w oczkach Udałowa znów pojawił się dziecięcy błysk: zapragnął jeszcze jednej piłki, znacznie większej - ty jednak nie mógłbyś stworzyć domu?

- Mówiłem już, że nie mogę. Mój nauczyciel guru Kumarasvami raz zdołał, ale potem leżał cztery lata w kompletnej prostracji i prawie nie oddychał.

- Duży ten dom był?

- Też już mówiłem! To było mauzoleum Tadż Mahal w mieście Agra.

Znad rzeki wionął wietrzyk i zmierzwił rzadziutkie włoski Udałowa, więc Korneliusz Iwanowicz sięgnął do kieszeni po grzebień.

- Wietługinie się przyznałeś?

- Nie, przekonałem ją, że umiem podnosić ciężary, stać na głowie i spać na gwoździach, ale nie potrafię niczego zmaterializować.

I dodał z przekonaniem w głosie:

- A w ogóle to spodobałem się jej z zupełnie innych powodów.

- Pewnie, że z innych - zgodził się Udałow. - To wcale jej się nie spodobało, bo to dziewczyna z zasadami. Tak więc w przyszłości nie ma co na ciebie liczyć?...

- W żadnym wypadku.

- No, dzięki i za to, co dla mnie zrobiłeś. Gdzie ja podziałem grzebień?

I natychmiast w jego ręku pojawił się grzebień z rzeźbionego szylkretu.

- To dla pana na pamiątkę ode mnie - powiedział Garik, siadając na betonowej rurze, gdyż musiał przygotować się na długie oczekiwanie na Tanie Wietługinę.

- Dziękuję - powiedział Udałow, doprowadził łysinę do oficjalnego wyglądu i poszedł do biura.

Retrogenetyka

Cudowny majowy dzień zakończył się niewielką wzorcową burzą z kilkoma pięknymi błyskawicami, malowniczym blaszanym grzmotem, pięciominutową ulewą i miłą świeżością w powietrzu wypełnionym aromatem bzów. Miasto powiatowe Wielki Guslar tonęło z rozkoszą w tej świeżości i w tych zapachach.

Emeryt Mikołaj Łożkin wyszedł na kędzierzawe od młodej zieleni, czyste i nawet w jakiejś mierze po wiosennemu kokieteryjne podwórze z wielką księgą w rękach. Po podwórku spacerował tęgi, łysy mężczyzna - profesor Lew Chrystoforowicz Minc, który przyjechał do spokojnego Wielkiego Guslaru dla poratowania zdrowia nadszarpniętego wyteżoną działalnością naukową.

Mikołaj Łożkin lubił porozmawiać z profesorem na tematy umysłowe, czasami nawet podyskutować z nim, ponieważ sam również uważał się za znawcę natury.

- Co pana teraz pasjonuje - zapytał profesor. - Cóż to za książkę z taką miłością tuli pan do piersi?

- Zafascynowała mnie antropologia - odparł Łożkin. - Interesują się problemem pochodzenia człowieka od małp.

- No i jak, odkryto w tym zakresie coś nowego?

- Obawiam się, iż nauka znalazła się w ślepym zaułku - poskarżył się Łożkin. - Ludziska tyle najrozmaitszych rzeczy wykopali, ale nie dokopali się najważniejszego: jak, gdzie i kiedy małpa przekształciła się w człowieka.

- Tak, ten moment jest bardzo trudno uchwycić - zgodził się z nim Minc. - A może w ogóle go nie było?

- Musiał być - powiedział Łożkin tonem pełnym najgłębszego przekonania. - To niemożliwe, aby takiego momentu nie było. Bo wie pan, jak to jest? Wykopią gdzieś w Indonezji albo w innej Afryce pojedynczy prehistoryczny ząb i zaczynają się zastanawiać, kto go zgubił, człowiek czy małpa. Jeden powiada - „człowiek” i nazywa tego człowieka powiedzmy preantropem. A inny zerknie na ten sam ząb i mówi: „Nie, to jest ząb małpi i należy, rzecz jasna, do prepiteka”. Wydawałoby się, że nie ma żadnej różnicy, bo i tak nikt nic nie wie... Ale chodzi o zasadę!

Minc pochylił mądrą, łysą głowę, skrzyżował ręce na krągłym brzuszku wypełniającym szczelnie marynarkę i zapytał surowym tonem:

- I cóż pan proponuje?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - wyznał Łożkin. - Trzeba by tam zajrzeć. Ale jak? Przecież wygląda na to, że podróże w czasie są niemożliwe.

- Brednie - zachnął się Minc. - Kiedy spróbowałem zbudować maszynę czasu, dotarłem do dnia wczorajszego i tam już zostałem.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Łożkin. - Wziął pan i został?

- Wziąłem i zostałem - potwierdził Minc.

- A w jaki sposób ja pana obserwuję?

- Złudzenie optyczne. Co dla pana jest dzisiaj, to dla mnie wczoraj - odpowiedział zagadkowo Minc.

- To znaczy, że nie ma żadnej nadziei?

Profesor zamyślił się głęboko i nie odpowiedział.

W jakieś trzy dni później Minc spotkał Łożkina na ulicy.

- Słuchajcie, Łożkin powiedział. - Jestem panu bardzo wdzięczny.

- Za co? - zdziwił się Łożkin.

- Za wspaniałą ideę.

- No cóż - odparł Łożkin, który nie odznaczał się nadmierną skromnością - na zdrowie. Nie jestem skąpy.

- Odkrył pan nowy kierunek w biologii!

- Jaki? - zainteresował się Łożkin.

- Odkrył pan genetykę na odwrót.

- Proszę to wyjaśnić - zażądał Łożkin oficjalnym tonem.

- Pamięta pan naszą rozmowę o brakującym ogniwie, o pochodzeniu człowieka?

- Jak niby miałbym zapomnieć!

- A więc zapewne pamięta pan również o swym pragnieniu, by zajrzeć w mroki dziejów i odnaleźć moment przekształcenia małpy w człowieka?

- Pamiętam.

- Wtedy zacząłem się zastanawiać, czym właściwie jest życie na Ziemi. I sam sobie odpowiedziałem: nieprzerwanym łańcuchem zmian genetycznych. Oto wśród ameb zjawiał się szczęśliwy mutant, który szybciej od innych pływał w praocenie lub też miał szerszą gębę... Ten mutant miał żarłoczne i żwawe potomstwo. Wnuk tej ameby spotkał okrutnie żarłoczną amebicę i w ten sposób uczynił kolejny krok na drodze ewolucji. W ten sposób to biegło, aż do człowieka. Wyczuwa pan więź czasu?

- Wyczuwam - odrzekł Łożkin i dodał: - W rozmowie ze mną nie musi pan uciekać się do uproszczeń.

- Znakomicie. My, ludzie, aktywnie ingerujemy w ten proces. Podpatrzyliśmy, jak to robi natura, i zamiast niej dokonujemy krzyżówek, przeprowadzamy dobór, tworzymy nowe odmiany pszenicy i wysokomlecznego bydła. Słowem, własnoręcznie kontynuujemy ewolucję.

- Kontynuujemy - zgodził się Łożkin. - Ja na przykład w chwilach wolnych od innych zajęć zamierzam wyhodować szybko rosnący parkan.

- Gratuluję. Zawsze ma pan jakieś nowe pomysły. No więc po rozmowie z panem zacząłem

się zastanawiać, czy zawsze naśladowanie natury jest słuszne. Natura jest ślepa i zna tylko jedną drogę - naprzód - bez względu na to, czy jest dobra, czy zła.

- Droga naprzód jest zawsze postępową - zauważył Łożkin.

- Bardzo subtelna uwaga. A co będzie, jeśli zakłócić ten porządek? Odwrócić wszystko do góry nogami? Zapytał pan: jak można by zobaczyć brakujące ogniwo? Odpowiadam - rozplatać łańcuch dziedziczności. Puścić ewolucję do tyłu i zagłębiając się w historię dotrzeć do jej źródeł.

- I bez tego mamy co robić - zaproponował Łożkin.

- A perspektywy? - zapytał profesor, mrużąc znacząco oczy i pochylając głowę.

- To nie są perspektywy, tylko retrospektywy - powiedział Łożkin.

- Wspaniale! - wykrzyknął Minc. - Czym posługuje się genetyka? Krzyżowaniem i dobozem. Naszą nową naukę nazwiemy wobec tego retrogenetyką. Retrogenetyka posługiwać się będzie rozkrzyżowywaniem, odkrzyżowywaniem i rozbiorem. Genetyka wyhoduje nową odmianę owiec, której dotychczas nie było, natomiast retrogenetyką - odmianę, której już nie ma. Naukowcy nie będą już musieli grzebać w ziemi. Wystarczy, aby paleontolog zamówił w laboratorium pierwszego neandertalczyka i po jakimś czasie spokojnie go sobie obejrzy.

- Słaby punkt - oświadczył Łożkin.

- Słaby punkt? W mojej teorii?

- Pański neandertalczyk żył milion lat temu. Zamierza pan może poświęcić następny milion lat na jego ponowne wyhodowanie?

- Słuchajcie, Łożkin. Gdybyśmy zdali się na łaskę natury, to wspaniałe odmiany pszenicy, które dzisiaj bujnie plonują na kołchozowych łąkach, same by się wyhodowały za milion lat. A może w ogóle by się nie wyhodowały, gdyż nie są naturze do niczego potrzebne.

- No, jeśli nawet nie milion, to co najmniej tysiąc lat - nie dawał za wygraną Łożkin. - Zanim się pański neandertalczyk urodzi, zanim spłodzi swoich przodków...

- Nie, nie i jeszcze raz nie - zaproponował profesor. - Po co niby mielibyśmy realizować wszystkie pokolenia? W każdej komórce jest dokładnie zakodowana cała jej historia. Wszystko odbędzie się, drogi mój przyjacielu, na poziomie molekularnym, jak uczy członek rzeczywisty Akademii Nauk, Engelhardt.

- No dobra, wyhoduje pan to, co było dawniej. A co dalej? Jaką korzyść z tego odniesie gospodarka narodowa?

Odpowiedź na swe pytanie otrzymał Łożkin w trzy miesiące później, kiedy pożółkły lipy w miejskim parku, a dzieci szkolne wróciły z kolonii.

Lew Chrystoforowicz stał przy bramie i czekał na kogoś, kiedy Łożkin natknął się na niego wracając ze sklepu z kupionym właśnie kefirem.

- Jak leci? - zainteresował się. - Kiedy zobaczymy żywego neandertalczyka?

- Nie zobaczymy go nigdy - uciął profesor. W ciągu ostatnich tygodni wyraźnie zmizerniał,

chyba od nadmiaru pracy umysłowej. - Istnieją ważniejsze problemy.

- Jakież to?

- Zna pan Iwana Sidorowicza Chatę?

- Nie miałem przyjemności - powiedział Łożkin.

- To człowiek godzien najwyższego uznania, zootechnik, kierownik fermy hodowlanej w naszym miejskim gospodarstwie pomocniczym „Guslarczyk”. Odważny, nawet ryzykancki i niezmiernie szlachetny. Dusza nie człowiek!

W tym momencie w bramę wjechał gazik, z którego wyskoczył zwawy okularnik niewielkiego wzrostu, ale wielkiej duszy.

- Jedziemy? - zapytał, przywitawszy się uprzednio z profesorem Mincem.

- Weźmiemy z sobą Łożkina - zdecydował Minc - jako przedstawiciela opinii publicznej. Już najwyższy czas na zapoznanie tej opinii z naszymi wynikami.

- Czy nie za wcześnie? - zapytał Chata. - Spłoszą...

- Nie mamy się czego lękać, bo nie musimy niczego ukrywać! - powiedział dumnie Minc.

Gazik po krótkiej jeździe dotarł do zabudowań fermy hodowlanej. Obok obory stała nowa wysoka szopa.

- No cóż, wchodźcie, tylko założcie fartuchy.

Chata dał fartuchy Łożkinowi i Mincowi i sam też się ubrał na biało. Łożkin poczuł klucie w żołądku i przygotował się na niezwykle, a może nawet straszliwe widoki. Ale niczego strasznego nie zobaczył.

Pod stropem paliło się kilka silnych lamp, oświetlając stadko kudłatych zwierząt żujących siano w przeciwległym kącie szopy. Łożkin przypatrzył się im uważniej. Zwierzęta były dziwne. Takich nigdy jeszcze nie widział. Były pokryte długą rudą sierścią, miały długie nosy i grube słupowate nogi. Na widok ludzi przestały żuć i zagapiły się na nich malutkimi czarnymi ślepkami, a potem nagle kwiknęły, ryknęły i na złamanie karku rzuciły się w stronę Chaty i Minca. O mało ich nie poprzewracały, tak się łasiły i podskakiwały, a profesor wyjmował z kieszeni fartucha kostki cukru i rozdawał je zwierzątom.

- Co to za zwierzęta? - zapytał Łożkin spod ściany. - Dlaczego ich nie znam?

- Nie domyślił się pan? - zdziwił się Chata. - Mamucięta. Przecież to jasne jak słońce.

- Dla mnie niejasne - obraził się Łożkin, cofając się przed mamuciątkiem, które wyciągało do niego malutką trąbkę, domagając się w ten sposób poczęstunku. - Gdzie kły, gdzie trąby? Dlaczego mały gabaryt?

- Wszystko będzie - uspokoił go Minc, odciągając mamutka za krótki ogonek, aby nie napastował gościa. - Wszystko im z wiekiem odrośnie. Rozumiem pańskie zdziwienie, gdyż nie stykał się pan jeszcze z młodymi przedstawicielami tego wspaniałego gatunku.

- Ze starymi też się nie stykałem - powiedział Łożkin. - I jakoś przeżyłem bez tego, nie

uskarżam się. Gdzieście ich wykopali?

- Czyżby się pan nie domyślał? Przecież wyhodowaliśmy je metodami retrogenetyki - rozkrzyżowywaniem i rozbiorem. Ze słonia uzyskaliśmy wspólnego przodka słoni i mamutów - bliskiego mastodontom. Potem ruszyliśmy w odwrotną stronę i wyhodowaliśmy mamuta.

- Tak szybko?

- Na poziomie molekularnym, Łożkin, na poziomie molekularnym. Pod mikroskopem elektronowym. Metodą rozkrzyżowywania, odkrzyżowywania i rozbioru. Rozumie pan teraz, dlaczego zrezygnowałem z niezmiernie pociągającej idei odnalezienia brakującego ogniwa i zająłem się mamutami?

- Nie rozumiem - powiedział Łożkin.

- Jesteście, towarzyszu, najwidoczniej dalecy od problemów hodowli zwierzęcej - w głosie Chaty zabrzmiało współczucie. - Zastanawialiście się kiedyś, co może nam dać mamut?

- Nie zastanawiałem się. Nigdy nie miałem mamuta.

- Mamut daje nam sierść. Daje nam pożywne mięso, wysokokaloryczne mleko i nawet mamucią kość...

- Ale najważniejsze - wykrzyknął Minc - że daje się hodować bezstanowiskowo! Okrągły rok pod gołym niebem! Nie potrzebuje ani ocieplanych obór, ani specjalnej paszy. Niech pan przy tym pomyśli o trudno dostępnych regionach dalekiej północy, gdzie mamut może stać się niezastąpionym zwierzęciem wierzchowym i jucznym dla geologów i topografów!...

Minęły jeszcze trzy miesiące.

Pewnego dnia pod dom nr 16 na ulicy Puszkina, gdzie mieszkał Lew Chrystoforowicz Minc, zajechała szarawa „Wołga”, z której wysiadł nienatrętnej powierzchowności mężczyzna w średnim wieku ubrany w bułgarski kozuszek. Wyjął z ust fajkę, zerknął pobłaźliwie na skromne podwórko, poprawił okulary w masywnej oprawie i zatrzymał wzrok na Kseni Udałowej, która właśnie rozwieszała pranie:

- Przepraszam bardzo, obywatelko - powiedział. - Jeśli nie wprowadzono mnie w błąd...

- Pewnie dziennikarz? - zapytała Ksenia.

- Właśnie. Z Moskwy. A skąd pani wie?

- Jak to skąd? - zdziwiła się Ksenia. - Pan jest osiemnasty w tym tygodniu. Proszę wejść na pierwsze piętro. Drzwi otwarte. Lew Chrystoforowicz wypoczywa.

Wdrapując się po skrzypiących schodach do skromnej siedziby wielkiego profesora, dziennikarz mamrotał pod nosem: „Szarlataneria. Oczywista szarlataneria. Wprowadzanie w błąd opinii publicznej...”

- Proszę - rozległ się zza drzwi głos profesora Minca, który właśnie odpoczywał, to znaczy czytał miesięcznik popularnonaukowy, słuchał dziennika radiowego, oglądał telewizyjną transmisję meczu hokejowego, prasował spodnie i rozmyślał.

- Jestem dziennikarzem z Moskwy - powiedział gość podając mu legitymację prasową. - To pan tu hoduje mamuty.

Dziennikarz z Moskwy powiedział to takim tonem, jakby zamierzał wykrzyknąć: „To pan za nos wodzi opinię publiczną?”

- Mamuty również - odparł skromnie profesor, wsłuchując się w wieści z Canberry i zachwycając się kunsztem najlepszego hokeisty sezonu, Jakuszewa.

- Metodami... - dziennikarz wydobyl notes z zamszowej kieszeni - retro, pardon, genetyki? Ufajacy w zyczliwosc ludzka Minc nie dostrzegł ironii w jego głosie.

- Istotnie - powiedział i nabrał wody w usta ze szklanki, żeby skropić spodnie.

- Ma pan jakieś wyniki?

Minc przesunął rozpalonym żelazkiem po kancie spodni i zniknął w kłębach pary.

- Coś z tym jednak trzeba będzie zrobić - powiedział, mając na myśli spodnie i sytuację w Australii.

- A jednak - nalegał dziennikarz - może mógłbym obejrzeć pańskie mamuty.

- Dlaczego nie? Pasą się gdzieś na polach. Wygrzebują paszę spod śniegu.

- Jasne. A potrafi pan wyhodować jeszcze jakieś inne zwierzęta.

- Gdy będzie pan nad rzeczką, proszę zerknąć do przerebła, gdzie pływają brontozaury. Latem zamierzamy wysłać je do Azji Środkowej. Przydadzą się tam do oczyszczania instalacji irygacyjnych.

W tym momencie w okno zapukało długim, zębatym dziobem jakieś paskudztwo. Paskudztwo miało błoniaste skrzydła niczym nietoperz i wrzasnęło tak, że zabrzęczały szyby w oknach i lufcik otworzył się z trzaskiem.

- Niemożliwe! - powiedział dziennikarz, odskakując pod ścianę. - Co to jest? Mamut?

- Mamut? Nie, to jest Tomek. Tomek pterodaktyl. Kiedy dorośnie, rozwinie skrzydła na całe osiem metrów.

Minc wyciągnął spod stołu kartonowe pudełko filetów z makreli, podszedł do lufcika i rzucił filety do rozdziawionego dzioba paskudztwa. Pterodaktyl złapał pudełko i połknął nawet nie rozpakowując.

- Po co panu pterodaktyl? - zapytał dziennikarz. - Nadaje się tylko do straszenia ludzi.

Nie był już nastrojony tak sceptycznie, jak w pierwszej chwili.

- Jak to po co? Pterodaktyle są nam po prostu niezbędne. Z ich skrzydeł będziemy produkować płaszcze przeciwdeszczowe, spadochrony, no i oczywiście parasole. W dodatku nauczymy je pasania owiec i ochrony stad przed wilkami.

- Przed wilkami, powiada pan? No tak, oczywiście... - Dziennikarz zaprzestał indagacji i wkrótce wyszedł.

„Całkiem możliwe, że to jednak w pewnym stopniu nie jest szarlataneria - myślał, kierując

się do swego samochodu - ale generalnie rzecz ujmując mamy tu do czynienia z szarlatanerią”.

Przez cały dzień jeździł po mieście, obserwując z daleka igraszki młodych mamutów, krzywiąc się boleśnie, gdy padał na niego cień przelatującego pterodaktyla i wzdrygając się na odgłos ryku niedźwiadka jaskiniowego.

- Nie, to nie jest szarlataneria - powtarzał uparcie. - Ale pod pewnymi względami coś znacznie gorszego niż szarlataneria!

Wiosną w czasopiśmie zatrudniającym owego dziennikarza ukazał się artykuł pod surowym tytułem:

OWOCE LEKKOMYŚLNOŚCI

Nie ma najmniejszego sensu streszczać wszystkich obaw i inwektyw gościa profesora Minca, który przestrzegał, że nowe zwierzęta zakłócą i tak już zachwianą równowagę ekologiczną, że niedźwiedzie jaskiniowe i mamuty zagrażają bezpieczeństwu dzieci i młodzieży, a na zakończenie rozwinął apokaliptyczny obraz perspektyw retrogenetyki:

„Nieodpowiedzialność prowincjonalnego naukowca i prowadzonych przez niego na pasku działaczy i hodowców guslarskich zmusza mnie do bicia na alarm. Doświadczenie, nie sprawdzone uprzednio na drobnych i nieszkodliwych stworzonkach (żukach, królikach itd.), doprowadzi z pewnością do godnych pożałowania wyników. Gdzie mamy gwarancję, że mamuty nie zegzą się i nie stratuja zieleń miejskiej? Że nie uciekną do lasu? Gdzie mamy gwarancję, że brontozaury nie wygramolą się na brzeg w poszukiwaniu nowych zbiorników wodnych? Proszę wyobrazić sobie te gady pełzające po ulicach, przewracające słupy i kioski! Jestem przekonany, że pterodaktyle, zamiast paść owce i oddawać skrzydła w charakterze surowca do produkcji parasoli, zaczną polować na drób, a może nawet na owce, które miały strzec przed zakusami wilków. I wszystko skończy się tym, że na likwidację skutków nieprzemysłanego eksperymentu trzeba będzie wydatkować przeznaczone na co innego fundusze państwowe i zmobilizować do tej akcji masę pracującą miast i wsi...”

Artykuł trafił do rąk profesora Minca dopiero latem. Czytając go Lew Chrystoforowicz uśmiechnął się tylko, a potem zabrał czasopismo na otwarcie wystawy międzyrejonowej.

Ośrodkiem wystawy, jak zresztą należało oczekiwać, stał się pawilon „Retrogenetyka”. Właśnie tam spieszyli ludzie ze wszystkich stron, z innych miast, obwodów i państw.

Przecisnąwszy się przez międzynarodowy tłum do pawilonu, profesor Minc znalazł się przy wybiegu z mamutami.

Było bardzo upalnie i dlatego mamuty zostały ostrzyżone na zapałkę, dzięki czemu przypominały muskularne psy rasy airdaleterrier. Niektórym już zaczęły wyrzynać się kły. Pterodaktyle siedziały im na grzbietach i wydziobywały pasożyty. W okrągłym basenie pośrodku pawilonu pływały dwa brontozaury. Od czasu do czasu unosiły się ciężko na tylnych łapach i przyciskając przednie do błyszczących piersi wyzebrywały od zwiedzających pierożki z serem.

Jeśli któryś ze zwiedzających nie miał pierożka, to rzucał pięciokopiejkówkę.

Tam właśnie, między wybiegiem a basenem, Minc spotkał Łożkina i Chatę. Natychmiast też przeczytał im sceptyczny artykuł.

Śmieli się z niego nie tylko ludzie. Zataczały się ze śmiechu brontozaury, trąbiły mamuty, a jeden z pterodaktyli zaczął tak rzeć, że nie mógł zamknąć paszczyki, zanim nie przybiegł dozorca i nie dał wesołkowi w dziób drewnianym młotkiem.

- Czyżby - powiedział profesor, kiedy wszyscy jako tako zdołali się uspokoić - ten naiwny człowiek przypuszczał, że moglibyśmy hodować wymarłe potwory, nie zaszczepiwszy im przed tym genetycznej miłości i szacunku dla człowieka?

- Nigdy - powiedział twardo emeryt Łożkin. - W żadnym razie!

Pterodaktyl, wciąż jeszcze trzęsąc się ze śmiechu, podszedł do profesora, który poczęstował go cukierkiem. Malutkie dzieci jeździły po kolei wierzchem na mamutach, podkładając sobie poduszki pod pupcie, żeby nie pokłuć się o krótką sierść, brontozaury zbierały monety z dna basenu i uczciwie oddawały je dozorczy, a na uboczu popiskiwał niedźwiedź jaskiniowy, którego od rana nikt nie pogłaskał.

Tego samego dnia stołecznego dziennikarza, pechowego proroka, omal na śmierć nie zagryzła jego własna syjamska kotka, ukochane zwierzątko domowe.

Zmartwychwstanie Czapajewa

Udałow i Grubin przechodzili obok kina. Był akurat późny sobotni ranek i obaj aż do obiadu nie mieli nic do roboty. W kinie na 11.30 szedł „Czapajew”.

- Sasza - powiedział Udałow, - Dawno to oglądałeś?

- To ulubiony film mojego dzieciństwa - odparł Grubin. - Z czasów, kiedy nie było jeszcze szerokich ekranów i telewizorów. Wyobrażasz sobie, jak teraz nakręciliby scenę ataku psychologicznego?

- Wcale nie jestem pewien, że lepiej - powiedział Udałow. - Na wszystko jest swój czas.

- No to co, może wykupimy bilety po dziesięć kopiejek i pokolegujemy się z dziećmiakami? - zapytał Grubin i ruszył do kasy.

Przed kasą było tak pusto, że aż dziw brał, że nikt nie chce oglądać takiego zasłużonego filmu.

- Wygląda na to - powiedział Grubin do rozespanej kasjerki Toni - że obecne pokolenie dzieci woli „Siedemnaście mgnień wiosny”. Wobec tego dwa bilety staruszkom.

- Wcale nie - powiedziała Tonią. - Został mi tylko ostatni rząd.

- A co się stało z resztą biletów?

- Reszta została wykupiona razem z poprzednim seansem. Te urwipółcie oglądają po dwa razy.

Weszli do pustego hallu kina, gdzie za ladą bufetu nudziła się kobieta w podeszłym wieku, a na ścianach wisiały fotografie naszych radzieckich gwiazd filmowych wycięte z kalendarza ściennego. Wypili, po piwku, zakąsili kanapkami z holenderskim serem, a potem Udałow zapytał:

- Sasza, ile razy widziałeś ten film?

- Masz na myśli „Czapajewa”? Chyba z dziesięć.

- A ja co najmniej pięć razy - wyznał Udałow. - Potem przestałem chodzić, bo bardzo mnie bolało, że Czapajew utonął w rzece. Myślałem, że może z raz nie utonie. A on tonął.

- Takich głupich marzeń nie miałem nawet będąc smarkaczem - powiedział Grubin i chyba akurat wtedy skończył się pierwszy seans, bo otworzyły się drzwi sali projekcyjnej, zza których w kierunku bufetu pognało stu pięćdziesięciu chłopców i pięć dziewczynek. Wszyscy ściskali w piąstkach drobne na cukierki i lemoniadę. Grubin i Udałow musieli zaprzeć się o stół, żeby nie porwał ich ten burzliwy strumień. Dzieci tłoczyły się przy ladzie, spiesząc zjeść i wypić swoje przysmaki przed następnym seansem.

Jedno z najsprytniejszych dzieci, dziesięcioletni mniej więcej chłopak z szelmowskimi oczyma i mnóstwem zadrapań pokrywających nos i policzki, pierwsze zdołało wywalczyć sobie ekierkę i szklanę lemoniady i dosiadło się do stołu dorosłych.

Chłopak pożywiał się dość nerwowo i powiedział między dwoma kęsami:

- Zwijajcie się, bo możecie się spóźnić.

- Do rozpoczęcia seansu zostało jeszcze dziesięć minut - powiedział Grubin, a Udałow, który miał własne dzieci, dorzucił z oburzeniem:

- Chłopczyku, tak z dorosłymi rozmawiać nie wolno!

- Jak uważacie. Nie dostaniecie miejsca i już. Przecież ja ze szczerego serca.

- Miejsca mamy numerowane - zauważył Grubin.

- Numerowane! - wykrzyknął chłopak z patosem w głosie. - Kto tam będzie patrzył na wasze bilety, kiedy każdy chce być jak najbliżej ekranu!

- Głupstwa gadasz - powiedział Udałow, a Grubin uwierzył dziecku, jednym haustem dopił piwo, przełknął resztę kanapki i odezwał się do Korneliusza:

- Pójdę pierwszy i zajmę ci miejsce.

Ale Korneliusz już siedł za nim.

Znaleźli przyzwoite miejsca w środku widowni, o wiele lepsze od tych, które im przysługiwały wedle biletów. Usiedli. Sala była prawie pełna, bo wiele dzieci pilnowało swoich dobrych miejsc, a niektórym po prostu brakowało środków płatniczych na lemoniadę.

- I wy wszyscy oglądacie ten film drugi raz z rzędu? - zapytał Grubin sąsiada.

- Wielu zostałoby nawet na trzeci seans - odparł sprytny chłopak.

- A gdyby ten film siedł przez cały dzień?

- Niektórzy by zostali, ale reszta uciekłaby z głodu.

- A czemu jesteś taki podrapany?

- Tresowałem kota. A wy czemuście się wybrali na ten film?

- Stęskniliśmy się za nim - odparł Grubin. - Zapragnęliśmy wspomnieć dzieciństwo.

- Też macie co wspominać - powiedział chłopak z pogardą. - Ja tam nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie skończę z tym dzieciństwem.

Do sali tymczasem wpadli z hallu chłopcy i dziewczęta i pędzili zajmować wolne miejsca. Ku zdumieniu Udałowa tuż przed nim w piątym rzędzie, na samym środku, był pusty fotel, którego nikt nawet nie usiłował zająć. „Może połamany?” - pomyślał Udałow i już chciał poradzić pewnemu dziecku, które stało w przejściu z cukierkiem w zębach, żeby tam usiadło, kiedy na sali zaczęło przygasać światło i jako ostatni bez pośpiechu wkroczył na widownię niewysoki, szczuplutki chłopczyk w okularach. Chłopczyk lizał lody, a wszyscy patrzyli na niego z szacunkiem i co więcej, cały rząd wstał ze swoich miejsc, żeby mógł bez przeszkód dotrzeć do wolnego fotela.

- To z pewnością prymus - powiedział Udałow, patrząc na dziwnego chłopczyka.

- Albo wielki chuligan - zauważył Grubin. - Judoka.

- Nic podobnego - oburzył się ich sprytny sąsiad. - To Tisza Zielonko, nie prymus i nie

chuligan, ale wielki człowiek.

Wielki człowiek opadł na swój fotel w środku piątego rzędu i machnął rączką, żeby siedzący przed nim rozsunęli trochę głowy i nie przeszkadzali mu oglądać filmu. Siedzący przed nim, o dziwo, rozsunęli się, chociaż tak siedzieć było im niewygodnie.

- A dlaczego on jest wielkim człowiekiem? - zapytał Grubin.

Chłopczyk Tisza usłyszał te słowa, obejrzał się i popatrzył na Grubina surowym wzrokiem.

Zgasło światło i zaczęła się kreskówka o wilku i zającu. Wszyscy oglądali ją bez szczególnego entuzjazmu, bo znali ten filmik na pamięć, a poza tym nie było w nim dramatycznych momentów. Później zaczął się właściwy film. Wszystko w nim było jak należy. Udałow i Grubin przypominali sobie wszystko, co pozornie wyleciało im z pamięci i dziwili się, że w ogóle podejrzewali się o zapomnienie takich znanych kadrów. Sala reagowała na film zupełnie prawidłowo - z entuzjazmem i zachwytem, a kiedy trzeba z oburzeniem - akcja zaś tymczasem zbliżała się do swego tragicznego końca.

Oto już czapajewcy zaczęli się wycofywać, a na żadną pomoc nie można liczyć. Oto już widać urwisty brzeg rzeki Ural a nasi są coraz bliżej owego urwiska. Na sali zapadła niemal martwa cisza, wszyscy wstrzymali oddech. „Ech, gdyby... gdyby tak..” - pomyślał Korneliusz Udałow, kiedy Czapajew płynął już przez rzekę. Ural i pociski rozpryskiwały wodę coraz bliżej niego... Ileż to razy oglądał ten film i ileż razy miał nadzieję, że tym razem Czapajew mimo wszystko pokona przeszkodę wodną, a inni zdołają go uratować, przyjść na pomoc...

Ale oto głowa Czapajewa już skryła się pod wodą i Udałow mimo woli zmrużył oczy, żeby ponownie nie przeżywać takiego przykrego widoku. A w dodatku na widowni zerwały się dziecięce krzyki i tupanie nogami. „Trzymaj się!” - wołały dzieci. - „Jeszcze trochę” - a inne głosy pomagały im innymi okrzykami: „Tisza, bierz się do roboty! Tisza, ratuj Czapaję!”

- Oho! - powiedział Grubin, a w jego głosie brzmiało takie zdumienie, że Udałow otworzył zmrużone oczy i ujrzał coś nieprawdopodobnego: Czapajew wynurzył się na powierzchnię i chociaż był ranny, płynął z najwyższym trudem, było oczywiste, że tym razem zdoła dotrzeć do brzegu. Już do wody wbiegali mu naprzeciw towarzysze. Nie wiedzieć czemu znalazł się wśród nich wierny Pietia, Anka i nawet komisarz, który już zupełnie nie wiadomo skąd się tam wziął. Dzieci zaczęły bić brawo i z sali nie wyszedł nikt, nawet pełna dzieciarnia, dopóki ze swego miejsca nie podniósł się Tisza Zielonko, zmęczony, lecz zadowolony z siebie. A kiedy przechodził obok, sprytny sąsiad Udałowa odezwał się do niego:

- Dzisiaj wyszło ci lepiej niż wczoraj.

- Wczoraj nie było Anki od karabinu maszynowego - odparł Tisza i błysnął okularami.

- Posłuchaj, chłopcze! - ocknął się wreszcie Grubin, kiedy Tisza Zielonko opuszczał już salę w otoczeniu tłumu rozentuzjasmowanych rówieśników. - Posłuchaj! - chwycił za rękaw sąsiada.

- Jak to? To on zrobił?

- A niby kto? On to przecież robi nie pierwszy raz. Dopóki Tisza z nami nie chodził, Czapajew zawsze tonął. A teraz film dobrze się kończy, i to za każdym razem inaczej.

- Ale jak on to robi? - zapytał Grubin. - Hipnoza czy co?

- I po co dorośli chodzą na poranne seanse? - odpowiedział pytaniem sprytny chłopiec. - W ten sposób wszystko zepsujecie. Jeśli jego matka się dowie, wybuchnie wielka awantura! Tisza Zielonko jest okropnie wykształcony. Wie wszystko o wojnie - i domowej, i o ostatniej. Ma całą kupę książek o wojnie i przez to w zeszłym roku o mało nie powtarzał piątej klasy. Dlatego rodzice zabronili mu chodzić na filmy wojenne. „Jeśli - powiadają - film jest o faunie, o budownictwie, proszę bardzo, możesz się rozerwać. O wojnie - ani nam się ważyć”. A Tisza bardzo to przeżywa, bo koniecznie chce zostać wojennym historykiem. Nie zważając na żadne zakazy.

Tak rozmawiając wyszli na ulicę i znaleźli się w letnim, wakacyjnym słońcu.

- Jak to się stało, że ten chłopiec zdołał przerobić koniec filmu? - zapytał Grubin.

- A może teraz dla dzieci dorobili szczęśliwe zakończenie? - zapytał Udałow. - Specjalnie na poranki? Żeby nie kaleczyć dziecięcej psychiki?

- Głupstwa gadacie - odparł nieuprzejmie chłopiec. - Wczoraj rodzice zamknęli Tiszę Zielonko w domu, nie udało się nam go wykraść, no i Czapajew utonął jak głupi. Nie, to wszystko robota Tiszki. On tak za wszystkich sobie wyobraża, że Czapajew nie utonął, że Czapajew nie tonie. Jasne?

- Jasne - powiedział Grubin w zadumie, gdyż miał bardzo silnie rozwiniętą wyobraźnię.

- Niejasne - warknął z irytacją Udałow, który wprawdzie również miał bardzo silnie rozwiniętą wyobraźnię, ale jednocześnie oburzała go władza, jaką jakiś tam smarkacz miał nad klasycznym dziełem sztuki filmowej. - A może...

I w tym momencie wątpliwości zżerające Udałowa przybrały inną formę. Korneliusz pomyślał mianowicie, że wszystko może być o wiele prostsze, niż im się wydaje. Może niepotrzebnie dają się wrabiać, wierzyć w żarty chłopaka. Może Czapajew wcale nie zginął, tylko na filmie tak to wszystko przedstawili, żeby było dramatyczniej?

- Udałow - Grubin przerwał rozmyślania przyjaciela. - Musimy koniecznie porozmawiać z chłopczykiem Tisza. Przecież to jest zjawisko psychologiczne o pierwszorzędym znaczeniu... Nauka nie może go zignorować.

- Ach tak - ocknął się Udałow. - Naturalnie. Tylko że ja w to nie bardzo wierzę, bo to chyba jakaś sztuczka.

- Ale Tichon nie zechce z wami rozmawiać - powiedział sprytny chłopiec. - On się boi swojej mamusi. A nuż dowie się, czym to on się w kinie zajmuje. Przecież obiecał rodzicom iść do lasu na jagody.

- Nie zdradzimy go. Słowo - powiedział Grubin. - Ale twój Tisza powinien liczyć się z interesami nauki.

- Spróbuję - powiedział chłopiec i pobiegł po Tiszę.

Za jakieś dwie minuty przyprowadził go. Tisza był chmurny i odzywał się niechętnie. Najwyraźniej nie wierzył w naukę, za to lękał się rodzicielskiego gniewu.

- Chłopczyku - powiedział Udałow czule. - Coś ty w kinie narobił?

- Niczego nie narobiłem - odparł Tisza. - Oglądałem jak wszyscy.

- A jak się film kończy?

- Kończy się tak, że Czapajew przepłynął rzekę.

- Aha. A co się potem z nim stało?

- Potem zginął podczas szturmu na Pierekop. Wtedy już dowodził korpusem.

- Co za kłamczuch - powiedział Udałow półgłosem. - Nie warto nawet z nim gadać.

- Poczekaj - powiedział Grubin. - W ten sposób nic z tego nie wyjdzie. Daję ci słowo jak badacz badaczowi. Ani słowa rodzicom, ani słowa w szkole. Ale masz takie zdolności, które mogą zainteresować naukę. Mam pewną książkę. Nazywa się „Żywoty rosyjskich feldmarszałków” i jest wydana ponad sto lat temu. Zawiera życiorysy, których nigdzie poza nią nie znajdziesz. Chcesz ją dostać za darmo?

- Chcę - odpowiedział Tisza.

- Wobec tego musisz okazać dobrą wolę.

Udałow westchnął, gdyż był przeciwny całej tej mistyce.

- Proszę pytać - powiedział Tisza Zielonko zupełnie jak dorosły. - Tylko gdzie mam gwarancję, że ja tę książkę dostanę?

- Masz na to moje słowo - odparł po prostu Grubin i chłopiec mu uwierzył. - Powiedz, jak ci udaje się wywierać wpływ na akcję filmu? Działasz za pomocą hipnozy?

- Nie, co pan! - powiedział chłopczyk. - Ja po prostu bardzo chcę, żeby Czapajew nie utonął. Tak mocno chcę, że aż strach. Cała dzieciarnia też chce i dlatego Czapajew nie tonie.

- Ale za każdym razem robisz inne zakończenie?

- Trochę inne. Dzisiaj przypomniałem sobie Ankę i chciałem, żeby ona też brała udział. A poprzednim razem Czapajewa wyciągnął z wody komisarz.

- A przedwczoraj Pietia za nim nurkował - powiedział sprytny chłopak.

- No tak - zamyślił się Grubin. - Skoro jesteś takim fenomenem, to trzeba cię wypróbować. Jaki film teraz będzie?

- Kryminał - podpowiedział mu rozmówca. - O takim jednym filateliście...

- Znakomicie - ucieszył się Grubin. - Zaraz wszystko sprawdzimy. Seans się jeszcze nie zaczął?

- Zaraz się zacznie.

- Udałow! Leć po bilety! Dla wszystkich.

- Kupić cztery?

- Kupuj cztery.

- A na mnie czekają w domu - powiedział Tisza, który bardzo chciał pójść na kryminal.

- Powiem twojej mamie, że byłeś ze mną - obiecał Grubin.

I w ten sposób cała czwórka znalazła się ponownie w kinie. Tym razem na widowni siedzieli również dorośli, nikt nie hałasował, bo wszyscy w skupieniu przyzywali emocjonującą akcję.

- Wiesz, jak to się skończy? - zapytał Grubin szeptem sprytnego chłopca.

- Wiem. Tego długiego będą gonić po dachach, a on spadnie prosto w beton. Już trzy razy oglądałem, bo ja wszystkie nowe filmy oglądam...

- Znakomicie - powiedział Grubin. - Posłuchaj, Tisza. Możesz zachcieć, żeby on nie ginął w betonie?

- Po co? - zdziwił się Tisza. - Dobrze mu tak.

- Nie, to jednak żywy człowiek, można go jeszcze wychować i sprawić, że rozpocznie nowe życie. Uratujmy go, co? Jeśli uratujesz, książka będzie twoja.

- A co pan obiecał?

- Mówiłem, że ci ją dam, jeżeli pomożesz nauce.

Grubin nie był skąpy, książkę i tak by chłopczykowi podarował, ale czuł, że Tiszy potrzebna jest silna zachęta. Jeśli ten chłopiec mógł przebudować widzialny świat siłą swojej niedziecięcej woli, to powinien chcieć to zrobić.

Tisza westchnął i skupił się. Połyskiwał okularami i gapił się w ekran. Udał w te wszystkie sztuczki nie wierzył i w ogóle zaczął już powątpiewać, czy Czapajew w ogóle utonął.

Rozpoczął się najdramatyczniejszy epizod filmu. „Długi” biegał po dachach, a za nim biegli milicjanci.

- No! - niemal krzyknął Grubin, kiedy bohater filmu zachwiał się, przygotowując się do malowniczej śmierci na oczach całej widowni.

Tisza sprężył się i pochylił do przodu.

„Długi” balansował na krawędzi dachu...

Pobalansował chwilę i jak należy zwałił się wprost do wykopu wypełnionego płynnym betonem.

„Może się jeszcze wynurzy” - pomyślał Grubin, ale nastąpiła zmiana kadru i rozpoczął się zupełnie inny epizod.

Z kina wyszli w milczeniu. Tisza czuł się winny i o książce nawet nie wspominał. Udał z ulgą wdychał świeże powietrze, bo rozrywki kulturalne bardzo go już zmęczyły. Grubin martwił się fiaskiem eksperymentu, ale pocieszał się, że wynik ujemny jest również wynikiem.

- No cóż, do widzenia - powiedział Tisza. - Dziękuję za kino.

- Poczekaj - powiedział Grubin. - Wstąpimy do mnie po książkę.

- Przecież nie spełniłem oczekiwań powiedział chłopczyk zupełnie jak dorosły.

- Słowa należy dotrzymać - rzekł Grubin. - A poza tym wzięłeś jednak udział w doświadczeniu i teraz przynajmniej wiemy, że nie masz nic wspólnego z tym czapajewowskim zjawiskiem.

- Nie mam - powiedział chłopczyk.

- I może w ogóle to całe zjawisko było tylko pozorne.

- Naturalnie - zgodził się chłopczyk.

Grubin wziął zmartwione dziecko za rękę i tak ruszyli w stronę domu, gdzie Grubin wyniósł z pokoju wartościową książkę i pożegnał się z Tiszą Zielonko, który pospieszył do swojego rodzinnego domu, aby ponieść zasłużoną karę za tak długą nieobecność.

- No i co to było? - zapytał Udałow, żegnając się z Grubinem.

- Zmiana percepcji pod wpływem oddziaływania masowego - odparł Grubin, ale te słowa nie znaczyły i niczego nie wyjaśniały.

Następnego dnia była niedziela. Udałow wstał późno, w domino grać mu się nie chciało, a iść do kogoś w gości było jeszcze za wcześnie, zszedł więc do Grubina. Grubina nie było w domu. Wyszedł gdzieś z samego rana. Udałow poszedł na samotny spacer i nawet nie zauważył, kiedy znów znalazł się pod kinem. Dochodziła chyba jedenasta. Seans o dziewiątej jeszcze się nie skończył, do następnego było daleko. I w pewnej chwili Udałow pojął, że tam, na sali, film właśnie dobiega końca. Nic go to niby nie obchodziło, ale pragnienie ujżenia raz jeszcze zakończenia i sprawdzenia, co się właściwie stało ze słynnym dowódcą - utonął w końcu czy wypłynął - opanowało go z niezwykłą siłą. Podszedł do okienka i namówił kasjerkę do sprzedania biletu na seans, który zaczął się ponad godzinę temu. Kasjerka bardzo się dziwiła, nie chciała sprzedać biletu, ale Udałow wytłumaczył jej, że na sali siedzi jego syn, którego trzeba wyciągnąć z kina, bo przyjechała babcia ze wsi.

Udałow wszedł na salę i stanął z tyłu pod ścianą. Film zbliżał się do końca. Już biali napadli na sztab dywizji, a jego obrońcy ostrzeliwali się ostatnimi nabojami. Już rzeka jest tuż tuż. Na widowni zaczynają się dziać nieopisane rzeczy. Dzieciarnia przeżywa, a sławny wódz płynie przez rzekę Ural i pociski rozpryskują wodę tuż przy nim... I Czapajew utonął, chociaż dzieciarnia krzyczała i przeżywała. Utonął, nikt nie mógł go uratować...

Zapaliło się światło. Udałow razem ze wszystkimi ruszył ku wyjściu. Nie ku wyjściu na ulicę, lecz w stronę bufetu, gdzie postać w kolejce po ciastka, wypił szklanekę lemoniady i zrozumiał, że trzeba iść do domu. Sztuczka się nie udała. Widocznie coś ma z nerwami, a w dodatku żal mu Czapajewa.

Ale do domu nie poszedł. Sam sobie nie potrafiłby tego wytłumaczyć, dlatego wrócił na salę, usiadł w przedostatnim rzędzie, żeby nikt go nie zauważył i spojrzął do przodu. Miejsce w piątym rzędzie było puste. Chłopczyk Tisza był dziś nieobecny.

I nagle Udałow usłyszał cichy głos:

- Korneliuszu, co tu robisz?

Dziwna rzecz! W ostatnim rzędzie siedział za kolumną Grubin.

- Dawno tu jesteś?

- Przesiedziałem cały pierwszy seans. A ty?

- Widziałem tylko koniec.

- A Tiszki nie było?

- Nie, nie było go.

I w tym momencie w drzwiach ukazał się Tiszka otoczony grupką chłopców. Szedł szybko, głowę miał pochyloną, pod pachą trzymał książkę o feldmarszałkach, a na wyrzuty przyjaciół odpowiadał:

- Nic mi się nie uda. Wczoraj mnie naukowo sprawdzili. Nie mam takich zdolności.

- Tiszka, pomożemy ci - mówili przyjaciele. - Nie pękaj.

Tiszka odwrócił się ku sali i zaczął kogoś wypatrywać. Udałow przestraszył się, że wypatruje właśnie jego, dał nura pod fotel i zobaczył tuż obok rozwichrzoną czuprynę Saszy Grubina. Okazuje się, że on również nie chciał, aby go rozpoznano. Przesiedzieli w ten sposób aż do chwili, kiedy zapalił się srebrny ekran.

- Jak sądzisz, uda mu się? - zapytał Udałow Grubina, gdy Czapajew na ekranie opowiadał o taktyce za pomocą ziemniaków.

- Nie sądzę - odparł Grubin. - Nie zawsze można włożyć łapami w duszę i poddawać ją badaniom. Chyba coś ostatecznie zepsuliśmy.

- To znaczy wierzysz, że coś było?

- Wierzę.

Dalej już siedzieli w milczeniu, a kiedy nadeszły ostatnie chwile życia, cała dzieciarnia na sali rozkrzyczała się: „Trzymaj się, Wasiliju Iwanowiczu!” „Już niewiele zostało!” A inne dzieci wołały: „Tiszka, do roboty!” I wśród tej wrzawy rozległ się cieniutki, smutny głos: „Chłopaki, nie mogę!”

Tymczasem głowa dowódcy już skryła się pod wodą, już wrogowie wzięli górę nad bohaterem, na sali podniósł się ryk, Tisza aż uniósł się z fotela. A Grubin i Udałow, którzy nieświadomie wraz z innymi wołali do Tiszki, żeby się postarał, zauważyli, jak chłopczyk uniósł pięści do walki z brutalną prawdą arcydzieła sztuki filmowej i wówczas głowa Czapajewa znów ukazała się na powierzchni, a z brzegu rzucili mu się na pomoc przyjaciele i towarzysze broni. Wyciągnęli go na brzeg i uratowali.

Udałow i Grubin poczekali, aż wszyscy opuszczą widownię. Udałow chciał podejść do Tiszki i skarcić go za to, że wczoraj mu się nie chciało, a dzisiaj się chciało, ale Grubin złapał go za rękaw i powiedział:

- Daj spokój. To jest o wiele bardziej skomplikowane niż zwyczajny eksperyment.

Rozumiesz?...

Mutant

Zawsze budzę się dość późno, a właściwie budzi mnie szuranie nóg w korytarzu i ten dźwięk, znamionujący początek dnia pracy, powinien wywoływać we mnie poczucie winy. Ale nie wywołuje. Nie podrywam się, aby dołączyć do reszty lokatorów. Wolę zmitrzyć jeszcze parę minut na zaplanowanie nadchodzącego dnia.

Bibliotekę otwierają o jedenastej. Lena będzie w szkole do pierwszej. Można zatem wybrać się do kina, wpaść do Staruszka albo zwyczajnie przespacerować się po mieście.

Kroki na korytarzu ucichły.

Teraz trzeba przemknąć ukradkiem obok strażnika przy wyjściu. Im mniej się zwraca na siebie uwagi, tym lepiej. Jeśli demonstracyjnie będę ignorował swoje obowiązki wobec społeczności, społeczność może mnie odrzucić... Ale czy aż tak bardzo mi na niej zależy? Warto się nad tym zastanowić.

Kino jest blisko, tuż za rogiem. Dziś na poranku idzie stara komedia filmowa. Poczucie humoru jest chyba najbardziej tajemniczym z uczuć. Jestem głęboko przekonany, że istnieje całe mnóstwo ludzi, którzy go nie posiadają. Niewielka to wprawdzie pociecha, ale może jakoś obejść się bez poczucia humoru. Wystarczy, że zdaję sobie sprawę z jego istnienia.

Sala była prawie pusta. Lato. Dzieci, które miały się zaśmiewać z komedii, rozjechały się na wakacje. Zdążyłem akurat na koniec kroniki. Właśnie po to warto tu przychodzić, po wprawdzie nie najświeższe, ale jednak jakieś informacje. W kronice pokazywali wyścigi samochodowe w Stanach Zjednoczonych i powódź w Australii, gdzie gigantyczne fale - pożerały auta i domy. Ciekawe, jak tam jest w tej Australii? Czy odczuwają tam brak mojej osoby? Można wślizgnąć się do samolotu lecącego do Australii, ale czy znajdę tam podobnych do siebie? Najgorszą karą dla istoty myślącej jest samotność w otoczeniu stworzeń podobnych, lecz odmiennych.

Już po pierwszych kadrach filmu przypomniałem sobie, że już widziałem tę komedię. Włoski policjant będzie się w niej uganiał za włoskimi przemytnikami tylko po to, żeby dowieść całej ludzkości, iż szlachetna dusza może kryć się pod każdą powłoką - myśl nie wymagająca aż tak dokładnego międlenia.

Tak, wcale nie wymagająca, a najlepszym dowodem na to jest mój Staruszek.

Staruszek handluje gazetami. Ma tranzystor, którego nigdy nie wyłącza, i dlatego zawsze u niego można posłuchać ostatnich wiadomości. Staruszek to dobra dusza ukryta pod brzydką powłoką.

Pospieszyłem do niego, gdyż obawiałem się, że zamknie kiosk przed czasem. Zdarza mu się to, zwłaszcza wtedy, gdy szczególnie mocno dokuczają mu korzonki. A ja bez niego tracę cały dzień. Ileż to mi ich jeszcze zostało? Sto? Tysiąc?...

Kiosk jest otwarty. Już z dala widzę profil Staruszka. Do tej pory nie umiem sformułować

obiektywnych kanonów piękna. Czy, na przykład, mój Staruszek jest piękny? Czy prawdziwe piękno kryje się w zarysie nosa, czy też w uroku duchowym?

Wszedłem do kiosku. Staruszek rozmawiał z klientem, więc wdrapałem się na moje miejsce obok tranzystora.

Staruszek wyciągnął rękę, żeby włączyć odbiornik, i zauważył mnie.

- Mróweczka! - powiedział z uśmiechem. - Dzień dobry. Czemu to wczoraj cię nie było?

Niestety jestem pozbawiony możliwości udzielania odpowiedzi Staruszkowi, gdyż nie posiadam narządu mowy. Natura, tworząc mnie, nie liczyła na aż tak radykalne mutacje. Teraz liczę jedynie na łączność telepatyczną. Jej zaczątki dają się zaobserwować wśród mieszkańców mrowiska, jednak nie zdołałem jeszcze odnaleźć drogi do ludzkiego mózgu (Lena się nie liczy, bo to dziecko). A przecież właśnie to mogłoby za jednym zamachem rozwiązać wszystkie moje problemy. Na razie Staruszek, uznając moją rozumność, mimo wszystko nie potrafi ocenić skali eksperymentu, jaki ewolucja przeprowadziła z jedynym (na razie?) przedstawicielem świata owadziego, z osobnikiem, którego sama budowa i funkcjonowanie absolutnie wyklucza rozwój intelektu. Ale, jak to się mówi, jestem faktem naukowym i nic na to nie można poradzić.

Dobrze jeszcze, że Staruszek ma wyjątkowo dobry wzrok. Dlatego dorobiliśmy się jednego wspólnego słowa - „tak”. „Tak” jest wtedy, gdy unoszę się na tylne nogi. Choćby i teraz:

- Poczytać ci gazetę?

- Tak! Tak! Tak!

Stoję na tylnych nóżkach i poruszam wąsikami. Nic dziwnego! Stęskniłem się za gazetą. Od dwóch dni jej nie widziałem.

- Zaraz - mówi Staruszek.

Jestem jego najulubieńszą zabawką i największym sekretem. Ale ja upieram się nocować w domu, w malutkim mrowisku ukrytym w fundamencie starej szopy. Tutaj zostaną zjedzony przez pierwszego napotkanego pająka.

Gdybym nie był sceptykiem, przekonany o płonności ziemskiej doczesnej sławy, bez najmniejszego trudu podporządkowałbym sobie całe mrowisko i może nawet zjednoczył wszystkie sąsiednie. Ale po co? Czy król mrówek jest mądrzejszy od samotnej formica sapiens? Czy mój mały ludek stanie się przez to bardziej szczęśliwy? Chyba nie. Dobra, wrócę jeszcze kiedyś do tego problemu. A teraz do czytania!

Staruszek ustawił gazetę na specjalnej podstawce o metr ode mnie, żebym nie musiał pełzać wzdłuż wierszy, jak kiedyś, na początku naszej znajomości. Przecież właśnie na takim zajęciu nakrył mnie Staruszek rok temu i, jak sam przyznaje, gotów już był bezlitośnie zrzucić mnie - na podłogę, ale zastanowiła go konsekwencja, z jaką czarna mrówka po dobiegnięciu do krawędzi szpalty pędziła z powrotem, aby przebiec wzdłuż następnego wiersza.

Aha. Staruszek zakreślił czerwonym ołówkiem notatkę w prawym dolnym rogu kolumny.

Jakąż to wiadomość uznał za godną mrówczej uwagi?

„Lima. Korespondencja własna. Naukowiec peruwiański Juan Suares, który odbył awanturyczną wyprawę do zagubionych w dżungli źródeł rzeki Caranha, odkrył tam kolonię ogromnych mrówek budujących drogi o szerokości, dochodzącej do jednej stopy i długości wielu kilometrów. Czerwone mrówki, nazwane przez naukowca »formica gigantea«, osiągają wielkość dwunastu centymetrów”.

- No i jak ci się to podoba? - zapytał Staruszek. - To będą chyba twoi bracia w rozumie!

Cieszył się, gdyż uważał, że sprawił mi przyjemność.

Nie powiedziałem „tak”. Kolejna kaczka dziennikarska, kolejna przesada. Ludzkość, nie wiedzieć czemu, przejawia skłonność do gigantomanii. Gdyby takie drogi zbudowały małe mróweczki, nikt nie usiłowałby nawet zwracać tym głowy całemu światu. Wszystko wskazuje na to, że Peruwiańczyk widział wędrownych rozbójników, prymitywnych drapieżców, nisko zorganizowanych i zacofanych, nawet w porównaniu z moimi braćmi. Ale gigantycznych! Strasznych! Z pewnością już w jakichś ostatnich gazetach roi się od rozważań na temat zespołowego, wrogiego intelektu ogromnych mrówek z Peru. A niby dlaczego nie? Jesteśmy przecież uosobieniem czystego rozumu, wypranego z emocji i bezlitosnego. Ileż powieściodeł napisano już na ten temat! Ach, jak chętnie bym teraz to wszystko wygarnął mojemu Staruszkowi!...

- Co z tobą? Nie zrozumiałeś? - Staruszek był rozczarowany, że nie przestrzegam reguł gry. Że nie zachwycam się razem z nim faktem, iż w jakimś tam Peru jeden z gatunków formica pod wpływem sprzyjających warunków klimatycznych osiągnął niezwykle rozmiary.

- No, jak uważasz - Staruszek odwrócił się do klienta. Był to stały klient, którego od dawna widywałem przy kiosku.

- Co nowego? - zapytał klient. To chyba emeryt, sądząc z białych włosów i głębokości zmarszczek na twarzy. - Czytał pan dziś o mrówkach?

Masz ci los! Czyżby dwaj cywilizowani mężczyźni nie mogli znaleźć sobie innego tematu do rozmowy? Nad światem zawisła groźba wojny atomowej, która może wywołać nowe pozytywne mutacje u mrówek, ale w żadnym wypadku nie u ludzi, na Ziemi coraz mniej jest czystego powietrza i czystej wody, ale ich, jak na złość, interesuje nie przestępczość wśród dzieci, nie kryzys paliwowy, tylko mrówki w Peru, które nigdy nikomu nie zagrażały, żyły sobie spokojnie w dżungli i budowały bezużyteczne dla ludzi drogi.

- Czytałem - powiedział mój Staruszek z uśmiechem w głosie. Wiedział przecież, że jestem obecny przy tej rozmowie. - A co pan na to?

- Obawiam się, że dziś nie zasną - powiedział klient. - W ogóle nie znoszę owadów, a pająków i karaluchów najbardziej. Co się stanie, jak je do nas zawleką? Wtedy nawet dziecka nie będzie można wypuścić na ulicę!

- A może one są rozumne? - zaproponował Staruszek, dla trzeciego uczestnika rozmowy.

- Tym gorzej - uciał klient. - Wtedy to już naprawdę nie da się żyć. Dotąd była epoka ludzka, a teraz będzie mrówcza. Wspomni pan moje słowo. Krew z nas będą pić.

Czasami nie potrafię stłumić rozdrażnienia, jakie wywołuje we mnie rodzaj ludzki. Dlaczego ewolucja dała pierwszeństwo właśnie tym niestabilnym, leniwym, podejrzliwym osobnikom? Co innego mrówki, które nie wyobrażają sobie istnienia bez pracy... Zresztą jestem niesprawiedliwy. Wszystkie moje argumenty rozbijają się o jedno: jestem bratem ludzi, a nie bratem mrówczego plemienia, chociaż świadomość tego przyprawia mnie o wielki smutek. Bo przecież nie zdoławszy wejść do ich plemienia, już stałem się wyrzutkiem w swoim.

- Jeśli są rozumne, to nie ma co się ich bać - powiedział mój Staruszek. - Rozumne istoty zawsze się nawzajem rozumieją...

Tak, jestem niesprawiedliwy dla ludzi. Kto na świecie jest mi najbliższy? Ten starzec i dziewczynka z domu naprzeciwko. Więcej nie mam nikogo.

- A pan ciągle tylko żartuje - powiedział klient. - Nawet ludzie nie potrafią się ze sobą dogadać... Zabij! Za panem! Tam, na półce, zaraz ugryzie!

Tak się zaśluchałem, że nie zorientowałem się, iż mój Staruszek jest namawiany do morderstwa, które wśród ludzi nie jest uważane nawet za zabójstwo. A Staruszek pod naporem tego krzyku uniósł dłoń, która zawisała w powietrzu nade mną.

- Nie - powiedział. - Nastraszył mnie pan, a to przecież tylko mróweczka.

- Boi się pan? - podniecał się odważny klient. - Pan pozwoli, sam dosięgnę.

I zaczął wciskać się przez okienko, a ja na wszelki wypadek odbiegłem do kącika.

- Nie pchaj się - warknął - nagle mój Staruszek. - Mrówka mrówce nierówna. To jakby mój przyjaciel...

A mnie nagle nawiedziła smutna myśl: gdyby mnie nie znał, może by mnie trzepnął? A może nie? Oto jeszcze jeden powód do smętnej zadumy. Pójdę sobie. Pójdę dalej.

Zbiegłem po ścianie na dół i już stamtąd słuchałem, jak denerwuje się mój Staruszek - No i gdzieś ty się podział? Nie zrzuciłem cię aby przypadkiem? Może przestraszyłeś się? Daj spokój, nie zwracaj uwagi, człowiek nie ma nic do roboty, to i wymyśla rozmaite głupoty.

Ale nie wróciłem.

Podróż przez jezdnię zabrała mi wiele czasu. Z punktu odległego od nawierzchni o dwa milimetry niełatwo jest dojrzeć nadjeżdżający samochód. Trzeba biec szczelinami i wybojami, kryć się w nierównościach asfaltu.

Ryzykuję co dzień, co godzinę, w trójnasób bardziej niż moi pobratymcy, nie odchodzący daleko od przytulnego mrowiska... Co? Zapragnąłem wrócić? W żadnym wypadku. Nie znam celu mojego życia, ale z pewnością nie jest nim bezpieczna wegetacja w ciemności podziemnych chodników.

Nareszcie jezdnia została za mną i znalazłem się w znajomej bramie.

Teraz czeka mnie długa, wyczerpująca wspinaczka na drugie piętro. Dlaczego nie latam? Za jakie grzechy muszę ze smutkiem i zazdrością patrzeć na muchy i komary, te odrzuty ewolucji. A propos, dlaczego ja wciąż zadaję pytania? Zdaje się, że takie pytania noszą nazwę retorycznych - nie wymagających odpowiedzi.

Oto i znajoma dolna listwa drzwi, pod którą wielokrotnie przechodziłem. W domu nikogo nie ma, jeśli nie liczyć matki krzątającej się w kuchni - jej gigantyczna sylwetka majaczy na tle otwartych drzwi. Idę na prawo, do pokoju Leny. Lena jeszcze jest w szkole, ale wkrótce wróci. Lena jest jedynym człowiekiem na świecie, do którego mózgu udało mi się odnaleźć drogę. Zdarzało się już nieraz, że odpowiadała mi na pytania, których nie mogę wypowiedzieć na głos.

No cóż, poczekam na nią na biureczku, wspaniałym miejscu naszych czułych spotkań.

Prześladowała mnie myśl o gigantycznych mrówkach z Peru. Przy całym idiotyzmie tej informacji mieściła się ona w pewnym schemacie logicznym, który zbudowałem już dość dawno temu. Proszę sobie wyobrazić, że jesteście mrówką. Nie taką samotną, jak ja, lecz członkiem licznej mrówczej wspólnoty, rozumnym nie intelektem zbiorowym, lecz indywidualnym. Czy zachowamy wówczas nasze mikroskopijne wymiary, czy też podejmiemy próby selekcji, aby każde następne pokolenie było większe od poprzedniego? Raczej postąpimy właśnie tak. Dopiero po osiągnięciu odpowiednich rozmiarów, zbliżeniu się do złotego środka skali człowieka, zdołamy połączyć z nim wysiłki na drodze wspólnego postępu. Dopiero wtedy człowiek potrafi uznać nas za równych sobie... Naturalnie nie odbędzie się to gładko i bezboleśnie, naturalnie wiele ludzi podobnych do tego klienta podniesie wrzask, widząc w nas odwiecznych wrogów ludzkości... Mam jednak nadzieję, że nie oni będą decydować. To będzie nowy, mrówczoludzki świat...

Tym razem roztargnienie omal mnie nie zgubiło.

Wielka ruda mrówka czekała na mnie na blacie biurka wśród porzucanych zeszytów, haftów i innych dziecięcych drobiazgów.

Coś za wiele mrówek naległo się tego lata w naszym miasteczku. Bandytów z tego mrowiska już kilka razy napotykałem w domu Leneczki, ale poprzednio zawsze udawało się unikać bliższego kontaktu z nimi. I teraz wpadłem...

Bandyta rozdziawił zuchwy i uniósł się groźnie na długich nogach. Zamierzał szybko rozprawić się z przybyszem, który ośmielił się zapuścić na tereny łowieckie jego plemienia. Nie spieszył się jednak, gdyż w swoim prymitywnym mózdzku wydedukował, że mu nie umknę. Biega przecież szybciej ode mnie i jest trzy razy większy. Cóż, muszę coś wymyślić. Rozumiecie, wymyślić! Właśnie na tym polega różnica między mną a silnymi wrogami. Tylko dlatego do tej pory żyję i zamierzam żyć dalej.

Zacząłem wolno wycofywać się w kierunku krawędzi biurka.

To znaczy już zachowywałem się niezgodnie z regułami. Powinienem, nie wierząc własnym oczom, podejść do niego, dotknąć go wąsikami, obwąchać, przekonać się, że mam przed sobą obcego, a następnie, po krótkiej i beznadziejnej walce, upaść łapkami do góry i pozwolić zanieść swoje truchelko do obcego mrowiska na pokarm rudym dzieciom.

Po króciutkim wahaniu rudy ruszył w moją stronę. Wyglądał przy mnie jak koń przy człowieku. Nie miałem najmniejszych szans ucieczki. Szans na przechytrzenie go - całe mnóstwo. Poczulem z radością, że wcale się go nie boję!

Pędziłem w dół po nóżce biurka, a potem po podłodze w kierunku ściany. Jak pisze się w takich wypadkach w ludzkiej literaturze, „czułem już na karku oddech wroga”. Dzieli nas pół metra, trzydzieści centymetrów, biegniemy po podłodze, wdrapujemy się po ścianie i wtedy, w samym kącie pokoju, odwracam się i pędzę w dół, niwecząc w ten sposób całą moją przewagę. Teraz dzieli nas najwyżej dziesięć centymetrów... Jeszcze jeden wysiłek i...

Odpycham się wszystkimi sześcioma nogami od ściany i lecę po łuku do przodu. To też jest niezgodne z regułami. Mrówki z własnej woli nigdy takich skoków nie wykonują. Mój prześladowca nadal biegnie w dół, a o to mi właśnie chodzi. Tam rozciągnięta jest niewielka, ale mocna sieć mojego starego wroga, pająka. Do tej właśnie sieci zgrabnie wpada mój prześladowca. Przystaję na parę sekund i przyglądam się, jak do szamoczącego się w siatce rudzielca spieszy pająk. Wcale mi go nie żal. Jestem wszak człowiekiem z gatunku formica sapiens i mam prawo bronić się, jeśli na mnie napadają drapieżniki.

Nareszcie wraca Lena. Biegnie do biurka, żeby zobaczyć, czy przyszedłem. Przyszedłem, Lenoczko, zaraz tam będę. Biegnę do góry.

- Witaj!

- Witaj! - mówi Lenoczka. - Dlaczego cię wczoraj nie było?

Nie czeka na odpowiedź, bo pragnie jak najszybciej podzielić się ze mną najważniejszą nowiną.

- Wiesz, Bohaterze (cóż za idiotyczne imię mi wymyśliła), co dzisiaj napisali w gazecie?

Wiem, słyszałem, bo dzisiaj cała ludzkość tylko o tym gada.

- Tam napisali, że w Peru mieszkają bardzo ogromne mrówki, które umieją budować drogi. Wspaniale, co? Gdybym tylko mogła, to wzięłabym cię z sobą i poleciała do Peru...

Biedne dziecko, tyle jeszcze musi się nauczyć... Do Peru jest tak daleko...

- Jakoś dziwnie wyglądasz. Po prostu cię nie poznaję! Może to nie jesteś ty? Nie, nie, żartuję.

Nie mogła się pomylić, bo już dawno, z miesiąc temu, powiedziała do mnie: „Bardzo boję się pomylić ciebie z jakąś zwyczajną mrówką. Mogę ci kapnąć na plecy farbą olejną? Tylko troszeczkę! Po plamce będę cię rozpoznawać!”

Od tej pory chodzę z czerwonym znamieniem na grzbiecie, co wzbudza pewną nieufność

strażników przy wejściu do mrowiska.

- Wyobrażam sobie, jak ci jest nudno samemu - powiedziała Lena. - Może naprawdę powinieneś wybrać się do Peru? Jeśli tamte mrówki nie istnieją, zawsze będziesz mógł do mnie wrócić. Będę na ciebie czekała, jeśli nawet trzeba będzie czekać dziesięć lat.

- Lena! - dobiegł głos z kuchni. - Obiad na stole.

- Poczekaj, bohaterze, który nie boi się pająka - powiedziała Lena. - Szybciotko zjem obiad i weźmiemy się za odrabianie lekcji. - I pobiegła do kuchni.

Poznaliśmy się, że tak powiem, na gruncie gramatyki.

Wówczas jeszcze, poza Staruszkim, nie miałem znajomych ludzi, chociaż bardzo się do nich garnałem. Garnałem się do tego stopnia, że gdy trafiłem do mieszkania tej dziewczynki, postanowiłem zaryzykować. Lena akurat odrabiała ćwiczenie z rosyjskiego i popełniła podstawowy błąd, nie pamiętam już jaki.

W akcie rozpaczliwej odwagi wyszedłem na kartkę zeszytu i zacząłem obiegać błędną literę.

Dziewczynka nie patrząc strzepnęła mnie z kartki. Trudno powiedzieć, że sprawiło mi to przyjemność, gdyż o mało nie postradałem nogi, ale znów wgramoliłem się na zeszyt. Po trzeciej próbie dziewczynka popatrzyła na literę i zamyśliła się. Myślała na głos, a kiedy wpadła na właściwe rozwiązanie, natychmiast podbiegłem do zbędnego przecinka.

Wtedy domyśliła się, że nie jestem zwyczajną mrówką, tylko mrówką ze zdolnościami gramatycznymi. Tak właśnie mi powiedziała.

W ogóle nic tak Leny nie dziwi, jak moja uczoność. Pogodziła się z tym, że myślę, że potrafię podtrzymywać z nią prymitywną rozmowę. Ale moja uczoność! Gotowa jest postawić mi pomnik za to, że pomogłem jej poprawić trójkę na okres. Najwidoczniej jesteśmy skłonni cenić w innych nie to, co istotnie zasługuje na pochwałę, lecz to, czego nam samym brakuje. A w ogóle to Lena podejrzewa w głębi serca, że ja udaję. Że tak naprawdę jestem kimś w rodzaju księcia z bajki, który do czasu uważa za stosowne ukrywać się pod postacią mrówki. Nie, nie mówi tego na głos, współczuje nawet mojej samotności i chciałaby, żebym znalazł podobnych do siebie. Ale niektóre jej niedomówienia przekonują mnie o tym, że zamierza, gdy dorośnie, pocałować mnie lub ponieść dla mnie jakąś ofiarę, a wtedy w oka mgnieniu przeistoczę się w pięknego młodzieńca i wezmę ją za żonę. No cóż, nie mam nic przeciwko temu. Jeśli ewolucja zamierza dokonać jeszcze jednego nieoczekiwanego posunięcia i przekształcić mnie w człowieka, zgadzam się pojąć Lenę, jest ona bowiem jedyną istotą na Ziemi, dla której gotów jestem poświęcić życie. Odkryję tu jeszcze jedną tajemnicę: mógłbym uciec, nie gubiąc rudej mrówki, ale obawiałem się, że może ona ugryźć Lenę. I ta myśl równała się wyrokowi śmierci na bandytę. Właśnie ona, a nie moje rozważania na temat prawa formica sapiens do samoobrony.

- Stęskniłeś się za mną?

Nie, kochana, nie miałem czasu tęsknić, gdyż myślałem.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, ile nam dzisiaj zadali.

Bierzemy się za odrabianie lekcji.

Dziś odrabiam lekcje tak nieuważnie, że omal nie przegapiłem pierwiastka kwadratowego. Z głowy mi nie wychodzą te przeklęte peruwiańskie giganty. Obce, najprawdopodobniej bezmózgie stworzenia. A może jednak (zapomnijmy na moment, że to jest niemożliwe) nauczyły się myśleć? Może właśnie one są moją jedyną szansą? Wszak w moich rękach spoczywa teraz, być może, los nie tylko mrówczej, lecz także ludzkiej cywilizacji. Ludzkość nawet nie podejrzewa, jak bardzo jest samotna. Wiem o tym tylko ja jeden.

A Lena, jak zawsze, czyta moje myśli.

- Chcesz pojechać do Peru?

Nie, coś ty, mnie i tu jest dobrze.

- Nie kłam, chcesz. Ale obiecasz wrócić do mnie?

Co ja będę robił w Peru? Czas już najwyższy pogodzić się z tym, że nie ma na Ziemi podobnych do mnie, i czekać na cud - własną przemianę w pięknego młodzieńca - lub na śmierć w łapach wędrownego pająka. I tu nawiedza mnie dziwna myśl: czy do pomyślenia jest żywy (podkreślam - żywy!) intelekt bez uczucia, które czasem usuwa na bok rozsądek? Pojmuję, że teoria prawdopodobieństwa jest przeciwko mnie, ale podejmuję ryzyko, gdyż nie potrafię postąpić inaczej. Nie tyle dla siebie, ile dla tej dziewczynki.

- Pomogę ci. Pojedziemy na lotnisko, a tam wsadzę cię do samolotu, który odlatuje do Peru.

Naiwna. Do Peru pewnie samoloty nie latają...

- Jak tylko dostaniesz się na lotnisko, od razu wsadzimy cię do kieszeni jakiegoś peruwiańskiego dyplomanta...

Głupiutka! Nie peruwiańskiego, tylko peruwiańskiego i nie dyplomanta, tylko dyplomaty. Jak ty sobie beze mnie poradzisz? Znow na okres będzie trójka z rosyjskiego?

A tymczasem zaczynam skłaniać ją do wyjścia na ulicę, gdzie w kiosku naprzeciwko siedzi mój znajomy Staruszek. On będzie mógł dowieźć mnie na lotnisko...

Protest

Komitet Olimpijski zawsze oszczędzał na telegramach, a kiedy już decydował się na ten groszowy wydatek, łącznościowcy i tak wysyłali je na samym końcu. Najpierw przekazywali wiadomości o jakichś tam zagubionych pojemnikach, łączyli Franka z Olgą, ogłaszali na całą galaktykę, że niebawem odbędzie się koncert symfoniczny, i dopiero potem nadchodziła kolej telegramów Komitetu Olimpijskiego...

Poświęciłem sportowi całe życie. W młodości biłem rekordy, i to do mnie właśnie należy „dwa pięćdziesiąt cztery” w skoku wzwyż na Olimpiadzie w Pestalozzi. Teraz o tym wyniku pamiętają jedynie historycy sportu i tacy staruszkowie, jak ja. Drugą połowę życia poświęciłem na to, aby bez zakłóceń kręciły się kółka wielkiej sportowej maszyny. Ktoś to przecież musi robić. Ktoś musi rozstrzygać spory między sędziami i federacjami, łagodzić konflikty i w oczekiwaniu na rejs dławić się syntetyczną kawą w zapomnianych przez Boga portach kosmicznych całego wszechświata.

Kiedy skoczyłem dwa pięćdziesiąt cztery, oklaskiwały mnie miliony ludzi, i przez mgnienie oka byłem najślawniejszym człowiekiem na Ziemi, a właściwie w Układzie Słonecznym, a jeszcze dokładniej wszędzie, gdzie mieszkają humanoidzi. Dziś, moim zdaniem, robię znacznie więcej niż wtedy. Bez moich interwencji nie odbyłoby się wiele meczów i jeszcze więcej porządnych ludzi zostałoby śmiertelnymi wrogami do grobowej deski. Nikt mnie jednak nie oklaskuje. Jestem starym chłopcem na posyłki, zawodowym działaczem sportowym i malkontentem. Depesze dopadają mnie niczym strzały i rzucają w bok od zamierzonej trasy, oddalają od domu i prawdziwej kawy i nie pozwalają zastanowić się nad tym, czy aby nie warto byłoby rzucić w diabły te uprzykrzone, zwariowane, zbyt ruchliwe jak na mój wiek życie i udać się na zasłużony wypoczynek.

Telegram dostałem w porcie kosmicznym, w którym czekałem na przesiadkę. Nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób mnie odnaleźli, gdyż do człowieka siedzącego w najwidoczniejszym miejsca żadna depesza z reguły nie dociera.

Podszedł do mnie tamtejszy urzędnik w idiotycznym, oczywiście tylko dla mnie, krępującym ruchy stroju opatrzonym mnóstwem połyskliwych ozdób i zapytał w łamanej kosmolingwie, czy ma przyjemność z szanownym Kimem Pierowem, którego to szanowne imię ujrzał na liście pasażerów statku, odlatującego za godzinę na szanowną Ziemię. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przyznać się, iż w rzeczy samej jestem szanownym Kimem Pierowem.

„Prosimy - zaczynała się depesza, a taki zwrot oznacza zawsze, że będę musiał się zajmować czymś takim, czym nie chciał zająć się żaden z moich kolegów - wpaść (cóż za wspaniałe słowo) na Iligę, rozpatrzyć protest Federacji 45 (najbardziej pieniacka federacja w całym Kosmosie, w każdym razie gorszej nie spotkałem). Szczegóły na miejscu. Spiesz”.

Spiesz z równym powodzeniem mógłby wysłać dłuższy telegram, z którego dałoby się zorientować, kto ma do kogo urazę i kogo z kim będę musiał godzić. Mógłby też zawiadomić mnie, gdzie leży ta Iliga (jeśli łącznościowcy swoim zwyczajem nie przekłamali nazwy).

W paskudnym nastroju udałem się do dyspozytorni, gdzie po pierwsze okazało się, że Iliga znajduje się na przeciwległym krańcu sektora i znacznie prościej byłoby posłać tam kogoś wprost z Ziemi, a po wtóre, że nie mam z nią bezpośredniego połączenia. Trzeba lecieć do układu gwiazdowego, którego nazwy nie potrafiłem wymówić, a tam dopiero przesiąść się na statek linii miejscowych, prawdopodobnie nie kursujący co najmniej od dwóch lat.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, powiedziałem sobie w duchu, co myślę o Komitecie Olimpijskim w ogóle, a o Spleszu w szczególności i wsiadłem na statek. Podczas lotu pisałem i rwałem na kawałki liczne i różnorodne prośby o dymisję i przeniesienie w stan spoczynku. Jest to moje hobby. Jestem najwybitniejszym w całej galaktyce specjalistą od układania podań o dymisję. Kiedy je piszę, opanowuje mnie słodkie przekonanie, iż należę do ludzi niezastąpionych.

Dobrze przynajmniej, że działacze z Iligi zostali uprzedzeni o mojej wizycie.

Samochód z pięcioma kółkami (oznaczającymi niegdyś pięć kontynentów Ziemi) czekał na mnie przy trapie statku. Jako pierwszy zbliżył się do mnie urzędnik. Mój duchowy pobratymiec, a może nawet także i rówieśnik. Jego twarz wydała mi się znajoma. Zetknąłem się z nim bodajże na kongresie w Plutonville, gdzie albo ja popierałem jego wniosek o zmniejszenie boiska do piłki nożnej, albo on sprzeciwiał się mojej propozycji usunięcia z programu olimpijskiego stupolowych warcabów.

Poza urzędnikiem witało mnie dwóch działaczy niższej rangi, dwie młode gimnastyczki z kwiatami, zielonowłosa dziewczyna i ponury młodzieniec, którego z początku uznałem za boksera, potem za kierowcę, a który okazał się tłumaczem, zresztą zupełnie nieprzydatnym, gdyż wszyscy znali kosmolingwę.

- Serdecznie witamy - zwrócił się do mnie najważniejszy urzędnik. - Mam wrażenie, że gdzieś już pana widziałem. Czy nie było to przypadkiem na konferencji stowarzyszeń lekkoatletycznych w Berendown?

Nie uczestniczyłem w tej konferencji, o czym zawiadomiłem mego kolegę, po czym równie uprzejmie poinformowałem się, czy nie zdarzyło mu się zaszczyścić swą obecnością kongresu w Plutonville. Nigdy nie był w tym mieście. Odłożyliśmy ten temat na bardziej sprzyjającą okazję i obarczony dwoma bukietami, udałem się do samochodu, który pomieścił także wszystkich witających. Spędziliśmy w nim następne pół godziny, bowiem tyle czasu trwało dokonanie formalności paszportowych i odbiór bagażu.

Wolałbym nie zwlekając zapoznać się ze sprawą, ale miejscowy przewodniczący Komitetu Olimpijskiego (którego nie spotkałem ani w Plutonville, ani w Berendown) zajmował się moim

bagażem, dlatego też ja zajmowałem się głównie relacjonowaniem warunków klimatycznych na trasie mej podróży i wypytywaniem, jaka też pogoda panowała w owym czasie na Ilidze. Tłumacz nie wtrącał się do rozmowy, zachowywał ponurą minę i poruszał wargami, przekładając bezdźwięcznie moje słowa na iligijski, a słowa miejscowych działaczy na któryś z ziemskich języków. Dziewczeta gimnastyczki gapły się na mnie i wciąż ze sobą o czymś szeptały. Mnie zaś nieodstępnie prześladowała myśl, że ich występ przeciwko federacji może być na tyle poważny, iż zdecydują się na wszystko, żeby tylko zapewnić sobie moje poparcie. Jakże nienawidziłem skąpego Spieszą, wечно oszczędzającego na telegramach! Jak by tu poznać istotę sprawy, nie przyznając się gospodarzom, że owej istoty nie znam?

- Nie jest panu gorąco? - zapytała ładna dziewczyna o zielonych włosach. Nie wiedziałem jeszcze, czy to moda, czy też odrębność genetyczna.

- Ależ skąd! - odparłem, ocierając pot z czoła.

- Z pewnością bardzo się pan irytuje, że z naszego powodu musiał pan zmienić swoje plany. To ja zawiniłam.

- Pani?

- Dostaliśmy wiadomość od samego Spieszą - przerwał jej działacz - że przez nas zmienia pan trasę swej podróży. To bardzo uprzejme z pańskiej strony. Postaramy się urozmaicić pański pobyt na naszej planecie. Na jutro zaplanowaliśmy wycieczkę do wodospadów, a następnie lekki posiłek na szczycie góry Potwornej.

Niezbyt mnie uradowała perspektywa lekkiego posiłku na szczycie potwornej góry, natomiast słowa dziewczyny wzbudziły we mnie pewną nadzieję, gdyż uchylały rąbka tajemnicy. A więc popełniła jakieś wykroczenie. To już coś, jakiś strzępek informacji. Dziewczyna występowała zatem na jakichś zawodach i coś tam nabroiła. No cóż, tego rodzaju konflikty są łatwiejsze do załagodzenia, niż spory co do liczby uczestników, skargi na złe kwatery dla zawodników lub niewłaściwy sposób obliczania punktów. Przy tym dziewczyna wyglądała na skromną i miała poczucie winy.

Mój tutejszy kolega wreszcie wrócił z wiadomością, że bagaż został już wysłany do hotelu. Gorączkowo szukałem w pamięci jego nazwiska, ale naturalnie nie zdołałem go sobie przypomnieć.

Samochód pędził gładką szosą, a gospodarze wymachiwali rękami, starając się zainteresować mnie pięknem otaczającego krajobrazu. Ale co może zaskoczyć człowieka, który widział setki planet w całej galaktyce? Zachwyciłem się uprzejmie pejzażem i w ten sposób dojechalśmy do miasta.

Miasto też było zwyczajne, gdyż istota z dwiema rękami i nogami potrzebuje ścian, dachu nad głową, a nawet mebli. Co zaś do różnic architektonicznych, to po prostu jest to kwestia gustu. Nie znam się na tym. Byłem zmęczony i chciało mi się spać, ale jazda po mieście trwała

dłużej niż droga z portu kosmicznego. Miasto dusiło się w kleszczach kryzysu komunikacyjnego.

- Już niedługo - powiedziała dziewczyna przeproszającym tonem, jakby to ona wymyśliła korki na skrzyżowaniach.

Rozległ się zgrzyt hamulców, a następnie łoskot. Instynktownie wczepiłem się w poręczę fotela i wyciągnąłem szyję, aby zobaczyć, co się stało.

Wielki czarny ptak wyfrunął spod samochodu o jakieś trzydzieści metrów przed nami. Odetchnąłem. Moi towarzysze podróży zaczęli gadać jeden przez drugiego i tylko tłumacz zachowywał nadal grobowe milczenie. Postanowiłem wziąć udział w rozmowie i powiedziałem:

- U nas ptaki też czasem powodują katastrofy, szczególnie lotnicze.

Wszyscy popatrzyli na mnie tak dziwnym wzrokiem, jakbym powiedział coś nieprzyzwoitego, ja zaś pomyślałem o nieprawdopodobnych czasem tabu społecznych, na które można natknąć się w obcych światach. Po cóż zresztą daleko szukać? Z pewnością wszyscy jeszcze pamiętają głośny skandal, jaki wybuchnął podczas wizyty Delacrouse a na Prembolu, gdzie jest rzeczą absolutnie niedopuszczalną, aby mężczyzna wstał w obecności damy.

Po dalszych pięciu minutach dotarliśmy do hotelu i moi gospodarze zaproponowali mi wypoczynek.

- A dziewczynę poproszę, aby przez chwilę jeszcze została - powiedziałem.

Gospodarze widać właściwie ocenili moje posunięcie, bo zgodnie pokiwali głowami, jakoś tak na ukos, odwrócili się i pomaszzerowali do samochodu, a dziewczyna wyciągnęła z wozu bukiety i znowu mi je wręczyła. Przez chwilę stałem na środku hallu, obejmując różnobarwne wiązanki, dziewczyna zaś bladła, czerwieniała, wyłamywała palce i w ogóle była cała winna i nieszczęśliwa.

- Zaraz panią zwolnię - powiedziałem. - Tylko zadam jedno pytanie.

- Naturalnie - odparła pokornym tonem.

Było upalnie, a wentylatory zawieszony pod sufitem mieszały gorące powietrze. Podeszedł portier i odebrał mi bukiety, za co byłem mu niezmiernie wdzięczny.

- Ja się nazywa wasz szanowny przewodniczący? - zapytałem.

Dziewczyna coś zaszczebiotała, a ja poprosiłem ją o zapisanie nazwiska drukowanymi literami. Pozwolę sobie stwierdzić bez fałszywej skromności, że na bankiecie pożegnalnym, po uprzednim wielogodzinnym treningu, udało mi się przeczytać bez zająknięcia wszystkie trzydzieści sześć liter nazwiska prezesa, za co zostałem nagrodzony hucznymi oklaskami całej sali. Z tego samego powodu poprosiłem dziewczynę, abym mógł ją nazywać Maszą, na co zgodziła się bez oporów, chociaż ten wyraz nie miał nic wspólnego z jej dźwięcznym imieniem, będącym sekwencją dwudziestu ośmiu spółgłosek z przydechem po każdej parzystej.

- A więc - zacząłem, gdy Masza skończyła już rysować litery na papierze - jaki jest pani osobisty stosunek do tego zajścia?

Takie pytanie mogłem zadać nawet znając istotę sprawy.

- Oj! - wykrzyknęła Masza. - Strasznie się wstydzę, ale zawiodły mnie nerwy.

- A pani sprawiła zawód drużynie?

- Gdyby tylko drużynie! Teraz chyba nikt z naszej planety nie zostanie dopuszczony do udziału w zawodach.

- Dziękuję - nie miałem już sił rozmawiać. - Może pani już iść, a ja nieco odpocznę.

Poszedłem do pokoju i wziąłem prysznic. A więc zawiodły ją nerwy. No cóż, nie ma w tym nic dziwnego. Niemal wszyscy sportowi przestępcy powołują się na słabe nerwy. Ale żeby taka sympatyczna dziewczyna...

Zamówiłem kawę do numeru. Kelner przyniósł mi ciemny napój smakujący paloną gumą. Na nic lepszego nie liczyłem.

- Przepraszam - zwróciłem się do kelnera - czy nie ma gdzieś w pobliżu lokalu, gdzie podają prawdziwą kawę?

- Przecież podajemy najprawdziwszą, wysokogatunkową kawę!

- Chętnie wierzę. A z czego ją przyrządzacie?

Kelner popatrzył na mnie ze szczerym współczuciem i wyjaśnił, że kawa to takie ziele, którego korzenie suszy się i miele dopóty, dopóki nie nabiorą szlachetnej fioletowej barwy.

Podziękowałem za informację i chciałem już wylać szlachetnie fioletowy napój, gdy kelner, widząc moje rozczarowanie, powiedział:

- Są ludzie, którzy określają tym słowem dziwne brunatne ziarna przywożone z Ziemi. Podają je w kawiarni „Afryka” o dwie przecznice stąd. Czego to moda nie potrafi zrobić z rozsądnymi ludźmi!

Kelner współczuł snobom, którzy muszą połykać rozmaite paskudztwa, a ja nabrałem otuchy i po pięciu minutach udałem się do kawiarni „Afryka”.

Między hotelem a kawiarnią był niewielki park. Szedłem bez pośpiechu i nawet zatrzymałem się nad brzegiem sadzawki obramowanej betonową barierką. Zbliżał się wieczór, słońce więc już tak wściekle nie grzało. Można było oddychać, a od wody ciągnął miły chłodek.

Na przeciwległym brzegu sadzawki szczęśliwi rodzice krzatali się przy wózku z niemowlęciem. Niemowlę miało około roku. Nie umiało jeszcze chodzić, ale stało w wózeczku już dość pewnie. Na głowie sterczał mu biały czubek. Niemowlę zanosiło się od śmiechu, któremu wtórowali tatuś i mamusia. Dziecko przypominało mi młodszego wnuczka Jegoruszkę i przez moment poczułem się jak w domu.

Nagle tatuś wziął niemowlę na ręce, pocałował w czołko i wrzucił do wody. Na sam środek sadzawki.

Rzuciłem się już w kierunku sadzawki, powodowany naturalnym pragnieniem spieszenia dziecku z pomocą, ale zanim zdołałem cokolwiek zrobić, zauważyłem, iż tatuś i mamusia nadal

radośnie się śmieją, co świadczyło albo o ich potwornym cynizmie, albo o tym, że dzieciakowi nic nie grozi. Śmieli się również spacerowicze, przystający nad brzegiem wody. Śmiało się także niemowlę, które zabawnie wymachiwało rączkami i nóżkami, i nawet nie zamierzało iść na dno.

Zrozumiałem wówczas, że tutaj dzieci uczą się pływać, zanim nauczą się chodzić. Podobnych dziwaków spotykałem nawet na Ziemi. Kiedy to pojąłem, janoje zdenerwowanie prawie ustąpiło. Ale na krótko. Po kilkunastu sekundach rączki i nóżki niemowlęcia najwidoczniej się zmęczyły, uśmiech zniknął z jego twarzyczki... Dzieciak cicho pisnął i skrył się pod wodą.

Na sadzawce zostały tylko gasnące kręgi...

Zrobiłem to, co w mojej sytuacji zrobiłby każdy porządny człowiek. Skoczyłem z betonowej barierki do wody i dałem nurka. Sadzawka była przecież spora, a przestraszeni rodzice z pewnością szybko nie zareagują.

Woda była zielonkawa, ale dość czysta. Na dnie chwiały się wodorosty i wśród nich przemykały ryby. Sadzawka nie była zbyt głęboka, miała najwyżej trzy metry. Dzieciaka na dnie nie mogłem dostrzec. Wynurzyłem się na chwilę i zdążyłem dostrzec przerażone twarze ludzi zgromadzonych wokół sadzawki. Mokry garnitur ciągnął mnie na dno i po zaczerpnięciu powietrza zrozumiałem, że zupełnie straciłem dawną formę i jeśli nie popłynę do brzegu, to mnie z kolei trzeba będzie ratować.

Wynurzyłem się ponownie i zobaczyłem, jak uśmiechnięty tatuś wyjmuje z wody swoją uśmiechniętą pociechę. Na ostatnim oddechu wygramoliłem się z sadzawki jak najbliższej krzewów i jak najdalej od szczęśliwych rodziców. Akurat tam na ławce siedziała Masza.

- Co się panu stało? - zapytała cicho. - Kąpał się pan w ubraniu?

W pytaniu pobrzmiwała żalсна próba poszanowania dziwnych zwyczajów mojej planety, gdzie staruszkowie zazwyczaj nurkują w garniturze i w butach.

- Tak - odpowiedziałem przez zęby. - Mamy taki zwyczaj.

- Taki?! I nie jest panu zimno?

- Ależ skąd! - powiedziałem i spróbowałam się uśmiechnąć. - Bardzo ciepło.

- Dokąd pan idzie? - zapytała Masza, starając się na mnie nie patrzeć. Na jej miejscu też starałbym się nie patrzeć na starca, z którego spływa woda i zwisają wodorosty.

- Idę napić się kawy - powiedziałem. - Podobno prawdziwa kawa jest w „Afryce”.

- Ale może byłoby lepiej...

- Najpierw nieco obeschnąć?

- Jeżeli tak u was jest przyjęte.

- Nie, u nas zazwyczaj spacerujemy w mokrych garniturach - odparłem. - Ale mimo to wrócimy do hotelu i postaramy się dostać do środka tylnym wejściem, gdyż najwidoczniej nasz zwyczaj wzbudza tu niejaki zdumienie.

- Nic podobnego! - wykrzyknęła nieszczercze Masza, ale natychmiast zaprowadziła mnie na tylny dziedziniec hotelu.

Pokornie szedłem za dziewczyną, starając się nie zwracać uwagi na przechodniów. Po drodze nieco obeschłem, a w numerze, rozmyślając nad różnicami w obyczajach, przebrałem się w uroczysty strój wieczorowy z wielkim emblematem olimpijskim na górnej kieszeni marynarki. Nie zamierzałem tu występować aż tak ceremonialnie, ale moja walizka była niezbyt pojemna. Dobrze, że przynajmniej malec nie utonął.

Masza czekała na mnie w hallu. Siedziała tam z rękami na kolanach, niczym niegrzeczna uczennica czekająca na rozmowę z surowym nauczycielem.

- U was chyba dzieci uczą się pływać bardzo wcześnie? - zapytałem, siadając obok niej.

- Pływać? Naturalnie.

- Ale nigdy nie widziałem na naszych zawodach pływaków z Iligi.

- Dopiero niedawno włączyliśmy się do ruchu olimpijskiego - odparła Masza.

- Pani jednak już startowała na naszych zawodach.

Masza zaczerwieniła się, co w połączeniu z zielonymi włosami dało oszałamiający efekt, który mógłby wpędzić do grobu daltonika.

- Jestem przecież lekkoatletką - powiedziała. - Za lekkoatletów dawaliśmy głowę, a z pływakami sprawa jest znacznie trudniejsza. Rozumie pan?

Na razie nic nie rozumiałem, ale na wszelki wypadek poważnie kiwnąłem głową.

- Niech mnie pan jednak dobrze zrozumie! - wykrzyknęła nagle Masza drżącym głosem. - Po raz pierwszy brałam udział w tak wielkim mityngu eliminacyjnym. Zaręczam, że nic podobnego więcej się nie powtórzy.

Kiwałem głową jak porcelanowy Chińczyk w nadziei, że dziewczyna się wygada.

- A teraz wyszło na to, że z powodu mojego zachowania Iligijczycy będą zmuszeni zrezygnować z udziału w zawodach galaktycznych. Proszę mi wierzyć, że tylko ja zawiniłam. Zdyskwalifikujcie mnie. Ukarzcie mnie, ale nie dyskwalifikujcie całej planety. Wszystko zależy od pana.

Masza głęboko westchnęła, jakby zamierzała dać nurka w głęboką wodę, czym przypomniła mi mój własny nierozważny wyczyn.

- A więc, gdy zostałam mistrzynią Iligi w biegu na dwieście metrów, postanowiono wysłać mnie na zawody eliminacyjne sektoru na Eleidzie. Pojechał ze mną jeszcze młody skoczek, który potrafił utrzymać się w ryzach, no a ja... Wystartowałam z, opóźnieniem. Maleńkim. Wie pan, jak to bywa? Nigdy pan nie biegał?

- Skakałem wzwyż - odparłem. - Na dwa pięćdziesiąt cztery.

- Oj, jak wysoko! - zdziwiła się szczerze Masza, czym zyskała sobie moją wielką sympatię.

- Ale i tak pan wie, jak to bywa, kiedy zostaje się na starcie. Człowiek biegnie potem i sam

siebie przeklina. A ja przecież wygrałam dwa pierwsze biegi eliminacyjne. Biegłam więc, przeklinałam się w duchu i bardzo się wstydziłam, że planeta na mnie liczyła, a ja sprawiam taki zawód. Wysforowałam się na drugie miejsce, ale ta pierwsza miała nade mną jakieś dwa metry przewagi. Pół metra odrobiłam uczciwie, a potem już nie mogłam się opanować. Wiedziałam tylko jedno: zostało dwadzieścia metrów, siedemnaście... no i fliknęłam.

Jej oczy były pełne łez.

- Co pani zrobiła?

- Fliknęłaam!...

I rozbeczała się, a ja gładziłem ją po zielonej główce i powtarzałem uspokajająco: „No już dobrze, już dobrze...”

- Co teraz będzie?... - rozpaczała Masza. - Nie mogę im teraz spojrzeć w oczy.

- A co było potem?

- Potem? Potem zlecieli się wszyscy sędziowie i zażądali wyjaśnień. Sam pan rozumie, że miałam pokusę, aby wszystkiego się wyprzeć, powiedzieć, że im się tylko wydawało, ale powiedziałam prawdę. Wtedy tamta drużyna napisała protest, a za nią złożyła protest cała federacja. Oni mają zupełną rację.

Masza wyjęła chusteczkę i wytarła nos. Nie wiadomo czemu wszystkie płaczące kobiety w całej galaktyce zamiast ocierać oczy, wycierają nos. Z torebki wypadł na stolik złożony we czworo arkusz papieru.

- To ten przekłety protest - powiedziała Masza. - Oni nawet nie chcieli słuchać żadnych moich wyjaśnień i obietnic.

Wziąłem protest, starając się ukryć ogarniającą mnie radość.

Rozwinąłem dokument z taką miną, jakbym raz jeszcze chciał zważyć powagę zarzutów. Miałem szczęście, gdyż zbyt już daleko zaszedłem w swojej pozornej wszechwiedzy, aby teraz zapytać: a co to jest flikanie?

„...Na kilka metrów przed metą - głosił protest, po uprzednim opisanu nikomu niepotrzebnych szczegółów sprawy w rodzaju trybu eliminacji, szybkości wiatru w trakcie zawodów i liczby widzów na stadionie - reprezentantka Iligi, czując, że nie zdoła dojść konkurentki uczciwą drogą, przeleciała kilka metrów w powietrzu, zamieniwszy się najsamprzód w coś podobnego do ptaka opatrzonego skrzydłami, których kształtu i ubarwienia nie udało się ustalić. Po przekroczeniu linii mety zawodniczka ponownie opadła na ziemię i przebiegła w swej naturalnej postaci jeszcze kilka metrów, po czym zatrzymała się...”

Dalej następowały jakieś nic nie znaczące słowa Siedziałem, przebiegałem wzrokiem zacytowane zdania i nadal nic nie rozumiałem.

Z oszołomienia wyrwało mnie nadejście prezesa Komitetu Olimpijskiego.

- No i jak, porozmawialiście sobie państwo? - zapytał prezes z wyrazem umiarkowanej

radości. - Mam nadzieję, że przekonał się pan, iż jej zachowanie było jedynie pozbawionym większej wagi incydem?

- Tak - powiedziałem, składając protest we czworo i chowając do kieszeni. - Tak.

I wtedy, być może ze zmęczenia lub z powodu szoku nerwowego wywołanego nieoczekiwaną kąpielą w sadzawce, straciłem nad sobą kontrolę. Zwymyślałem Spieszę od ostatnich i wyznałem, że przed rozmową z Maszą nie miałem o całej sprawie najmniejszego pojęcia, przez co na próżno straciłem pół dnia...

Mój gwałtowny wybuch jakoś uspokoił kolegę działacza i skłonił go do ujrzenia we mnie - w surowym i groźnym rewizorze - człowieka zdolnego do przejawiania słabości. Dlatego powiedział:

- Pozwoli pan, mój drogi, że opowiem wszystko po kolei. Wszak w Galaktyce jest ogromne mnóstwo zamieszkanycy planet i nie może pan znać szczególnych właściwości każdej z nich.

- Nie mogę - zgodziłem się z nim. - Na jednej planecie ludzie flikają, na innej znów...

- Ma pan absolutną rację. Ewolucja na Ilidzie przebiegała w o wiele trudniejszych warunkach niż, na przykład, na Ziemi. Drapieżniki czyhały na naszych odległych przodków w powietrzu, łądzie i w wodzie. Były szybkie i krwiożercze, ale natura współczuła naszym antenatom i poza rozumem wyposażyła ich w cechę, którą posiadają również liczne inne nieagresywne istoty na naszej planecie. Uchodząc przed wrogami, ofiary - a nasi przodkowie zaliczali się do ofiar - mogą zmieniać kształt w zależności od środowiska, w którym się znajdują. Proszę sobie wyobrazić, że ściga pana sams. To okropny widok i bardzo dobrze się stało, że samsy wymarły. Sams dopędza pana na otwartej przestrzeni. Wówczas w momencie największego napięcia fizycznego i psychicznego struktura pańskiego organizmu zmienia się i podrywa się pan w powietrze w postaci ptaka.

- Rozumiem - powiedziałem, chociaż wcale nie byłem pewien, że rozumiem.

- Pamięta pan skrzyżowanie przy wjeździe do miasta. Powiedział pan wówczas, że na Ziemi ptaki również zakłócają komunikację. Nie wiedzieliśmy, czy pan żartuje, chociaż nie było tam przecież żadnego ptaka, tylko po prostu jakiś uczeń w ostatniej chwili wyrwał się spod kół samochodu i wzleciał w powietrze...

- Tak - odparłem, przypominając sobie ptaka podrywającego się spod samochodu.

- No więc mogę kontynuować - powiedział mój kolega. - Ratując się przed samsami, nasi przodkowie unosili się w powietrze, ale co ich tam czekało?

- Prowiski - odpowiedziała Masza.

- Słusznie, prowiski - zgodził się mój kolega. - Łopocąc gigantycznymi, czarnymi błoniastymi skrzydłami, prowiski rozdziawiały swoje czarne dzioby, żeby nas pożreć. Cóż nasi przodkowie mogli uczynić w takiej sytuacji? Podejmowali jedynie słuszną decyzję! Dawali nurka do wody i przekształcali się w ryby. Na rozkaz znakomicie rozwiniętego układu nerwowego

struktura biologiczna ciała znów uległa przemianie...

- Jasne - powiedziałem, usiłując zachować powagę. - To wasza wrodzona cecha?

- Właściwie nie... Stopniowo, w miarę rozwoju cywilizacji, te właściwości zaczęły zanikać, ale staramy się wytwarzać je u dzieci sztucznie, gdyż są pożyteczne. Może pan w naszym mieście zobaczyć sceny niezrozumiałe, a nawet przerażające dla przyjeźdźcy. Może pan zobaczyć, jak malutkie dzieci strąca się z dachów albo wrzuca do głębokiej wody... Jeżeli możliwości genetycznych nie utrwali się we wczesnym dzieciństwie, młody człowiek może wyrosnąć na niedorozwiniętego kalekę...

- To znaczy...

- Tak, na kalekę, który w razie konieczności nie potrafi przekształcić się w ptaka lub w rybę. Proszę nam wybaczyć, szanowny Kimie Pierow, ale to słowo nie dotyczy naszych gości. Doskonale przecież rozumiemy, że ewolucja na pańskiej planecie potoczyła się inną drogą.

- I wielka szkoda! - wykrzyknąłem z prawdziwym żalem w głosie.

Oczami duszy ujrzałem scenkę nad sadzawką, scenkę całkiem zwyczajną w ich świecie, a tak dla mnie denerwującą. Moje zachowanie musiało się tubylcom wydać mocno podejrzane... Nic dziwnego, że rodzice malca tak spieszenie wyciągnęli go z wody. Głupawy staruszek mógł przecież zrobić mu krzywdę, chwytając za płetwę lub za skrzela.

- Ale - i tu w głosie mojego rozmówcy zabrzmiały tragiczne nuty - sportowiec, pragnący uprawiać przyjęte w Galaktyce dyscypliny sportowe, składa przysięgę, iż zapomni o swoich uzdolnieniach. Co więcej, żywiliśmy cichą nadzieję, że w Komitecie Olimpijskim nikt nie dowie się o naszych... To przecież zupełnie niepotrzebne... Zaczęłoby się gadanie...

- Istotnie niepotrzebne - zgodziłem się.

- Teraz, po tym krótkim wstępie, chciałbym pana zaprosić na umyślnie zorganizowane z okazji pana przyjazdu zawody lekkoatletyczne. Będzie się pan mógł naocznie przekonać, że i bez flikania osiągamy znakomite wyniki...

Wstałem i ruszyłem za moimi gościnnymi gospodarzami.

Przed bramą hotelu zatrzymał się autobus. Pasażerowie już do niego wsiadali i drzwi lada moment miały się zatrasnąć, gdy za plecami usłyszałem tupot butów. Jakiś niemłody mężczyzna z walizkami w obu rękach pędził przez hali, trzymając w zębach błękitny papierek, zapewne bilet. Odsunąłem się z drogi. Mężczyzna zobaczył, że autobus odjeżdża, podskoczył, zamienił się w szarego ptaka, złapał pazurami walizki i nie wypuszczając biletu z dzioba w mgnieniu oka doleciał do autobusu i wcisnął się do jego wnętrza, blokując walizkami zamykające się drzwi.

- No i widzi pan - powiedział mój kolega z lekkim wyrzutem w głosie. - Czasami to pomaga, ale... nie wszędzie.

Nie spuszczać oczu z odjeżdżającego autobusu, zapytałem:

- A czy wasi przodkowie nie próbowali chować się pod ziemię?

- To atawizm! - oburzyła się Masza. - Tam przecież jest bardzo brudno.

- Takie zdolności miewają geolodzy - poprawił ją mój zacny kolega po fachu. - Jak zatem wyglądają perspektywy naszego udziału w ruchu olimpijskim?

- Nie wiem jeszcze - odparłem.

Myślałem już o wlokących się bez końca, tasiemcowych sesjach komitetu, na których będę musiał przekonywać upartą federację i w imieniu Iligijczyków zapewniać ją uroczyście, że moi protegowani zdołają zwalczyć instynkt dla dobra uczciwej sportowej walki.

Inna polana

Chcąc, aby moja opowieść była zrozumiała, muszę najpierw podzielić się swoimi poglądami na temat stanu nauki współczesnej w ogóle, a historii literatury w szczególności.

Pewien zagraniczny fizyk obliczył kiedyś, że liczba publikacji z jego dziedziny wiedzy podwaja się co dwanaście lat. Odpowiednio też zmniejsza się możliwość, aby dowolny fachowiec był w stanie orientować się na bieżąco w wydarzeniach zachodzących w pokrewnych naukach lub działach jego własnej nauki. Sprawa jest tak poważna, że nie pomagają już ani czasopisma referujące, ani biuletyny informacyjne, ani sympozja międzynarodowe.

Taki obraz charakterystyczny jest nie tylko dla fizyki, lecz również dla historii literatury. Niedawno zdarzyło mi się rozmawiać z młodym doktorem humanistyki, który poświęcił się badaniom życia i twórczości poety Nikitina. W trakcie tej rozmowy zostałem nieprzyjemnie zaskoczony faktem, iż rzeczony doktor nie wie, w którym roku urodził się Pomiałowski i jest głęboko przekonany, że „Frankengteina” napisał poeta Shelley.

Nie mogę tego wprowadzić memu młodemu koledze wybaczyć, ale potrafię go zrozumieć - wszak dzień po dniu śledzi życie i twórczość swego „badanego” i traci lata na polemikę z oponentami, publikującymi obszerne studia na temat Nikitina, które wypada mu chociażby przeczytać.

Przewiduję, że za parę lat pojawią się specjaliści od wieku niemowlęcego Puszkina, stosunków rodzinnych Niekrasowa, stylistyki pierwszego rozdziału „Dyla Sowizdrzała” i tak dalej.

Tego rodzaju tendencje mocno mnie niepokoją, chociaż, ku swemu ubolewaniu, nie potrafię zaproponować rozwiązania alternatywnego. Proces historyczny jest zjawiskiem obiektywnym, choć nie zawsze łatwym do zaaprobowania.

Teraz, zapoznawszy was z moim credo, zrelacjonuję konkretny wypadek, który stanowi znakomitą ilustrację wyłożonej powyżej tezy.

Maurice Iwanowicz Dolinin jest młodszym pracownikiem naukowym katedry, którą mam zaszczyt kierować. Jest to sympatyczny młodzieniec, który, dobiegając trzydziestego piątego roku, nieco rozrył się od siedzącego trybu życia, niebieskooki i rumiany, ulubieniec naszych aspirantek i szatniarek. Do jego zalet należy, między innymi, oddanie dla badanego przez siebie Aleksandra Siergiejewicza Puszkina. Już w szkole średniej Maurice postawił sobie za cel nauczenie się na pamięć całej twórczości wielkiego poety i należy przyznać, że dopiął swego, chociaż myli kolejność akapitów w „Historii Piotra Wielkiego”. Jego praca doktorska dotyczyła dziejów „Małych tragedii” - pozornie już dawno zbadanych pod wszelkimi możliwymi kątami. Jednak Maurice’owi udało się w zupełnie odmienny sposób powiązać postać Skapego Rycerza z żyjącym w XVI wieku augsburskim baronem Konradem zu Hinden.

Należy również podkreślić, że Maurice, choć bardzo kochliwy, do tej pory pozostaje w stanie wolnym. Przyczynę tego upatruję w ranach, jakie na jego duszy pozostawiły pazurki czarującej koleżanki z pierwszego roku, Inesy Redkiny, obecnie, in tertio voto, Wodowozowej. Moja znajomość przeszłości Maurice tłumaczy się bardzo prosto: wykładałem na pierwszym roku i byłem dokładnie poinformowany o wszelkich dramatach i tragikomediach w środowisku studenckim.

Przez ostatnie siedem lat pracowaliśmy ramię w ramię. Maurice był ze mną szczery i dzielił się nie tylko planami naukowymi, lecz także wydarzeniami z życia osobistego. Właśnie ta jego szczerość i ufność przyprawiły mnie o zdenerwowanie, jakiego nigdy przedtem nie przeżyłem.

- Czy abyś się, kochany, nie zakochał? - zapytałem któregoś dnia Maurice'a, zwróciwszy uwagę na to, że od trzech dni przychodzi do pracy w nowych, niezmiernie jaskrawych krawatach i lśniących jak lustro półbutach.

- Ależ skąd! To się po mnie nie pokaże! - odparł z takim smętnym oburzeniem, iż utwierdził mnie w przekonaniu, że mam rację.

Zakładałem, że wkrótce sam się do wszystkiego przyzna. W dramatycznym momencie nieporozumienia lub na odwrót, kiedy szczęście tak go przepelni, że zacznie się przelewać.

Działo się to latem i akurat wybierałem się na urlop. Mieliśmy posiedzenie katedry w jakiejś zupełnie nieważnej kwestii, chociaż zamiast tego całe gremium powinno wybrać się na basen. Poprosiłem Maurice'a o naszkicowanie planu artykułu, który zamierzał umieścić w zbiorze. Maurice długo gryzł obsadkę, gapił się w sufit i w ogóle nie myślał o artykule. Wreszcie wziął się w garść i sporządził kilka linijek, po czym znów pogrążył się w słodkich marzeniach. Otrzymawszy szkic artykułu, odkryłem w nim imię Natasza, powtórzone kilkakrotnie na marginesach, oraz profil dziewczyny o zadartym nosie, wykonany niezbyt mistrzowską ręką.

Po zebraniu nie wytrzymałem i zapytałem Maurice'a:

- Zamierza pan swój artykuł poświęcić Nataszy? Zadedykujemy zwyczajnie: „Nataszy poświęcam”, czy też znajdziemy bardziej oficjalną formę?

- Nie rozumiem pana! - wykrzyknął urażony Maurice i naindyczył się, jakbym chciał porwać ową Nataszę.

Pokazałem mu nieszczęsny szkic. Wyobraźcie sobie, że śmiertelnie się na mnie obraził. Na całe dwa dni.

Później w jego stosunkach z Nataszą nastąpił jakiś kryzys. Maurice stracił apetyt i przestał czyścić buty. Bez wątplenia został głęboko ugodzony jakimś nieważnym słowem lub nieuzasadnionym podejrzeniem.

Zapytałem go:

- Coś pana gnębi?

- Pan tego nie zrozumie - powiedział Maurice z taką miną, jakby w moich czasach życie

zakochanych było zawsze usłane różami.

- Naturalnie - odparłem. - A jednak?
- Rozstaliśmy się - wyrzucił z siebie. - Na zawsze!
- Szkoda, bo myślałem, że pan ją kocha.

Nagle puściły tamy.

- Ja tak już dłużej nie mogę! - syknął tragicznym szeptem, który z pewnością słyhać było we wszystkich okolicznych pokojach. - Ja tego nie zniosę.

Nie ręczę za dokładny przekaz słowny jego monologu, ale mogę zapewnić, że jego sedno polegało na tym, iż do serca mego kolegi zakradły się wątpliwości, czy jest kochany, czy też - o horrendum! - nie kochany.

Źródłem tych wątpliwości stało się zamięłowanie Nataszy do zbierania pieczarek. Warto było posłuchać, jak Maurice wypowiada słowo „pieczarka”. W jego ustach brzmiało ono jak imię wzgardzonego wyrzutka płci żeńskiej, wypędzonego z rodzinnej jaskini pod Cromagnon za notoryczne niechlujstwo. Zdaniem Nataszy pieczarki można zbierać w dużych ilościach na terenie Moskwy, gdzie występują obficie na niektórych skwerach, w parkach i na bulwarach. Trzeba tylko znać odpowiednie miejsca. Natasza miała swój ulubiony park, gdzieś w okolicach stacji metra „Sokół”. Dzieliła to pieczarkonośne uroczysko z kilkoma emerytami, którzy przychodzili na nie o świcie. Później zjawiała się Natasza, dla której grzybów też starczało, zwłaszcza wtedy, gdy sprzyjała im pogoda. Natasza z jakichś względów nie chciała zabierać Maurice a na swoje wyprawy, co stało się powodem jego idiotycznych podejrzeń, że dziewczyna nie bywa tam samotnie, że w ogóle nie chodzi na polanę i żeby wprowadzić go w błąd, specjalnie kupuje koszyczek pieczarek na bazarze. Gdy tylko Maurice wypowiedział swoje podejrzenia na głos, Natasza zaraz się obraziła i od słowa do słowa - doszło do zerwania.

- Nie ma pan racji - powiedziałem Maurice'owi, gdy zakończył swą dramatyczną spowiedź.
- Oczywiście. Ale jednak...
- Powinien pan ją przeprosić.
- Naturalnie. Ale mimo wszystko...

- A propos, kiedy na początku lat trzydziestych starałem się o rękę Maszeńki, to pewnego razu zobaczyłem ją na ulicy z barczystyra słuchaczem fakultetu robotniczego. Przez dwa tygodnie nie rozmawialiśmy ze sobą. Potem okazało się, że barczysty młodzian jest jej stryjecznym bratem Kola, człowiekiem niezwykle sympatycznym i miłym. Do dziś się przyjaźnimy, bywamy u siebie.

Już otworzył usta, aby mi odpowiedzieć: „Co tu ma do rzeczy jakiś tam Kola!”, ale opanował się, machnął ręką i wyszedł.

Byłem głęboko przekonany, że konflikt wygaśnie najdalej za dwa dni. Nic podobnego. Dni mijały, a Maurice wciąż był tak samo ponury i samotny. Głupio jest niweczyć własne szczęście z

powodu koszyczka pieczarek, ale ludzie ginęli z dużo bliższych przyczyn.

Gdzieś po tygodniu, około dziesiątej rano, po spożyciu śniadania szedłem w stronę biurka i akurat w tym momencie w gabinecie zadzwonił telefon. Coś boleśnie zakłuło mnie w sercu, bo zdarza się przecież, iż najzwyczajniejszy w świecie dzwonek telefonu potrafi ni z tego, ni z owego obudzić najgorsze przeczucia.

- Słucham.

- To ja, Maurice. Zdarzyło się coś niesłychanego. Muszę się z panem natychmiast zobaczyć.

- Gdzie pan jest?

- Niedaleko stacji metra „Sokół”. Mogę być u pana za pół godziny...

Maurice mówił przerywanym głosem, jakby dopiero co przebiegł trzy kilometry i jeszcze nie zdążył wyrównać oddechu.

- Czekam na pana.

Po odłożeniu słuchawki natychmiast przypomniałem sobie, że ten nieszczęsny pieczarkowy skwer leży opodal stacji metra „Sokół” i pomyślałem, że Maurice postanowił śledzić niewierną ukochaną i pechowo natknął się na szczęśliwego konkurenta do jej wdzięków.

Prawie zgadłem.

Maurice wpadł do mojego gabinetu po niespełna dwudziestu minutach. Był rozczochrany, zdenerwowany, przygnębiony, ale na szczęście zdrow i cały.

Natychmiast zaczął mówić, biegając po gabinecie z takim impetem, że zagrażał różnym kruchym przedmiotom jego wyposażenia, - Tak - grzmiał. - Postąpiłem paskudnie. Śledziłem ją, gdyż postanowiłem raz na zawsze położyć kres wszelkim wątpliwościom.

Spojrzał na mnie wyzywającym wzrokiem, spodziewając się natychmiastowego potępienia. No cóż, nie sprawię mu zawodu.

- Nigdy nie uwierzę - powiedziałem mentorskim tonem - aby posunął się pan do bezlitosnego śledzenia kobiety, którą pan kocha i chociażby dlatego powinien szanować.

- Tak! - ucieszył się Maurice. - Doskonale pana rozumiem. To samo sam sobie mówiłem. Przeklinałem siebie, ale wieczorami wystawałem pod jej bramą, a co rano czekałem, aż wyjdzie z do mu z pustym koszykiem. Wstydę się, ale i Otello się wstydził, podnosząc rękę na Desdemonę.

Porównanie było dosyć ryzykowne, ale Maurice na szczęście nie zauważył mojego uśmiechu. Wykonał tragiczny gest, stracił z biurka stos papierów i kontynuował monolog siedząc w kucki i zbierając rozsypane kartki z podłogi.

- Nie oczekuję pobłażliwości i nie po nią do pana przyszedłem. Ale dzisiaj, o siódmej dziesiątej rano, ona wyszła z domu z koszykiem i skierowała się na tamten skwer. Na skraju parku, za fontanną jest prawie pusta polana. Tylko gdzieniegdzie tkwią na niej wielkie drzewa. Akurat zaczynają tam jakąś budowę, bo wkopali słupy pod ogrodzenie. Nie najlepsze miejsce na

zbieranie grzybów. Pan mnie rozumie?

- Jak dotąd nic niezrozumiałego nie zdążył pan powiedzieć.

- Do tej właśnie polany ją odprowadziłem. Oczywiście potajemnie, z daleka. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby się tak odwróciła!

- Rany boskie - powiedziałem.

- A więc doszła do polany i zaczęła po niej spacerować. Chodzi po niej, pochyla się, a ja stoję za wielkim drzewem i czekam, co będzie dalej.

- Dlaczego? Należało wyjść z ukrycia, zbliżyć się do niej, przeprosić za nieufność, okazać skruchę i zapewnić, że już nigdy pan tak nie postąpi.

- Chciałem tak uczynić, ale powstrzymał mnie wstyd i... podejrzliwość.

- Jaka znów podejrzliwość?

- A co byłoby, gdyby ona po nazbieraniu grzybów poszła na randkę z nim? Albo, gdyby on zaraz się zjawił...

- Przekonał mnie pan - powiedziałem. - Najwidoczniej mam do czynienia z prawdziwym rycerzem i gentelmanem.

- Ach, proszę mnie nie dręczyć - odparł Maurice w stylu najlepszej literatury ubiegłego wieku. - To wszystko nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Ważne jest tylko to, że gdy patrzyłem na Nataszę, dziewczyna zniknęła. Wyobraża sobie pan? Dopiero co stała na środku polany i nagle zniknęła. Nie uwierzyłem własnym oczom. Co pan na to powie?

- Na razie nic.

- Obszedłem całą polanę dookoła, wybiegłem na ulicę i nic. Wszędzie pusto. Wróciłem do parku i zacząłem przetrząsać wszystkie krzewy, omal nie zaglądać pod ławki. Jej nigdzie nie było. Wypadłem na polanę i zatrzymałem się mniej więcej w tym miejscu, gdzie ją widziałem po raz ostatni. I nagle usłyszałem jej głos.

- Maurice, co ty tu robisz?

Stała obok mnie, nie dalej niż trzy metry, i trzymała w ręku koszyk.

- W koszyku były grzyby?

- Prawie pełno.

- No i co dalej?

- Powiedziałem do niej: „Czekam na ciebie”.

- Czemuś mnie nie zawołał? - odrzekła na to. - Popatrz, ile nazbierałam.

- A gdzie byłaś? - pytam.

- Tutaj.

- Jak to, tutaj? Stoję tu już z pół godziny i wcale cię nie widziałem.

- A gdzie nazbierałam grzybów? Przecież nie na jezdni!

Maurice zamilkł.

- W końcu obraziła się na pana i poszła? - podsunąłem mu ciąg dalszy, gdyż przypominałem sobie, że muszę przed obiadem skończyć artykuł, a opowieść Maurice a zaczęła się niebezpiecznie przewlekać.

- Poszła - odparł Maurice. - Ale nie o to chodzi.

- A o co?

- Rozumie pan, podejrzewałem w tym wszystkim jakąś tajemnicę. Natasza raz była, raz zniknęła, jakby się zapadała pod ziemię. Byłem w takim stanie ducha, że zapragnąłem za wszelką cenę odnaleźć tę dziurę w ziemi. Doszedłem do punktu, w którym zniknęła i pojawiła się Natasza. Tam było takie niewielkie obniżenie terenu...

„Boże Wszchemogący - pomyślałem - na tego chłopaka nie ma żadnej rady. Czyżbym i ja, kiedy się zakochałem, był tak samo nudny i gadatliwy?”

- ... ale nic tam nie odkryłem, poza zdeptaną trawą. Ruszyłem więc wolno dalej, rozglądając się uważnie na boki... I nagle zobaczyłem pieczarki!

- No i bardzo dobrze - powiedziałem i popatrzyłem demonstracyjnie na zegarek, co jednak nie wywarło na Maurisie najmniejszego wrażenia.

- W ogóle na tej polanie było mnóstwo pieczarek, takie ich zatrzęsienie, iż nie mogłem pojąć, dlaczego dotychczas nie zauważyłem ani jednego grzybka. Kiedy tak tam chodziłem, doszedłem do wniosku, że nie mogę tak nieufnie traktować Nataszy, że koniecznie muszę ją przeprosić...

Nastąpiła pauza, trwająca co najmniej minutę. Czekałem cierpliwie. Teraz powinien pojawić się tajemniczy fatalny mężczyzna albo też Natasza, wróciwszy ukradkiem, podbiegła do Maurice a z tyłu, zasłoniła mu oczy dłońmi i zapytała czule: „Zgadnij, kto to?”

- I w tym właśnie momencie - odezwał się wreszcie mój młodszy kolega - zrozumiałem, że na polanie nie ma słupów ogrodzeniowych, tylko same dołki.

- Jakie znów dołki?

- Dołki pod słupy. Dołki pod słupy, rozumie pan, były, a słupy leżały na ziemi. Niedobrze, pomyślałem, zaczynają się halucynacje. Wtedy opuściłem park i udałem się na przystanek trolejbusu linii numer sto dwa.

„Zdaje się, że opowieść dobiega końca” - pomyślałem z ulgą.

- Ale tam nie było przystanku trolejbusu numer sto dwa, gdyż tam znajdował się przystanek autobusu „B”, chociaż taki autobus w Moskwie nie chodzi. Byłem tak zaszokowany, że nawet nie zdziwiłem się, tylko podszedłem do stojącej na przystanku kobiety i zapytałem: „A gdzie zatrzymuje się trolejbus numer sto dwa?” Odpowiedziała mi, że nie wie. „Jak to? - zapytałem. - Przecież pół godziny temu wysiadłem z tego trolejbusu. Pani pewnie nietutejsza?” Nie odezwała się ani słowem i popatrzyła na mnie z takim oburzeniem, że aż mi ciarki przeszły po grzbiecie. Dobra, myślę sobie, zwariowałem. Lepiej, żeby nikt o tym na razie nie wiedział. I jak gdyby nigdy nic pytam: „Jak się dostanę na stację metra »Port Lotniczy«?” - „Chodzi panu o stację

»Lotnisko«? Sześć przystanków autobusem». Rozumie pan coś z tego?

- Rozumiem - odparłem. - Zaraz opowie mi pan o tym, jak po przebudzeniu postanowił pan opowiedzieć własny barwny sen swemu ukochanemu nauczycielowi.

- Nic podobnego! - wykrzyknął Maurice. - To nie był sen.

I na dowód prawdy rąbnął pięścią w biurko. Schwytałem w locie telefon. Literatura zaświadcza różne formy miłosnego szaleństwa, a u wielu narodów miłosną pasję uważano bądź nadal się uważa za całkiem naturalną, a w każdym razie nie hańbiącą dolegliwość cielesną.

- Niech pan posłucha dalej! Kiedy autobus podjechał do stacji metra i zobaczyłem nad wejściem do niej wielki napis „Lotnisko”, ułożony ze złotych liter, zrozumiałem, że nie pomyliłem się co do swej diagnozy. Zwariowałem. Po tym odkryciu starałem się głęboko oddychać i myśleć o rzeczach obojętnych. Zjechałem na dół, podszedłem do bramki, znalazłem w kieszeni pięciokopiejkówkę i wrzuciłem ją do automatu, ale moneta utkwiała w szczelinie. Kontrolerka zapytała mnie, o co chodzi i poprosiła o pokazanie mojej pięciokopiejkówki. Pokazałem, a ona powiada, że piątka jest żółta! Pięciokopiejówki powinny być, podobno, białe, a nie żółte. I pokazała mi cienką monetkę z białego metalu, po czym tak na mnie popatrzyła, jakbym sam swoją pięciokopiejkówkę wyprodukował. Pokornie wyszedłem na ulicę i wie pan, im uważniej rozglądałem się dookoła, tym silniej zaskakiwała mnie niezgodność szczegółów. Właśnie szczegółów. Generalnie rzecz ujmując wszystko było normalne, ale szczegóły wołały o pomstę do nieba. Mężczyzna czyta gazetę, której tytuł znajduje się w prawym dolnym rogu zamiast w lewym górnym, tramwaj nie jest żółtoczerwony, tylko zielony i tak dalej...

Milczałem. Maurice wyglądał na normalnego. Zniknęły nawet ślady zdenerwowania, tak bardzo rzucające się w oczy na początku jego dramatycznej opowieści. Młody człowiek zapomniał nawet o swojej ukochanej. To nie był Medżun, lecz po prostu bardzo zdumiony człowiek.

- Wówczas na zasadzie hipotezy roboczej założyłem, że znalazłem się w równoległym świecie. Czytał pan kiedyś o równoległych światach?

- Nie czytuję fantastyki - odparłem z nadmiernym oburzeniem w głosie, które zadało kłam memu twierdzeniu, bo skąd niby mógłbym wiedzieć o równoległych światach, gdybym owej fantastyki nie czytywał?

- Ale i tak pan o nich wie - powiedział Maurice. - I ta wersja całkowicie oczyściła Nataszę z wszelkich podejrzeń. Podobnie jak inni zbieracze pieczarek spacerowała po polanie i wchodziła do tego zagłębienia gruntu, które w jakiś sposób łączyło dwa światy, trafiała do świata równoległego i jak gdyby nigdy nic kontynuowała zbieranie ulubionych pieczarek. Całkiem zresztą możliwe, że grzybiarze znają właściwości tego miejsca i świadomie z nich korzystają, nie przykładając do tego większej wagi...

W tym momencie zamilkł, pomyślał chwilę i dodał:

- A może któryś z nich pozostał w równoległym świecie?

- No tak, wrócił do domu i spotkał się z samym sobą - zauważyłem złośliwie, ale Maurice nie zwracał na mnie uwagi.

- Tak więc, uświadomiwszy sobie, co mi się właściwie przydarzyło, doszedłem do nieoczekiwanego wniosku, że skoro świat równoległy różni się od naszego w szczegółach, to owe szczegóły mogą rozciągać się również na przeszłość. Jestem przecież naukowcem. Gdzie mam się skierować?

- Pod pomnik Puszkina - zażartowałem.

- Prawie zgadł pan. Tylko udałem się, naturalnie, nie pod pomnik, który nie był w stanie dostarczyć mi właściwych informacji, lecz do Muzeum Puszkina. Zatrzymałem taksówkę i kazałem kierowcy jechać na Kropotkińską. W czasie jazdy nadal rozmyślałem. A może Puszkina uniknął pojedynku w roku 1837 i żył jeszcze dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, tworząc nieznane, genialne dzieła? Coraz bardziej zdenerwowany czekającym mnie spotkaniem, zapytałem taksówkarza, w którym roku umarł Puszkina. Nie pamiętam, odparł taksówkarz, dawno, ponad sto lat temu. Kierowca był starszawym i pulchnym flegmatykiem, którego poezja zupełnie nie interesowała. Jednak w jego słowach kryła się dla mnie nadzieja. Ponad sto lat, to znaczy lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku. Taksówka jeszcze nie zdążyła się dobrze zatrzymać koło muzeum, kiedy wyskoczyłem z samochodu, wtykając kierowcy dwa ruble do ręki. Na moje szczęście nie patrząc wsunął je do kieszeni. Podbiegłem do drzwi Muzeum Puszkina i nie ma pan pojęcia, co zobaczyłem!

Maurice popatrzył na mnie wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

- Okropność! - powiedział tonem cierpiącego Wertera. - To nie było Muzeum Puszkina! Stałem jak rażony gromem. W tym momencie drzwi się otworzyły i wyszedł z nich jakiś starzec. „Przepraszam - rzuciłem się do niego. - Gdzie jest Muzeum Puszkina?” A on mi na to odpowiada: „O ile wiem, w Moskwie takiego muzeum nie ma. Jest tylko w Kiszyniowie”. - „Dlaczego?!” - „Ma pan rację, ten wspaniały poeta zasługuje na muzeum swego imienia w Moskwie. Jego wczesna śmierć nie pozwoliła niestety na rozwój potężnego talentu...”

„Wczesna śmierć! - krzyczę. - Wczesna śmierć! W którym roku umarł Puszkina?” - „Zginął w pojedynku na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku w Kiszyniowie” - odparł starzec i odszedł. Opadły mi ręce. Zrozumiałem, że już nic więcej nie mam tam do roboty. Trzeba wracać do domu, bo przecież gdybym przez jakiś głupi przypadek został w tamtym świecie, nigdy nie zdołam nikomu dowieść, że Puszkina, który u nas żył bez mała czterdzieści lat, napisał „Małe tragedie” i „Eugeniusza Oniegina”!

- A może warto było zostać - zaoponowałem. - Oświadczyłby pan, że znalazł te utwory na strychu i wszyscy by pana po rękach całowali.

- A potem zdemaskowałiby mnie jako mistyfikatora - odparł Maurice zupełnie serio. - A

propos, moja przygoda omal nie zakończyła się tragicznie.

- To znaczy?

- Miałem przy sobie już tylko pięć rubli w jednym banknocie. Złapałem taksówkę, wróciłem do parku, podałem piątkę kierowcy i, myśląc o czymś innym, poprosiłem o resztę.

- Co mi tu wtykasz? - zapytał kierowca.

- Pieniądze - odpowiadam - poproszę trzy ruble reszty.

I otwieram drzwi, żeby wysiąść.

- Gdzieś ty wykopał takie pieniądze? - zapytał kierowca złowieszczym tonem.

I dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę ze swej koszmarnej sytuacji. Jeszcze sekunda, a na zawsze zostanę jeńcem świata, który nie zna późnego Puszkina! Jak strzała wypadłem z samochodu i popędziłem w kierunku polany, słysząc jak z tyłu łomocze butami kierowca. Pierwszy dopadłem zapadliska terenu, przebiegłem przez nie i usłyszałem głosy robotników stawiających parkan. A przecież jeszcze przed chwilą na polanie nikogo nie było.

- Stój! - wrzasnął kierowca, wpadając za mną do naszego świata i wczepił się we mnie obiema rękami.

Ale byłem już całkowicie bezpieczny, odwróciłem się więc do niego i zapytałem spokojnym głosem:

- O co chodzi, towarzyszu kierowco?

- O to chodzi! - Potrząsnął moją piątką, niczym kańczugiem. - O to chodzi, że mnie fałszywe pieniądze nie są do niczego potrzebne!

- Fałszywe? Chwileczkę. Chodźmy do ludzi, niech zobaczą te fałszywe pieniądze.

Byłem tak pewny swego, że kierowca posłusznie ruszył za mną w stronę robotników, którzy obserwowali nas z największym zainteresowaniem. Nic dziwnego: ni z tego, ni z owego na polanie ukazało się dwóch mężczyzn i natychmiast przyłączyło się do konfliktu.

Wziąłem od kierowcy pięciorublowkę, pokazałem ją robotnikom i spytałem:

- Proszę mi powiedzieć z łaski swojej, co to jest?

- Pieniądze - powiedział jeden z nich. - Bo co?

- A to - wrzasnął kierowca - że takich pieniędzy nie ma!

- A jakie są?

Kierowca wyjął z kieszeni garść banknotów bardzo podobnych do naszych, ale w innych kolorach. Piątka, na przykład, jest tam różowa, a trzyrublowka - żółta.

Robotnicy patrzyli na kierowcę dosłownie z rozdziawionymi gębami. Jeden z nich wyjął piątkę i pokazał kierowcy.

- A moje, to też nie pieniądze? - zapytał z niejaką złością.

- Pogoń go - powiedział drugi robotnik. - Może to jakiś szpieg albo inny waluciarz.

- Jaki tam ze mnie szpieg! - oburzył się kierowca. - Tara stoi mój wóz, z trzeciej bazy.

I pokazał, gdzie powinien stać jego samochód. Sam pan rozumie, iż żadnego samochodu tam nie było.

- Oj! - powiedział kierowca. - Rąbnęli.

I spróbował popędzić do chodnika na przełaj. Z największym trudem zawróciłem go i skierowałem na zapadlisko, gdzie szczęśliwie zniknął...

Nabiłem fajkę i starannie ją rozpałiłem.

- Dziękuję za pasjonujące opowiadanie.

- Pan mi nie wierzy? Sądzi pan, że go oszukałem?

- Nie, bo czegoś podobnego nie potrafiłby pan nigdy wymyślić.

- Wobec tego pójdę sobie.

- Dokąd?

- Do Nataszy. Wszystko jej opowiem. Poczulem taką ulgę! Szkoda, że go tam zabili w młodości. Proszę sobie wyobrazić cały świat bez Puszkina!

- Wszystko na świecie podlega prawu kompensacji - powiedziałem. - Nie było Puszkina, ale był za to ktoś inny.

- Naturalnie - powiedział Maurice, kierując się ku drzwiom. Już rozkoszował się myślą, że wtargnie do Nataszy i zacznie jej gadać jakieś głupstwa.

- Tak - powtórzyłem - prawo kompensacji... A propos, Maurice, w tym domu, do którego pan pojechał, mam na myśli Muzeum Puszkina, co się mieściło?

- Też muzeum.

- Jakie?

- Muzeum Lermontowa - odparł Maurice. - No to już pójdę.

- Lermontowa? A czy nie można założyć...

- Po co zakładać - uśmiechnął się pobłaźliwie mój młodszy kolega - kiedy tabliczka głosi: „Muzeum Lermontowa. 1814 - 1879”.

- Co? - wykrzyknąłem. - I pan nawet nie zajrzał do wnętrza.

- Jestem puszkinią - odparł Maurice z wyrazem idiotycznej wyższości. - Jestem puszkinią, i to wszystko wyjaśnia.

- Pan nie jest żadnym puszkinią! - ryknąłem. - Pan jest koniem w okularach!

- Dlaczego w okularach? - zdziwił się Maurice.

- Przecież sam pan przed chwilą współczuł światu, który nie zna „Eugeniusza Oniegina”. Czyżby pan nie rozumiał, że sprawę można odwrócić? Drugi rosyjski geniusz tworzył przez co najmniej pięćdziesiąt lat. Lermontow! Pan to może sobie wyobrazić?...

Ale ten głąb nawet nie drgnął.

- Z punktu widzenia historii literatury - oświadczył napszonym tonem mój puszkinią - skala geniuszów Puszkina i Lermontowa jest nieporównywalna. Z równym powodzeniem

moglibyśmy...

- Zamilcz, szaleńcze! - ryknąłem. - Wypędzę cię z pracy! Jesteś niegodny miana uczonego! Jedynym ratunkiem dla ciebie jest natychmiastowe zaprowadzenie mnie do tamtego świata! Natychmiastowe!

- Wie pan - zaczął mamrotać Maurice - zamierzałem właśnie pojechać do Nataszę...

- Sam z nią porozmawiam. I może pan być pewny, że po tej rozmowie nie zechce nawet spojrzeć na tak nędznego osobnika, jak pan. Prowadź!

Musiałem wyglądać straszliwie. Maurice przeraził się i pokornie czekał, aż przestanę miotać się po gabinecie w poszukiwaniu złotych spinek, które na tamtym świecie miałem nadzieję wymienić na dzieła wszystkie Lermontowa.

Kiedy wyskoczyliśmy z samochodu koło parku, dochodziła już dwunasta. Maurice milczał zgnębiony. Najwidoczniej zrozumiał ogrom własnej zbrodni, popełnionej na szkodę literatury.

Polana była już ogrodzona parkanem, do którego cieśle przybijali ostatnie sztachety. Nie bez trudu udało się nam przedostać na teren budowy.

- Gdzie? - zapytałem Maurice a.

Młody naukowiec był całkowicie zdezorientowany. Pech chciał, że budowlani zdążyli już rozładować na polanie kilka ciężarówek płyt betonowych. Obok stosu płyt spychacz pracowicie zdzierał darń.

- Gdzieś tutaj... - powiedział Maurice - najpewniej gdzieś tutaj...

Przeszedł kilka kroków śladem buldożera, zatrzymał się z wahaniem i wrócił do sterty płyt.

- Nie - powiedział - nie mam pojęcia... Tutaj było takie zagłębienie...

- Jakies kłopoty? - zapytał operator spychacza.

- Tutaj było zagłębienie - powiedziałem tępo.

- Było, ale się skończyło - odparł operator. - A zamiast niego będzie bar szybkiej obsługi na dwieście miejsc. Zgubiliście coś?

- Tak - odpowiedziałem. - Przepraszam, czy przypadkiem coś wam się tutaj nie zapadło pod ziemię?

- Tego tylko brakowało! - roześmiał się operator. - Gdyby tak moja maszyna zapadła się pod ziemię, narobiłaby wielkiego hałasu.

Naturalnie niczego nie znaleźliśmy.

Muszę jeszcze dodać, że w dwa miesiące później Maurice ożenił się z Nataszą.

Maurice'owi, rzecz jasna, wierzę bez najmniejszych zastrzeżeń. Wszystko, o czym mi opowiedział, istotnie się wydarzyło. Ale w naszych stosunkach nie ma już dawnego ciepła.